



**ANNE FRASIER**

**ZABAWA W ŚMIERĆ**

*Nocą śnię.  
Śnię, że jestem kimś lepszym niż na jawie.  
Że przepelnia mnie siła. Że mam sekretne życie.  
Życie pełne tajemnej treści.*

## Rozdział 1

John Casper, lekarz sądowy z Savannah, wierzył w zjawisko nazywane przez niektórych naukowców efektem grupowania. Rzuć byle jak garść czegokolwiek — nasion, płatków kwiatów, kart — a zawsze skupią się w grupę.

Tak samo było ze zwłokami.

Nigdy nie przywożono ich pojedynczo, ale grupami. Ostatnio było ich dużo; lekarze i asystenci przez całą dobę zajmowali się ciałami zgromadzonymi w przepelnionej chłodni.

W końcu udało się nadgonić robotę i ludzie poszli do domów. Brak snu i długie godziny spędzone w oparach formaliny wywoływały ból głowy.

Willy Claxton, jedyny asystent, który jeszcze został, sterczał niespokojnie w drzwiach biura, tuż obok sal autopsyjnych.

— Idzie sztorm od Atlantyku — powiedział. — Mówili w radiu. John odsunął papiery i rozparł się w skrzypiącym krześle.

— Idź do domu. — Nawet tu, w kostnicy, czuł w głowie ciężar, który przychodził wraz z ostrym spadkiem ciśnienia. — Zanim sztorm tu dotrze.

— A co z ostatnimi zwłokami? John spojrzał na dane zmarłego.

— Prosta sprawa. Wygląda na atak serca.

Wstał i się przeciągnął. Siedział tu od ponad dwunastu godzin. Bolały go stawy, skóra była ściągnięta i podrażniona.

— Pomóż mi go przenieść na stół i możesz iść.

Willy wytoczył ciało na wózku z chłodni i przewiózł je do sali autopsyjnej. Pomieszczenie śmierdziało środkiem dezynfekującym. Zablokował koła, po czym wraz z Johnem przenieśli ciało na stół z nierdzewnej stali. John zauważył, że suwak worka był niedopięty — została szpara na jakieś pięć centymetrów.

— Dzięki, stary — powiedział Willy, zdejmując rękawiczki i wrzucając je do pojemnika na odpady. — Muszę jechać do domu. Moja żona boi się burzy.

John kiwnął głową i pozwolił koledze zachować twarz. Wszyscy wiedzieli, że Willy robił się nerwowy, kiedy zapadała noc. Wielu pracowników bało się ciemności, nawet niektórzy patolodzy. John uważał to za interesujące zjawisko — współcześni ludzie wciąż nękani są lękami, pozostałymi po czasach, gdy ich przodkowie żyli na otwartej przestrzeni, a wraz z nadejściem nocy pojawiała się prawdziwe zagrożenie. Dzisiaj to nie ciemność mogła cię dopaść — groźni byli ludzie czający się w mroku. Każdy pracownik kostnicy wykuł tę lekcję na pamięć. Liczba zabójstw podwoiła się w tym roku i całe miasto robiło się tak samo nerwowe jak Willy.

Asystent wyszedł, a John włożył kitel, maskę, okulary ochronne i włączył muzykę. Nie ma sekcji bez muzyki.

Rozsunął worek i odchylił się, czekając, aż uderzy go smród.

Nic.

Czasami ciała nie śmierdziały. Poza tym, kiedy się pracowało z umarlakami tak długo, jak John, zmysł węchu zwyczajnie się wyłączał. Mózg w końcu stwierdzał: hej, już to znam. Nawąchałem się tego dość. Nie ma powodu do alarmu.

John zaczął mówić do dyktafonu:

— Nazwisko denata: Truman Harrison. Nie miał drugiego imienia. Mężczyzna, lat pięćdziesiąt jeden. Afroamerykanin ze stwierdzoną chorobą wieńcową.

Sfotografował ciało, po czym zdjął z niego ubranie — niełatwa sprawa bez asystenta. Zbadał denata powierzchownie, ze zdziwieniem stwierdzając brak objawów *rigor mortis* i plam opadowych. Widocznie gość został zapakowany do lodówki tuż po zgonie. I potwornie obgryzał paznokcie, zauważył John, unosząc rękę zmarłego, by lepiej się jej przyjrzeć.

Na dworze szalał sztorm, ale w sali autopsyjnej, w samym sercu kostnicy, było cicho. John prawie zapomniał o nawałnicy. Nagle nie-dający się z niczym pomylić odgłos grzmotu przeniknął przez grube ściany, aż zabrzęczały szklane pojemniki w szafkach. Sala zatoneła w ciemności. Po chwili włączyły się awaryjne generatory i światło znów rozbłysło.

Wszystko pod kontrolą.

John kontynuował sekcję. Umieścił gumowy blok pod karkiem zwłok i ustawił skalpel, by wykonać nacięcie w kształcie litery Y, poczynając od prawego ramienia tuż pod obojczykiem. Naciął dwa centymetry, kiedy nieboszczyk wydał długie westchnienie.

Skalpel wysliznął się z palców lekarza i z brzękiem poleciał na stałowy stół. Patolog wpatrywał się w twarz denata, szukając oznak życia.

W rozkładającym się ciele szybko tworzyły się gazy i taki pozorny wydech zmarłego nie był niczym niezwykłym. Niektóre ciała nawet się poruszały, kiedy gazy przemieszczały się, szukając ujścia.

— Jasna cholera. — John zaśmiał się nerwowo.

Chwycił skalpel i uniośł rękę, by kontynuować nacięcie. Cały się trząśł.

— Cholera. Ależ dzieciak z ciebie. Uspokój się. To było tylko trochę gazu, i tyle.

Poniewczasie przypomniał sobie o dyktafonie. Nogą w drewnianym chodaku nacisnął przycisk. Stał przez chwilę, oddychając ciężko. Wiatrak wyciągu pod stołem cicho mruczał.

W końcu John rzucił skalpel na tacę z narzędziami, ujął nadgarstek denata i zaczął szukać pulsu.

Nic.

Dotknął tętnicy szyjnej.

Nic.

Wyciągnął miniaturową latarkę i sprawdził źrenice.

Żadnej reakcji. Żadnego odruchu, drgnienia.

Odwrócił głowę zmarłego na jedną, potem na drugą stronę.

— Lekkie odbarwienie skóry. Spowodowane brakiem krążenia; dość pewna oznaka śmierci. Wargi były fioletowe. Palce i paznokcie tak samo.

John przetoczył ciało na bok, by obejrzeć plecy i pośladki.

— Brak plam opadowych.

Opuścił ciało do poprzedniej pozycji.

Poszedł do umywalni i grzebał przez chwilę w szafkach, aż znalazł stetoskop.

Po powrocie do sali, czując się jak idiota i ciesząc się, że nikogo nie ma w pobliżu, wyłączył wyciąg i przyłożył stetoskop do piersi zmarłego.

Czyżby coś słyszał? Ciche, słabe: puk, puk? A może to tylko własna krew pulsowała mu gorączkowo w głowie?

Wyjął słuchawki z uszu i rozglądał się dokoła, szukając czegoś. Wreszcie znalazł lusterko. Okrągłe, o średnicy jakichś dwudziestu centymetrów. Wytrzeł je do czysta papierowym ręcznikiem, usuwając wszelkie smugi i odciski palców. Przystawił je do ust i nosa zmarłego.

Prymitywne, ale skuteczne.

Jednym okiem spoglądając na zegar, odczekał pełną minutę i podniósł je.

Na powierzchni lusterka widniała niewielka plamka pary. Znikła powoli. John gapił się na to z przerażeniem i niedowierzaniem.

To nie mogło się dzieć.

Znowu.

## Rozdział 2

Elise Sandburg wyciągnęła sok pomarańczowy i mleko z ciemnej lodówki. Na dworze błysnęło i grzmot zatrzęsł oknami jej wiekowego, wiktoriańskiego domu. Mieszkała w starej dzielnicy Savannah.

— Chciałam zrobić francuskie tosty. — Zamknęła lodówkę łokciem i postawiła kartony na zabytkowym stole, przy którym siedziała jej trzynastoletnia córka. Jej twarz oświetlał płomień sztormowej świecy.

Audrey patrzyła prosto przed siebie zaczerwienionymi oczami. Długie, kręcone, kasztanowe włosy sięgały jej do ramion i były potargane od snu.

— Ale chyba będziemy się musiały zadowolić zimnymi płatkami — powiedziała Elise. — Piorun trafił w podstację, a to znaczy, że prądu może nie być do jutra.

Audrey miała to w nosie. Jutro i tak będzie w domu. W swoim prawdziwym domu. A francuskie tosty nie sprawią, że wszystko nagle stanie się cudownie. Dlaczego jej matka tak myślała? Audrey nie była już małym dzieckiem. Dzięki francuskim tostom wcale nie będzie się czuła lepiej u swojej mamy.

Chciała być w domu, u taty, w swoim pokoju, we własnym łóżku, blisko przyjaciół. Nie tutaj, gdzie wszystko wydawało się niesamowite, nawet kiedy nie włączali prądu.

Parę lat temu Elise — Audrey nazywała swoją matkę Elise, przynajmniej w myślach — zaczęła remontować dom. Zrywała wykładziny i skrobała ściany aż do gołych śmierdzących desek, cuchnącej starej tapety i dziur tak wielkich, że dałoby się przez nie przeleźć.

I nagle, pewnego dnia, po prostu przestała.

Podłogi wciąż skrzypiały, a drzwi same się otwierały. Jej matka — Elise — mówiła, że budynek osiadł i drzwi wiszą pod złym kątem, ale Audrey nie czuła się od tych zapewnień ani trochę lepiej, kiedy któreś otwierały się same za jej plecami.

Elise szła w jej stronę z dwiema miskami w jednej ręce, pudełkiem płatków w drugiej i kolejnym pudełkiem płatków pod pachą. Miała na sobie starą, popielatą koszulkę policyjną i flanelowe spodnie od piżamy. Nie włożyła biustonosza.

Jej włosy były proste i ciemne. Przycinała je tuż poniżej uszu. Tęczówki oczu przecinały dziwne linie.

— Całkiem nam tu miło, prawda? — zapytała Elise, siadając przy stole.

Miło?

Słodki kocie!

Audrey lubiła wymyślać powiedzonka. „Słodki kocie” było najnowsze i stało się prawdziwym hitem w szkole. Miała nadzieję, że pewnego dnia usłyszy w telewizji któreś z nich. Może kiedyś włączy telewizor, a tu na przykład David Letterman wykrzyknie: „Słodki kocie!”

Audrey naląła sobie soku i sięgnęła po pudełko.

— Czytałam o dziewczynie, która zmieniła sobie imię — powiedziała, rozsypując płatki po stole. — Twierdziła, że to było proste. — Naląła mleka do miski i wzięła łyżkę.

— A co, chcesz zmienić imię?

Audrey wzruszyła ramionami, próbując zrobić obojętną minę, choć serce biło jej jak oszalałe.

— Myślałam o tym.

— W niektórych kulturach uważa się, że dziecko powinno samo wybierać sobie imię — odparła Elise. — I w sumie zawsze mi się ten pomysł podobał, tylko że takie dziecko całymi latami mogłoby chodzić bez imienia. Albo kończyłoby nazwane swoim pierwszym słowem, które pewnie brzmiałoby „mama” albo „dada”, albo byłoby nazwą ulubionej zabawki czy potrawy.

Audrey powinna była się domyślić, że Elise spodoba się ten pomysł. Tata wpadł w panikę, kiedy o tym wspomniała.

— Wybrałaś już coś? — zapytała Elise z pełnymi ustami.

— Podoba mi się Bianca. I Chelsea. I Courtney. Elise zastanawiała się przez chwilę.

— To ładne imiona. — Kiwnęła głową.

— A co myślisz o Savannah? — zapytała Audrey. — Wtedy mogłabym być Savannah z Savannah.

Elise pochyliła się ku niej, opierając przedramiona na brzegu stołu.

— A może Georgia z Georgii?

Ta rozmowa nie szła tak jak powinna. Ale przecież nic, co dotyczyło Elise, nie było zupełnie normalne. Audrey spodziewała się kłótni. Pragnęła jej. Czy Elise nie obchodziło, jakie imię będzie nosić jej córka?

—W szkole sprawdzaliśmy, co znaczą nasze imiona. — Dziewczyna zmarszczyła brwi, zdezorientowana i zirytowana. — Audrey to inaczej szlachetność.

Elise odłożyła łyżkę.

— Nie szlachetność. Szlachetna siła.

—Tak czy inaczej, kto je wymyślił? — Niemożliwe, żeby tata. Tego nie mógł wymyślić jej tata.

—Ja. Ale twój ojciec zgodził się, że jest urocze.

Zadzwoił telefon.

Elise podniosła bezprzewodową słuchawkę. Przypomniała sobie, że nie ma prądu, i pobiegła korytarzem do zwykłego aparatu.

Czy Audrey naprawdę jej nienawdziła?

A może jej postawa wynikała z wieku? Ile w tym było zachowania typowej trzynastolatki?

Trzynaście lat to koszmarny wiek. Gorsze było tylko czternaście, które Audrey skończy za siedem miesięcy. Elise wypaliła swojego pierwszego papierosa jako jedenastolatka. Trzynastolatki brały narkotyki. Uprawiały seks. Rodziły dzieci.

Ona nienawdzi swojego imienia.

Co było nie tak z imieniem Audrey? Co prawda teraz Elise raczej by go nie wybrała, ale miała osiemnaście lat, kiedy urodziła się jej córka. Wtedy to imię wydawało się całkiem fajne.

Dzwoniła Coretta Hoffman, szefowa wydziału zabójstw.

— Chcę, żebyście z Gouldem zajrzeli do kostnicy, zanim przyjdziecie rano na komendę — powiedziała pani major. — Kolejne ciało ożyło.

Kolejne ciało.

Elise poczuła mrowienie na karku.

Dwa „zmartwychwstania" w ciągu miesiąca. Pierwszy przypadek był pomyłką. Lekarz na ostrym dyżurze błędnie stwierdził zgon. Niefortunny pacjent, męska prostytutka po przedawkowaniu, ocknął się w kostnicy.

Elise słyszała o tym.

Nie rozgłaszano tego wszem wobec, ale od czasu do czasu ludzi omyłkowo uznawano za zmarłych. Nikt nie lubił o tym myśleć, ale to się zdarzało.



Ale dwa razy? I to w ciągu miesiąca?

Czy te przypadki były powiązane? Czy był to tylko wyjątkowo dziwny zbieg okoliczności?

— Będę tam najszybciej, jak się da. — Elise rozłączyła się i wróciła do kuchni.

— David Gould?

— Major Hoffman.

— Aha. — Audrey wydawała się zawiedziona. — Lubię twojego nowego partnera.

— Hm — odparła Elise. Jeśli o to chodzi, Audrey z pewnością należała do mniejszości. — A dlaczego to wydaje ci się taki wyjątkowy?

— Nie traktuje mnie jak dziecko. I nie zadaje głupich pytań w rodzaju „Jak tam w szkole?” czy „Skąd wzięłaś te śliczne loki?” I w ogóle nie zachowuje się jak gliniarz. — Zastanowiła się chwilę i dodała: — Prawdę mówiąc, nie zachowuje się nawet jak dorosły.

Niestety, Elise musiała się z tym zgodzić.

Elise planowała spędzenie więcej czasu z Audrey tej wiosny i lata. I mając to na względzie, z entuzjazmem i nadzieją czekała na przydział nowego partnera. Takiego, który weźmie się z kopyta do roboty i będzie dla niej wsparciem, jakiego od dawna potrzebowała.

Marzenia ściętej głowy.

Jej nowy partner ledwie sobie radził z własną papierkową robotą, a co dopiero mówić o pomaganiu Elise w zaległościach z raportami, porządkowaniem papierów i zamkniętych spraw.

David Gould. Kiedyś był agentem FBI, ale twierdził, że zależało mu na mniej stresującej pracy. Mniej stresującej, czyli łatwiejszej.

I choć Elise nie była plotkarą, jak wiele innych osób na komendzie, lubiła wiedzieć, kto jej obstawia tyły. O Gouldzie wiedziała jednak tylko tyle, że przeniesiono go z Cleveland. I że nie zagrzał tam długo miejsca.

Zaczynała podejrzewać, że z radością się go pozbyli.

## Rozdział 3

David Gould przebiegł osiem kilometrów i zostało mu jeszcze drugie tyle, kiedy zapikał jego pager. Nie sprawdził, kto dzwoni.

Kiedy wychodził z domu, ulice były ciemne i puste, mgła wisiała nad rozległymi trawnikami i kępami gęstej roślinności. Teraz zrobiło się jasno. Sztorm przesunął się nad Adante i ruch uliczny przybierał na sile. Chodniki były zaśmieczone poszarpanymi liśćmi i zmiętymi kwiatami. W kilku miejscach David zauważył zwalone drzewa.

Niezła burza.

Powinien chyba biegać z komórką, ale czułby się wtedy jak pies na smyczy. W bieganiu chodziło właśnie o to, żeby na chwilę oderwać się od wszystkiego. To był czas, kiedy oczyszczał swój umysł i pozwalał sobie wpaść w półhipnotyczny stan, ukołysany rytmicznym tupotem sportowych butów.

Krok miał równy; zmieniał się tylko dźwięk wydawany przez podeszwy — zależnie od nawierzchni. Miękki, pusty odgłos uderzania stopami o ziemię przeplatał się z bardziej konkretnym klaskaniem o asfalt. To zaś zastępował łomot, gdy biegł po betonie, lub chrzęst żwiru.

Żwir lubił najmniej, bo dźwięk nie był tak czysty.

Mózg miał wiecznie przepełniony niepotrzebnym śmieciem, który nie służył niczemu i tylko mącił mu w głowie, i komplikował myśli. Bieganie pomagało. Dla niego jogging był odpowiednikiem defragmentacji twardego dysku. Pod koniec dnia zwykle czuł się w miarę dobrze, można powiedzieć pogodzony ze światem. Ale każdy kolejny poranek przynosił świeży ładunek śmieci i rozpaczliwą potrzebę oczyszczenia się.

David przebiegł przez Park Forsytha, mijając fontannę z plującymi wodą trytonami i faceta sprzedającego zbawienie. Bezdomna kobieta wylazła na czworaka spod kwitnącej magnolii — pewnie spędziła pod nią noc. Kilka osób, których nie znał, powiedziało mu dzień dobry.

Wszyscy tu byli tak cholernie przyjaźni. Wkurzało go to.

Jak na razie David nie doświadczył Savannah, o którym pisał John Berendt. Savannah Davida Goulda było miejscem mroczniejszym. Miało więcej wspólnego z życiem na ulicach niż z egzystencją w pałacu. Choć nie mógł zaprzeczyć, że było to najpiękniejsze miasto, jakie widział. Swoją urodę i unikatowy charakter zawdzięczało przede wszystkim dwudziestu dwóm placom zaprojektowanym przez założyciela, Jamesa Oglethorpe'a. Otaczały je jedno — i dwupiętrowe za- bytkowe budynki z wdzięcznie wygiętymi schodami od frontu, prowadzącymi na przegowane chodniki i ceglane ulice. Wokół rozciągały się ciche, ustronne parki z baldachimami hiszpańskiego mchu.

Z tym pięknym obliczem kontrastowały mrok i tajemnica, przesycające krajobraz południowego miasta. Fałszywa utopia, która jednocześnie wabiła i odpychała.

Kiedy pojawiła się ta ciemność? — zastanawiał się David. — Przed wojną secesyjną? Przed Shermanem? A może zapoczątkowała ją właśnie wizyta Shermana?

Jakiegolwiek były jego korzenie, mrok nadawał miastu dziwną aurę, której David nie potrafił do końca zdefiniować, ale która sprawiała, że człowiek czuł się jak w którymś z odcinków *Strefy mroku*. Cały czas miało się nadzieję, że Rod Serling wyjdzie zza jakiegoś rogu i wszystko wyjaśni...

Słońce wstało niedawno, ale już zaczynało się robić parno. I robi-czywie.

Wraz z latem przychodziły nieprzyjemne rzeczy: zatokowe bóle głowy, pleśń, butwienie drewna, żuki palmetto, które tak naprawdę były gigantycznymi, latającymi karaluchami. Kogo oni tu chcieli oszukać tą nazwą?

I szczury.

Jezu, szczury. Miasto aż się od nich roiło. Partnerka Davida zapewniła go, że nie zawsze tak było, że nadmierne opady, wyburzenie starych budynków i wznoszenie nowych przepędziły gryzonie z dawnych siedlisk i zagoniły do najsłynniejszych restauracji w mieście.

Nie można ich było otruć. Zdychałyby w ścianach i wtedy dopiero byłby smród. Kilku restauratorów nabrało zwyczajną przesiadywania

po nocach z dwudziestkami dwójkami. Rozwalali każdego zwierza-  
ka, który się pokazał.

Po godzinach otwarcia ludzie zbierali się pod ciemnymi witrynami  
restauracji i patrzyli, jak szczury wychodzą się pobawić. Patrzyli, jak  
ganiają po stołach, przewracając solniczki i pieprzniczki, błyskając  
ślepiami. Ale w końcu mieszkańcy Savannah też potrzebowali jakiejś  
rozrywki. Tutejsze kina rzadko grały przyzwoite filmy, a jeśli chodzi o  
muzykę... no cóż, w knajpkach można było posłuchać obowiąz-  
kowego, sztamkowego bluesa i jazzu, które były raczej muzycznym  
odpowiednikiem darmowych skrzydełek z kurczaka.

Wiosna i ocieplenie przyniosły też morderstwa. Miasto już pobilo  
zeszłoroczny rekord — nie żeby ktoś chciał się przechwalać, chociaż  
pewnie znaleźliby się i tacy.

Na skrzyżowaniu Abercorn i Gordon David zatrzymał się i spojrzął  
na pager. Elise Sandburg, tak jak się spodziewał. Zostawiła wiado-  
mość: Dołącz do mnie w kostnicy. Dziwne.

Ruszył do domu, mijając grupkę dziewczynek skaczących przez  
skakankę w takt piosenki, która znów przypomniała mu, gdzie jest:

*Dzieciątka w łóżeczku,*

*Pani w czarnej sukni.*

*W czoło je całuje,*

*W ziemię kładzie trupki.*

*Czarny iks na usta,*

*Krwawy iks na grób.*

*Srebrny dolar na oczęta,*

*Już nie wstanie trup.*

Jego mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze budynku zwanego  
Świątą Marią od Aniołków.

Kiedyś mieścił się tu sierociniec dla dzieci, które straciły rodziny w  
epidemii żółtej febry, pustoszącej Savannah w 1854 roku. Potem było  
tu hospicjum dla gruźlików — w czasach, kiedy gruźlica była wyro-  
kiem śmierci.

— Och, David. Tu jest okropnie — stwierdziła jego siostra, kiedy odwiedziła go przy okazji służbowej podróży w te strony. — To było jedyne mieszkanie, jakie udało ci się znaleźć?

— To było pierwsze.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Przywitała go jego syjamska kotka, łasząc mu się do nóg i miaucząc.

Isobel była kiedyś kotem jego żony. Która byłaby już ekszoną, gdyby tylko prawnicy zebrali wreszcie dupy w troki i załatwili papierkową robotę. Beth błagała go, by zaopiekował się Isobel, kiedy ona sama zaczynała nowe życie w celi śmierci.

Syjamy podobno miały być niezależne, ale Isobel okazała się najbardziej potrzebującym uwagi kotem, jakiego David kiedykolwiek widział. Ale może traumatyczne przeżycia zeszłego roku były ciężkie i dla niej. Może potrzebowała kociego psychoanalityka.

Wziął prysznic, ubrał się w szare spodnie i białą koszulę. Włożył szelki z kaburą na broń. Najbardziej lubił smith & wesson kaliber 40. Lubił jego ciężar, precyzję, podobało mu się, jak ściśle przylegał do jego ciała. Strój uzupełnił marynarką, pasującą do spodni.

Mieszkał w Savannah od trzech miesięcy i wciąż czuł się, jakby wszedł w cudze buty, w cudze życie. Przeżywał kolejne dni, ale zdawało się, że nic go nie dotyka — wszystko było jakby nierealne. Nie chodziło tylko o Savannah. Już od dawna wszystko zdawało mu się nierealne.

Tak działały antydepresanty.

Kluczyki. Odznaka. Kajdanki.

No i były jeszcze te dupki na komendzie. Dawali mu popalić od pierwszego dnia w ich uroczym mieście. Szczególnie dwóch detektywów, którym David nadawał różne przezwiska, zależnie od nastroju. Starsky i Hutch. Cagney i Lacey Jaś i Małgosia. Sonny i Cher.

To oni zaczęli tę wojnę. Co właściwie mieli przeciwko niemu? Był z Ohio, z północy. Z Wielkiej Paskudnej Północy, gdzie mieszkali ci wszyscy okropni, niegrzeczni Jankesi.

Najwyraźniej wojna secesyjna wciąż się tu jeszcze toczyła; Południowcy po prostu nie dostali okólnika z informacją, że zawarto już pokój.

Pieprzyć ich. Powinno go to obchodzić, ale nie obchodziło.

David wiedział, że jego obojętność jest nie do przyjęcia, wiedział, że powinien pójść do miejscowego terapeuty, ale jakoś nie mógł z siebie wyrzesać dosyć entuzjazmu, by zrealizować ten pomysł. A zresztą ocenili go już psychologowie z FBI i uznali za zdrowego psychicznie. Dlaczego miałby to negocjować? Wszyscy mieli jakieś problemy. I wszyscy byli trochę stuknięci.

## Rozdział 4

Elise wjechała na parking przed kostnicą i zauważyła czarną hondę Davida Goulda. Widocznie obserwował ją we wstecznym lusterku, bo kiedy tylko zgasiła silnik swojego żółtego saaba kombi, wysiadł z samochodu.

Wysoki około metra osiemdziesięciu. Ubrany był w luźny garnitur, który przywodził jej na myśl stare filmy. Włosy miał ani krótkie, ani długie, brązowe, z kilkoma jaśniejszymi pasmami, które zawdzięczał wielu godzinom spędzonym na dworze, na słońcu.

Koledzy z pracy twierdzili, że widywali go, jak biegał kilkanaście kilometrów poza centrum miasta. Po ciemku. W deszczu.

Jogging.

Przy jego permanentnym braku zainteresowania czymkolwiek trudno było sobie wyobrazić, że ma dość ambicji, by przebiec choćby kilometr, a co dopiero kilkanaście.

Na oko wydawał się dość przeciętny, ale Elise od czasu do czasu zauważała jakiś niepokojący błysk w jego niebieskich oczach. Coś, co sprawiało, że czuła się nieswojo, i co mówiło jej, że David Gould bynajmniej nie jest przeciętny.

Miał tę typową dla FBI umiejętność wtapiania się w tło i jeśli nie przyjrzało mu się uważnie, wydawał się podobny do wielu facetów. Z rodzaju tych, co to nosili garnitur, pracowali w biurze i ćwiczyli

cztery razy w tygodniu. Z tych, co mieli żonę, dwójkę dzieci i w weekendy rozpalali grilla w ogródku za domem. W niedzielę chodzili do kościoła, a podczas świąt potrafili nawet chować wielkanocne jajka czy przebrać się za Mikołaja.

Gould mógł być takim facetem, ale nie był.

Elise nie była taka głupia.

Nie podejmował żadnych starań, by stać się częścią grupy. Częścią czegokolwiek. Nie zdobywał sobie przyjaciół ani nie próbował wyrobić sobie wpływów w wydziale zabójstw. Wyglądało na to, że zupełnie go nie obchodzi, czy ktoś go lubi, czy nie. Elise podejrzewała, że po prostu chciał, by dano mu spokój.

Na pierwszy rzut oka bila od niego jakaś szczeniacka niedojrzałość, ale Elise podejrzewała, że w rzeczywistości było to coś zupełnie innego. Nie potrafiła go sklasyfikować. Nie potrafiła określić, kim był. Czego chciał. Dlaczego się tu zjawił.

Przeżył jakąś tragedię. Elise nie wiedziała tylko jaką. Na razie.

Czy zesłanie tutaj miało być dla niego karą? A może tylko zabijał czas, aż będzie mógł wrócić tam, skąd przyszedł?

John Casper już na nich czekał. Elise spotkała go wcześniej parę razy i polubiła. Był przyjacielski, naturalny, bezpretensjonalny.

Kręcone włosy młodego patologa wyglądały na bardziej potargane niż zazwyczaj. Biały kitel był pomiętyjakby doktor w nim spał. Twarz miał bladą, pod oczami ciemne kręgi.

Elise przedstawiła mu swojego partnera. Podali sobie dłonie.

— Gdzie jest ciało? — zapytał Gould, rozglądając się po mrocznym holu.

— Pogotowie zabrało go do szpitala. — Więc żyje — powiedziała Elise. — Jeśli można to tak nazwać.

Doktor Casper powiedział im o nawale pracy, który mieli ostatnio, i o tym, że cały personel leciał z nóg.

— Ale wydaje mi się, że nawet gdyby było dużo spokojniej, nie stałoby się inaczej. Myślę, że i tak nikt by nie zauważył, że on nie umarł. — Wskazał plastikowe krzesła, ustawione rzędem pod bladezieloną ścianą.

Elise i David usiedli; Casper przyciągnął sobie krzesło, tak by siedzieć twarzą do nich. Przetarł twarz drżącą dłonią.

— Czasami zwłoki to robią.

— Co robią? — zapytała Elise.

— Poruszają się. Wydychają powietrze. To nam szarpie nerwy, ale się zdarza.

Oparł kostkę o kolano i zaczął bawić się sznurowadłem, dłubiąc w dziurce buta plastikową końcówką.

— Na uczelni celowo pompowaliśmy powietrze do ciał, i kiedy student nacinał denata... — Urwał w pół zdania, jakby nagle przypomniał sobie, że nie rozmawia z kolegami ze studiów. — Przepraszam. — Pocił się obficie. — Po prostu jestem tak cholernie... och, do diabła!

— Nie ma za co przepraszać — zapewniła go Elise. — Coś takiego każdego wytrąciłoby z równowagi.

Doktor Casper otarł twarz rękawem kida.

— Nie spałem prawie od dwóch dni. Zawsze robię się trochę nerwowy, kiedy jestem niewyspany.

— Sam przeprowadzał pan autopsję? — zapytała Elise.

— Zbierało się na burzę, więc powiedziałem Willy'emu... to asystent w kostnicy... powiedziałem mu, żeby poszedł do domu. — Roześmiał się, jakby coś mu się przypomniało. — Gdyby Willy tu był, kiedy to się stało, mielibyśmy w ścianie dziurę w kształcie człowieka. — Pośmiał się jeszcze trochę.

— Zauważył pan coś niezwykłego, oglądając ciało? — zapytał Gould, pochylając się do przodu. Z przedramionami opartymi o kolana, ze splecionymi dłońmi, wydawał się niemal zainteresowany.

— No cóż, nie śmierdziało, ale miałem włączony wyciąg. I wbrew powszechnemu przekonaniu nie wszystkie zwłoki śmierdzą.

Elise nie dała się na to nabrać. Patolodzy spędzali tyle czasu przy cuchnących zwłokach, że ciut słabszy smród już do nich nie docierał.

— I nie było ani śladu plam opadowych. To rzadkie, ale nie niemożliwe. Widziałem to już wcześniej. Jeśli zwłoki zostaną od razu umieszczone w chłodni, mogą wyglądać całkiem świeżo. — Twarz doktora Caspera przybrała dziwny wyraz. — Chyba że tamte też nie były martwe.



Elise nie odpowiedziała. Nie była dobra w fałszywych pocieszeniach i mogła się pochwalić, że nigdy w życiu nie wypowiedziała zdania: „Wszystko będzie dobrze”.

Spojrzała na Goulda, a on uniósł brwiiakby mówił: To twoje przedstawienie. Ja tu jestem tylko do pomocy.

Elise odsunęła od siebie zniecierpliwienie i skupiła się na sprawie.

— Będziemy potrzebowali nazwiska lekarza, który uznał go za zmarłego i podpisał akt zgonu — powiedziała.

— Już to sprawdziłem. — Doktor Casper wyciągnął z kieszeni na piersi kartkę i podał ją Elise. — Doktor James Fritz.

— Zna go pan?

Młody patolog pokręcił głową.

— Nazwisko brzmi znajomo. W każdym razie nie słyszałem o nim nic złego, a o takich rzeczach zawsze się słyszy. Pacjent był chory na serce. Zmarł czy też wydawało się, że zmarł, w domu. Żona wezwała pogotowie. Nie było oznak życia. W szpitalu stwierdzono zgon.

— A ten przypadek sprzed trzech tygodni? — zapytał Gould.

Elise była trochę zaskoczona, że pamiętał przypadek sprzed trzech tygodni. To nie było ich śledztwo. Elise pamiętała tylko, że delikwent zmarł krótko po „zmartwychwstaniu”.

— Inny szpital, inny lekarz — odparł Casper. — Znów zaczął się bawić sznurowadłem. — Zostałem patologiem, bo lubię pracować ze zmarłymi, nie z żywymi — wyjaśnił. — Nigdy nie chciałem trzymać w rękach czyjegoś życia.

— Jest jakaś szansa, że ten człowiek się ocknie i powie nam, co się z nim stało? — zapytała Elise.

— Podejrzewam, że jest warzywem. Brał tylko jeden płytki oddech na minutę. Mózg potrzebuje więcej tlenu.

Gould splótł palce.

— A co z ludźmi, którzy zostali wyciągnięci z lodowatej wody, byli klinicznie martwi od paru godzin i potem ożywali?

— Proszę zapytać pięciu lekarzy o definicję śmierci, a dostanie pan pięć różnych odpowiedzi — stwierdził Casper. — Bez pomocy drogiego sprzętu czasami nie można stwierdzić, czy ktoś naprawdę nie

żyje Standardowo za chwilę śmierci uznaje się nieodwracalny zanik spontanicznej funkcji serca i płuc

Wydawało się, że odzyskał trochę pewności siebie, mogąc odwołać się do książkowej wiedzy.

— Dziś już wiemy, że granica między życiem i śmiercią nie jest tak jasna Napisano na ten temat setki prac naukowych, ale i nie podano jednoznacznej definicji śmierci

— Żeby dobrze zrozumiał — powiedział Gould — Chce pan powiedzieć, że nie ma ustalonego kryterium określającego moment śmierci?

— *Standardowa procedura stwierdzenia zgonu* bierze pod uwagę dwa konkretne kryteria, a mianowicie ustanie krążenia i oddechu oraz czynności elektrycznej mózgu Nie ma niestety tanich testów, pozwalających zmierzyć te parametry — wyjaśnił Casper. — Zazwyczaj po prostu obserwuje się pacjenta przez dwie minuty i poszukuje oznak oddechu i akcji serca Nawet przy zastosowaniu takiej diagnostyki, jak EKG czy zdjęcia rentgenowskie z użyciem kontrastu, zdarzały się przypadki, że najbardziej wyrafinowany sprzęt okazywał się zawodny

Doktor Casper pokręcił głową, jakby zdumiony własną relacją, choć najwyraźniej studiował ten temat.

— Oto ciekawostka w sam raz dla was Istnieje pewna grupa optująca za przyjęciem takich zasad określania śmierci, które pozwalałyby na grzebanie ludzi po śmierci mózgowej ze spontanicznym oddechem i akcją serca.

— Az ciarki chodzą po plecach — mruknął Gould. Elise tylko patrzyła na doktora z przerażeniem.

— Jak brzmiało to zdanie z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*? — zapytał Gould, spoglądając w sufit. — Coś o byciu nie tylko nieżywym? Casper zastanowił się chwilę.

— Ona jest me tylko zwyczajnie meżywa, ona jest kompletnie nieżywa.

Mężczyźni roześmiali się, zbratani nagle ze sobą. Elise zmarszczyła brwi Nie wiedziała, kto irytował ją bardziej Casper, który tak łatwo przebił się przez skorupę Goulda, czy Gould,

prowokujący niestosowne zachowanie. A może po prostu była zazdrosna, bo obydwaj dobrze się bawili, a ona nie?

Ta ewentualność też ją irytowała.

Kiedy Gould pochwyił jej pełne dezaprobaty spojrzenie, jego śmiech zamarł natychmiast, zmieniając się w krzywy uśmiech.

Kurczę, ten facet był całkiem do rzeczy, kiedy wydobywał się ze swojego marazmu.

— Prawdę mówiąc — powiedział Casper, odzyskując panowanie nad sobą — najprostsza i najlepsza metoda stwierdzenia czyjejs śmierci to poczekać, aż zgnije.

Gould zerknął na Elise z uniesioną brwią.

— Medycyna poczyniła ogromne postępy — rzucił sucho. — Co będzie następne? Trzydniowe czuwanie, by mieć pewność, że nasi najbliżsi naprawdę są martwi?

— To całkiem niezły pomysł — odparł doktor Casper, żartując tylko po części.

Elise podziękowała mu i oboje z Gouldem udali się do szpitala, gdzie zabrano Trumana Harrisona. O ile pamiętała, jeszcze nigdy nie rozmawiała z nieboszczykiem.

## Rozdział 5

Ktoś płakał. Elise usłyszała tę kobietę, kiedy razem z Gouldem zbliżyli się do szpitalnego pokoju Trumana Harrisona. Ten pojedynczy szloch wywołał reakcję łańcuchową; dołączyły do niego co najmniej dwie osoby. Trzy metry od otwartych drzwi Gould się zatrzymał.

— Chryste. — Przypadł do ściany, jakby chciał się schować przed snajperem.

— Co znowu?

— Nie wiem, czy dam radę tam wejść. Nie lubię szpitali. Nie chcę...

— Wskazał palcem kierunek, z którego dochodził szloch. — Nie lubię tego rodzaju emocji.

Elise wiedziała, że to nie fair, ale Gould nagle stał się w jej oczach winny wszystkich obecnych niepowodzeń w jej życiu — a głównie tego, że nie miała czasu dla Audrey. Może zareagowała zbyt ostro, ale nie miała siły ani ochoty trzymać Davida Goulda za rączkę.

— Może kiedy byłeś agentem FBI, udawało ci się zachowywać dystans — powiedziała, nie potrafiąc ukryć irytacji — ale kontakty z rodzinami w żałobie nie są niczym niezwykłym w pracy detektywa. To nigdy nie jest łatwe, ale musimy to robić.

— Mówiłem ci kiedyś, jak wycinali mi wyrostek? — zapytał poruszony. Najwyraźniej usiłował grać na zwłokę.

Dlaczego nie mogła dostać partnera z prawdziwego zdarzenia?

— Tu przecież nie chodzi o ciebie — powiedziała.

— Czekaj.

Boże, ale on kombinuje! — To, co chcę powiedzieć, jest istotne.

Założyła ręce na piersi i oparła się o ścianę. Postanowiła, że da mu minutę.

— Kiedy miałem dwadzieścia lat, przeszedłem operację wycięcia wyrostka — zaczął pospiesznie. — Przygotowali mnie, dali głupiego Jasia i zawieźli na salę operacyjną, gdzie zaczęli mi podawać narkozę. Ale zamiast mnie uśpić, ten środek sprawił, że stałem się hiperprzysomny. Zmysły miałem wyostrzone. Zakończenia nerwowe pod skórą były jak pod napięciem elektrycznym. — Uniósł dłoń z rozsuniętymi palcami, jakby chciał to pokazać. — Czułem, jak włoski wyrastają mi z porów. — Zniżył głos do szeptu i pochylił się ku niej. — Słyszałem rozmowy dwie sale dalej.

— Chcesz mi powiedzieć, że byłeś przytomny przez całą operację?

— Stanowczo powinna wymienić Davida Goulda na nowy model.

— Czułem i słyszałem wszystko.

— To okropne. — Kłamał w żywe oczy.

— Nie wierzysz mi, co?

— No cóż...

— Nie szkodzi. Nikt mi nie wierzył. Lekarze, pielęgniarki, rodzice ani nawet moja dziewczyna. Dlaczego ty miałabyś uwierzyć? W każdym razie nie dlatego postanowiłem ci to wszystko opowiedzieć właśnie w tej chwili. Chodzi o to, że nasz kolega Harrison może słyszeć to, co się wokół niego dzieje, nawet jeśli jest w śpiączce.

Na swój dziwny zagmatwany sposób Gould nareszcie powiedział coś sensownego. Może go jeszcze nie będzie wymieniać.

— Będę uważać.

— Po prostu załóż, że on wszystko słyszy.

— Postaram się o tym pamiętać. — Przyjrzała mu się uważniej. Miał szarą jak popiół twarz. Poczowała ukłucie empatii. — Poradzisz sobie jakoś? — Partner ze szpitalną fobią. Jakie jeszcze niespodzianki ją czekały?

David kiwnął głową. Rozluźni! ramiona i poszedł za nią.

Słońce rozświetlało szpitalny pokój. Kobieta w białym kostiumie siedziała niedaleko okna. Dwójka innych — sporo młodsza kobieta i mężczyzna — stali nieopodal. Płacz, przynajmniej na razie, ucichł.

Pogrążony w śpiączce mężczyzna był podłączony do kroplówki i monitora EKG, który pulsował rytmicznie. Kobieta w białym kostiumie okazała się jego żoną, pozostała dwójka — dziećmi.

Elise przedstawiła siebie i Goulda.

— Będziemy prowadzić tę sprawę. Spróbujemy się dowiedzieć, w jaki sposób pani mąż znalazł się w kostnicy... przedwcześnie.

— Obudził się w środku nocy — wyjaśniła pani Harrison. — Powiedział, że mu niedobrze. W drodze do łazienki się przewrócił. Zadzwo- niłam po pogotowie i godzinę później stwierdzono, że nie żyje.

Zaczęła płakać, ale się opanowała. Wzięła głęboki drżący oddech i mówiła dalej.

— Nie mogę myśleć o nim w tym plastikowym worku. Nie mogę myśleć, jak leżał w tej kostnicy. Na stole do sekcji... żywy. To jakiś koszmar. Zwyczajny koszmar.

Pikanie monitora nagle stało się częstsze. Wszyscy wpatrywali się w ekran, na którym wskaźnik pulsu powoli powrócił do poprzedniego rytmu.

— Czy on mnie usłyszał? — zapytała pani Harrison. — Myślicie, że mnie usłyszał? Lekarz powiedział, że on nic nie słyszy.

Elise i Gould wymienili spojrzenia. Dziwne. I owszem.

Rodzina zebrała się wokół łóżka i wszyscy jednocześnie zaczęli coś mówić do pogrążonego w śpiączce mężczyzny, próbując uzyskać odpowiedź albo chociażby żywsze bicie serca.

Nic się nie stało.

Elise zadała pani Harrison jeszcze kilka pytań, po czym wyjęła wizytówkę.

— Proszę zadzwonić, jeśli przyjdzie pani do głowy coś, o czym mogła pani zapomnieć.

Pod drzwiami szpitalnej sali czekała na nich młoda asystentka z administracji.

— Pani dyrektor chciałaby z państwem porozmawiać.

Poprowadziła ich do windy, a potem — wyłożonym dywanem korytarzem — do dużej sali konferencyjnej. Przywitali ich dyrektorka, szef oddziału ratunkowego, rzecznik prasowy i lekarz, który miał nieszczęście uznać Trumana Harrisona za zmarłego. Grupkę uzupełniał ponury, łysy mężczyzna z aktówką, jak się okazało, radca prawny szpitala.

Elise i Gould usiedli obok siebie przy stole.

Szef oddziału ratunkowego, doktor Eklund, wyjął kilka arkuszy papieru.

— Przyszła już część wyników laboratoryjnych pana Harrisona — powiedział, podając kopie Elise i Davidowi. Było oczywiste, że zarząd szpitala chciał przedstawić swoją wersję wydarzeń tak szybko, jak to możliwe.

— Wjego krwi wykryto śladyTTX.

— TTX? — zapytała Elise.

— Tetrodotoksyny. Powszechnie występuje ona u kilku gatunków zwierząt morskich. Podejrzewamy, że pan Harrison zjadł posiłek w jakiejś egzotycznej restauracji serwującej owoce morza.

— Czy to nie trucizna, która występuje u ryb kolcobruchowatych? — zapytał Gould.

— Między innymi.

Doktor odchrząknął i splótł dłonie na stole.

—W Japonii co poniektórzy umyślnie jedzą kolcobrzuchoвате, żeby narkotyzować się tą trucizną — wyjaśnił. — Spowodowało to sporo zgonów. I wygląda na to, że i u nas staje się to modne. Pan Harrison prawdopodobnie odwiedził bar sushi, gdzie podają ten specjał.

— Rozmawiał pan z jego żoną? — zapytał Gould.

— Żona nie wie, gdzie jadł tamtego dnia.

Elise od razu domyśliła się, że całe to przedstawienie zostało starannie wyreżyserowane. Jak na zawołanie prawnik wyciągnął z teczki jakieś papiery.

— To — wyjaśnił — jest oficjalna definicja śmierci zatwierdzona przez Komisję Prezydencką. A to *Standardowa procedura stwierdzenia zgonu*. Jeśli przeczytacie państwo oba dokumenty, przekonacie się, że trzymaliśmy się ustalonych kryteriów i nie było żadnego zaniedbania ze strony personelu Szpitala Miłosierdzia.

Chronili własne tyłki. Nic innego. Elise zebrała luźne kartki i stuknęła nimi o blat, by wyrównać brzegi.

— Nie jesteśmy tu po to, żeby kogokolwiek osądzać — oznajmiła, starając się zachować spokój, przynajmniej pozorny — Naszym zadaniem jest tylko zebranie informacji.

— Może pani chyba zrozumieć nasz niepokój — oznajmiła dyrektorka, dobrze ubrana kobieta koło pięćdziesiątki. — Dziennikarze zrobią z tego sensację. W grę wchodzi dobre imię szpitala.

— My nie pracujemy dla szpitala — odparła Elise, wstając nagle. Dość już usłyszała. — Płacą nam mieszkańcy tego stanu i mają prawo wiedzieć, co zaszło. Jeśli pan Harrison zatrul się posiłkiem w jakiejś restauracji, musimy ustalić, gdzie ostatnio jadł, i jak najszybciej przekazać informacje mediom. A jeśli to nie był jedyny przypadek zatrucia? Musicie wyczulić swój personel na objawy. Powinniście skontaktować się ze specjalistami i dowiedzieć się, jak to można leczyć. To nie jest odpowiedni moment, by chronić wasze dobre imię. Teraz trzeba zadbać o zdrowie i życie ludzi.

Powiedziawszy to, odwróciła się do wyjścia. Gould ruszył za nią trochę wolniej i kiwnął głową zebrany, zanim wyszedł za próg. Winda była zajęta, więc Elise poszła schodami.

— Bravo! — krzyknął Gould, biegnąc za nią po schodach. Dogonił ją, kiedy wychodziła na parking. — Nieźle im wszystkim dokopałaś.

Obróciła się na pięcie i stanęła z nim twarzą w twarz. Nareszcie mogła wyładować gniew. Szkoda, że skrupiło się na Gouldzie. Wiedziała, że później będzie żałować tego wybuchu, ale na razie sprawi jej to cholerną frajdę.

— A ty nie uważasz, że im się należało? Gould uniósł rękę.

— Ja tylko podziwiałem twoją umiejętność odgrywania złego gliny.

— Czy dlatego, że możesz tę umiejętność co najwyżej podziwiać z daleka?

— Co to ma niby znaczyć? Przerwała i rozejrzała się wokół siebie.

— Gdzie mój samochód?

— Ja prowadziłem. — Gould wskazał czarną hondę. — Zostawiłaś swój pod kostnicą. Otworzył auto pilotem i oboje wsiedli do środka.

— Po prostu wydaje mi się, że nic cię nie obchodzi, co najwyżej od czasu do czasu bawi — stwierdziła Elise. No. Nareszcie to zrobiła. Powiedziała coś, to co jej chodziło po głowie od trzech miesięcy. — Nie angażujesz się.

Gould cofnął swój mały samochód i szybko wyjechał z parkingu.

— Mogę wykonywać swoją pracę, nie angażując się.

— Dobry gliniarz musi się przejmować ludźmi.

— W ten sposób dajesz sobie robić krzywdę. Wypalasz się. — To dlatego nie chciałeś wejść do szpitalnego pokoju? — zapytała. — Bo musiałbyś złamać swoją zasadę zachowywania emocjonalnego dystansu?

— Mówiłem ci. Nie lubię szpitali.

— No to wielka szkoda, do cholery. Bo ja też nie! Myślisz, że uda ci się uciec przed wszystkim, co nieprzyjemne?

— Staram się.

Dlaczego nie mogli normalnie porozmawiać? Dlaczego on musiał wszystko utrudniać? Zatrzymał się na czerwonym świetle.



—Więc mówisz, że powinienem zmienić podejście.

— Drobne zmiany na pewno by nie zaszkodziły, a mogłyby ci wręcz ułatwić życie. — Jej też.

—Hm.

O dziwo, wyglądało na to, że potraktował jej słowa poważnie.

— Możesz mieć rację. To było takie łatwe.

— Proszę cię, przemyśl to. — Dlaczego wcześniej nie poruszyła tego tematu? Komunikacja. Chodziło wyłącznie o komunikację.

—Ja po prostu nie chcę — rzucił.

— Nie chcesz? — Przez całe trzydzieści sekund ich rozmowa była do rzeczy — Czego nie chcesz?

— Uporać się z pewnymi sprawami.

— Na przykład...? — Starła się przedłużyć ten moment szczerości i porozumienia.

—Wolałbym o tym nie mówić. Trach.

Och, do diabła z tym. Jeśli ona była z Wenus, to Gould pochodził z planety w jakiejś galaktyce, której jeszcze nie odkryto.

— Muszę coś zjeść — powiedziała, świadomie zmieniając temat. Miała zaledwie trzydzieści jeden lat, ale ostatnio zauważyła, że jej mózg nie działał już tak sprawnie, kiedy miała pusty brzuch. — Skręć do baru dla kierowców po drodze na komendę — poprosiła.

Światło zmieniło się na zielone i Gould przemknął przez skrzyżowanie.

— Dobry pomysł.

Zamówili hamburgery, frytki i napoje.

Elise zazwyczaj zdrowo się odżywiała, ale gdy była zła, porzucała dobre zwyczaje.

Kiedy dostali już swoje jedzenie, Gould ruszył na komendę. Postawił samochód na parkingu po drugiej stronie ulicy.

W drodze do gabinetu Elise minęli grupkę kolegów. Byli wśród nich dwaj detektywi, z którymi Gould miał na pieńku od pierwszego dnia w pracy. Elise pracowała z obydwojema. Po trzydziestce. Dzieciaci.

— Cagney. — Gould kiwnął im głową. — Lacey. Naprawdę nazywali się: Mason i Avery.

— Słyszałem, że przydzielili ci sprawę zombi — powiedział Mason, zwracając się do Elise. Zerknął na swojego partnera i po chwili obaj stali z pochylonymi głowami, chichocząc w pięści, jak dwóch uczniów.

— Bardzo odpowiednia sprawa, prawda? — zapytał Avery, kiedy przestał się śmiać.

Gould posłał Elise zaciekawione spojrzenie.

Najwyraźniej był jedynym człowiekiem w Savannah, który nie wiedział o niej wszystkiego — to jedyna korzyść z tego, że nie potrafił się z nikim zaprzyjaźnić. Zwykle nowo zatrudnieni w ciągu paru dni znali jej życie od A do Z.

Pytanie Avery'ego dowodziło, że choćby człowiek nie wiadomo jak się starał, nie ucieknie od własnej przeszłości. Elise miała nadzieję, że ludzie przynajmniej stracą zainteresowanie tą historią.

Tak się nie stało.

Wszyscy w policji wiedzieli, że Elise jako noworodek została porzucona na cmentarzu. Wkrótce po tym, jak ją odratowano, zaczęły krążyć plotki, że jest przeklętą, nieślubną córką Jacksona Sweeta, potężnego białego szamana, który zmarł mniej więcej w tym czasie, kiedy Elise przyszła na świat.

Nikt nie chciał przeklętego dziecka. W końcu zaadoptowała ją chrześcijańska rodzina, hołdująca starym, sztywnym zasadom. Traktowali ją z wyniosłą dobrocią. Elise przez całe dzieciństwo była outsider—ką, kimś bez prawdziwej tożsamości, ale tajemnice i przypuszczenia co do jej dziedzictwa stały się dla niej fundamentem, pozwalającym jej się określić.

Podczas tych samotnych lat dzieciństwa czytała wszystko co się dało na temat szamanizmu. Kiedy była w wieku Audrey, uczyła się już prostych zaklęć i ziołolecznictwa pod kierunkiem staruchy, która szukała kogoś, komu mogłaby „przekazać moc”.

Ale te czasy dawno minęły.

Od samego początku swojej kariery w policji Elise starała się odciąć od przeszłości, by zyskać wiarygodność w oczach współpracowników.

Ale w Savannah — mieście, które zdawało się uodpornione na wpływy zewnętrznego świata — przeszłość definiowała człowieka.

Elise zbyła wzruszeniem ramion milczące pytanie Goulda i ignorując zaczepkę Avery'ego, ruszyła na górę.

Gabinet, który dzieliła z Gouldem, mieścił się na drugim piętrze. Okno wychodziło na cmentarz Colonial Park. Miasto było dumne z zabytkowego budynku, w którym mieściła się komenda, ale nawet dodatkowe skrzydło, dobudowane wiele lat temu, nie pomogło. To miejsce po prostu pękało w szwach.

Elise bała się, że kiedy zostaną sami, Gould zacznie ją wypytywać o głupie uwagi Masona i Avery'ego. Każdy inny byłby choć trochę zadowolony.

Ale on zajął miejsce przed komputerem, szeleszcząc opakowaniem hamburgera. Elise siadła przy telefonie i próbowała skontaktować się z Zakładem Oczyszczania Miasta, w którym pracował Harrison, Chciała odnaleźć jego kolegów.

Za plecami usłyszała szybki klekot klawiszy.

—To nie jest zabójstwo — wymruczał Gould. — Nie wiem, dlaczego Hoffman nam to przydzieliła.

Elise skończyła rozmowę z sekretarką Zakładu Oczyszczania.

—Jak tylko znajdziemy tę restaurację, będziemy mogli przekazać sprawę wydziałowi zdrowia publicznego. Jeśli żona Harrisona zdecyduje się pozwać szpital, zaczną się w tym babrać prawnicy. A za sześć lat, kiedy sprawa nareszcie trafi do sądu — powiedziała, nie próbując ukryć rozdrażnienia, jakie zawsze budził w niej system prawny — będą od nas wymagać, żebyśmy sobie przypomnieli ze szczegółami każdą minutę śledztwa, jakby cała sprawa wydarzyła się wczoraj.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego ta trucizna go nie zabiła.

— Może ją przyjmował już wcześniej? Może wyrobił sobie tolerancję? Z niektórymi truciznami tak jest.

— Mam — oznajmił Gould, z oczami utkwionymi w monitorze. Przestał stukać w klawiaturę. Cień podniecenia w jego głosie przyciągnął uwagę Elise.

—TTX to jeden z najdziwniejszych związków występujących w naturze i jedna z najbardziej śmiertelnych trucizn na świecie — zaczął czytać. — Jest dziesięć tysięcy razy bardziej toksyczna niż taka sama ilość cyjanku potasu. W kilka minut po podaniu paraliżuje ofiarę, pozostawiając jej pełną świadomość otoczenia.

Dalej czytał po cichu, dla siebie. Po kilku minutach parsknął głośno z pogardą.

— Zdaje się, że Lacey jednak nie mówił tak całkiem od rzeczy. Tu jest napisane, że tetrodotoksyna to jeden ze specyfików wykorzystywanych, aby stworzyć zombi.

Elise zastanowiła się nad tym przez chwilę.

— Brzmi sensownie.

Gould obrócił krzesło przodem do niej i założył ręce za głowę.

— Zaraz mi powiesz, że wierzysz w zombi.

— Zombi istnieją.

Opuścił ręce, wyrażając gestem swoją frustrację.

— Czyś ty zwariowała? Czy wszyscy w tym mieście zwariowali? —

Widziałeś za dużo filmów klasy B. Słyszałeś o *Wężu i Tęczy* Wade'a Davisa?

— Zdaje się, że było coś na ten temat w telewizji, ale zmieniłem kanał.

— Davis twierdzi, że zombi są jak najbardziej prawdziwi, ale nie są trupami. Sugeruje, że zaaplikowano im proszek, który wchłania się przez skórę i powoduje u ofiary stan imitujący śmierć. Po pogrzebie kapłan wudu wraca na cmentarz w środku nocy i wykopuje trupa. Tyle że on tak naprawdę nie jest trupem, ale częściowo odmóżdżonym, niedotlenionym indywiduum, które potem sprzedaje się do niewolniczej pracy, gdzieś daleko od domu ofiary.

— No cóż, trudno dziś o dobrego robotnika. — Gould odwrócił się z powrotem do ekranu i dojadł hamburgera, kontynuując poszukiwania.

—Tu jest ciekawostka — powiedział. — Niektórzy uważają, że za tajemnicze zgony związane z kłutwą Tutanchamona odpowiedzialna jest toksyna podobna do TTX. Sugerują, że trucizna została rozsypa

w miejscach, gdzie mogli się z nią zetknąć rabusie grobów. Jeśli wniknęła w jakąś ranę czy zadrapanie, dostawała się do krwiobiegu.

— Aplikacja przezskórna — odparła Elise. — Dokładnie tak samo jak u zombi Wade'a Davisa.

— Na to wygląda. Obróciła się do niego.

— Wiedziałaś, że mandragora była używana w czasach Chrystusa jako środek znieczulający, ale także w celu imitowania śmierci? Kiwnął głową.

— Słyszałem o tym.

— Niektórzy historycy twierdzą nawet, że dodano jej do octu podanego Jezusowi.

— I stąd zmartwychwstanie?

— Jest taka teoria. Niezbyt popularna, ale jest.

— Ale w końcu komu zależy na popularności? Interesujący komentarz, biorąc pod uwagę to, kto go wywołał.

— Potrzeba bycia lubianym leży w ludzkiej naturze — odparła Elise. — Każdy szuka aprobaty u podobnych sobie.

— Takie nastawienie jest słabością, szczególnie u detektywa, który powinien się koncentrować na prawdzie.

Nie mogła z nim znaleźć wspólnego języka. Jeśli dążył do kłótni, nie miała zamiaru dać się w nią wciągnąć.

Gould odkręcił kapsel butelki z wodą i upił łyk.

— Ta mała lekcja historii była bardzo pouczająca, ale nie sądzę, by miała cokolwiek wspólnego z nami czy Trumanem Harrisonem.

— Miejmy nadzieję. Zmierzył ją wzrokiem.

— Nie mówisz tego ze szczególnym przekonaniem.

Ma rację, pomyślała Elise. Coraz silniej gniotło ją w dołku. Obawiała się, że tej sprawy nie rozwiążą tak łatwo jak miała nadzieję. Zajmowała się nią ledwie kilka godzin, a już czuła, że wciągają ją mętne wody, które przez ostatnich trzynaście lat usiłowała zostawić za sobą.

## Rozdział 6

Zaczynał śmierdzieć jak otrute szczury, które zdychały w ścianach. Po tym poznałam, że umarł.

Zawsze nienawidziłam tego zapachu.

Kocham śmierć, ale nienawidzę jej zapachu. Jak to możliwe? I jakież to niesprawiedliwe. Jak coś może być tak pociągające i tak odpychające jednocześnie?

Był grzecznym chłopcem. Słodkim i obojętnym. Właśnie takich lubię.

Miękka skóra.

Miękkie włosy.

Ale teraz śmierdział jak pieprzony zdechły szczur.

Złapałam rogi koca i idąc tyłem, pociągnęłam owinięte ciało po trawiastej pochyłości. Trudno było porządnie złapać koc, bo skórzane rękawiczki ciągle się ześlizgiwały. Musiałam co chwilę poprawiać uchwyt.

Ciemność pochłonęła Savannah wiele godzin temu i wszyscy leżeli bezpiecznie w łóżkach. Nawet świerszcze spały.

Przystanąłam i wyprostowałam się, by chwycić głęboki oddech, odwracając twarz od smrodu.

Nocne powietrze. Ciężka, tajemnicza mieszanka słonych bagien, roślinności i żywej ziemi.

Schyliłam się i podjąłm swój trud.

Wąski, zniszczony chodnik prowadził prosto do przystani dla łodzi. Pochyłość zrobiła się bardziej stroma, co ułatwiło mi zadanie. W pewnym momencie Jordan niemal mi się wymknął.

Płaskodenna, metalowa łódź, zacumowana przy nabrzeżu, była widoczna do połowy z miejsca, gdzie stałam. Bardzo łatwo było przerzucić ciało przez burtę.

Spadło na dno z ciężkim łomotem. Odwiązałam grubą cumę i dołączyłam do martwego mężczyzny, zajmując miejsce z tyłu łodzi.

Złapałam wiosła. Wydały głuchy odgłos, uderzając o burty, zanim opadły w gładką, czarną wodę.

Jestem dobrym wiosłarzem. Potrafię wiosłować, nie robiąc wiele hałasu. Ledwie kilka cichych płasnieć, które można by przypisać żabom.

Cienki sierp księżycy obserwował mnie z nieba. Pamiętałam taki księżyc. Taki księżyc był zawsze moim przyjacielem.

Śmierć to uwodzicielski, miłosny akt.

Nocne powietrze było ciężkie. W ciemności, na bagnach, widziałam falujące kule światła, płynące między drzewami i niskimi zaroślami.

Niektórzy uważają, że ten niesamowity blask to dzieło strzyg— odmieńców, nocnych stworzeń, które zrzucają skórę, zostawiają ją na słupku łózka i przywdziewają płaszcz niewidzialności. Ale ja wiem, skąd się naprawdę biorą.

To uwięziony fosfor z próchniejących pni drzew.

Żadnej w tym magii. Wyłącznie chemia.

Teraz, kiedy odpłynęłam wystarczająco daleko od brzegu i domów, odłożyłam wiosła w uchwyty i zapaliłam silnik. Jestem silna, ale żaden ze mnie pieprzony mistrz wiosłarstwa.

Silnik pracował cicho. Mruczał niemal kojąco.

Nie spieszyło mi się. Pozwoliłam, by motor spokojnie popychał łódź po atramentowej wodzie. Drzewa pochyłały się nad kanałem i hiszpański mech od czasu do czasu muskał mój policzek.

Śmierć to uwodzicielski, miłosny akt.

Cały czas czułam obecność mojego martwego przyjaciela w kocu. Chętnie spojrziałabym na niego jeszcze raz w świetle księżycy, ale od czasu do czasu dolatywał mnie jego smród, choć był zawinięty i nieruchomy.

Lepiej było zostawić go w spokoju.

Droga zajęła mi mniej niż godzinę. Łódź miała płaski dziób, który wśliznął się aż na brzeg, na ziemię, dając mi stabilne oparcie i ułatwiając zadanie. Przycumowałam do drzewa i wyciągnęłam trupa z łódki.

Mogłam zwyczajnie przyczepić cementowe bloczki do jego stóp i wrzucić w jakąś głębię, gdzie ryby oskubałyby go do kości. Tak byłoby najlepiej. Ale z jakiegoś powodu nie mogłam się do tego zmusić. Nie wiem dlaczego. Może wydawało się to zbyt proste. A może dlatego, że ciała zmarłych przynależą do ziemi.

Nie potrzebowałam latarki. Mogłam rozróżnić ciemniejsze kształty drzew. A na ziemi krzaki i mniejsze kępki zielska. Nagrobki. Cmentarz.

Dobre miejsce dla Jordana.

Było tu niezbyt stromo i właśnie dlatego wybrałam dla niego to miejsce. Wciągnęłam Jordana po pochyłości, przez płaską połąkę trawy do gęstej kępy drzew. Potem wróciłam do łodzi po szpadel.

Ziemia była twardsza, niż się spodziewałam. Kopałam długo, a potem siadłam na zwałonym pniu i zapaliłam papierosa.

Powinno być po prostu wrzucić go do rzeki. Dlaczego tego nie zrobiłam?

Znałam odpowiedź.

Przychodzą mi do głowy różne myśli i nie mogę się ich pozbyć. Nie chcę odejść. Nigdy nie odchodzą, dopóki się im nie podporządkuję. Nieważne, co to jest. To może być coś tak prostego jak nieodparta potrzeba dotknięcia tej, a nie innej balustrady.

Kiedy mnie to nachodzi, muszę zrobić, co każą mi myśli. Nie mam wyjścia.

Muszę to zrobić, i tyle.

I tak samo było z cmentarzem. Pochować Jordana na cmentarzu — wydawało się, że to dobry pomysł. Ale ta pieprzona ziemia. I pieprzony szpadel. Był tępy. Zupełnie jakbym próbowała kopać deską.

Pociągnęłam jeszcze parę szybkich dymków, rzuciłam na ziemię niedopałek bez filtra i przydeptałam czubkiem buta. Choć ziemia zasłana była niedopałkami, podniosłam swój i schowałam do kieszeni.

Nie zostawiaj śladów. Przynajmniej namacalnych.

Do roboty.

Wciągnęłam trupa do płytkiego dołu. Zgarniałam szybko ziemię, aż przykryła go co najmniej piętnastocentymetrową warstwą. Potem — nadal w rękawiczkach — zagrabiłam na to miejsce jeszcze liście. Zniosłam ten gówniany szpadel z powrotem do łodzi i wyciągnęłam z niej plecak. Wyjęłam z niego kilka przedmiotów i ładnie ułożyłam je na grobie.

Srebrny dolar. Butelka whisky. Rzeczy, których będzie potrzebował nieboszczyk. W końcu wyjęłam z kieszeni mały, flanelowy woreczek, rozwiązałam sznurek i sięgnęłam do środka.



## Rozdział 7

Patrz na drogę — rzucił ostrzegawczo Eric Kaufman. Amy szarpnęła kierownicą wana, który należał do jej matki, i ściągnęła samochód z pobocza z powrotem między białe linie. Wycieraczkę były włączone na maksa, ale i tak nie nadążały zgarniać pary.

— Ale mgła. — Amy włączyła długie światła i oboje aż zmrużyli oczy od blasku. Przełączyła z powrotem na krótkie.

— Tam — powiedział Eric, wskazując palcem.

Zjechali z szosy na żwirową drogę z gęstymi krzakami po obu stronach. Pięć minut później dotarli na miejsce — cmentarz na starej planacji położonej na skraju Savannah, zarośnięty i zapomniany.

Eric pogrzebał w papierowej torbie i wyjął dwa piwa. Otworzył jedno i podał puszkę Amy, po czym otworzył drugie dla siebie.

Pociągnął długi łyk i przyjrzał się nagrobkowi, ledwie widocznemu w żółtym blasku światła postojowych.

— Zastanawiałeś się kiedyś, jak to jest być martwym?

— Nie mów takich rzeczy!

— Każdy kiedyś umiera — odparł.

Eric wiedział, że to wredne, ale nie mógł się powstrzymać. Lubił się z nią drażnić.

— To może być wypadek samochodowy. Wirus. Rak. Albo uderzenie krążkiem hokejowym w klatkę. Znałem chłopaka, któremu się to przydarzyło. Dostał krążkiem, lecącym ponad sto czterdzieści na godzinę. I umarł. Serce mu stanęło.

— Przestań!

Zupełnie jakby słyszał swoją młodszą siostrę.

— Ludzie są jak postacie z kreskówek. Schylają się, żeby zawiązać sznurowadło, i walą głową w żelazną belkę — powiedział Eric. — Czasami wydaje mi się, że powinienem zamontować megafon na samochodzie i jeździć ulicami, wykrzykując ostrzeżenia. Uważaj, mały, nie wyjeżdżaj rowerem na ulicę! Uwaga, pani z dużą torebką! Równie dobrze mogłaby pani sobie przyczepić tabliczkę „pobij mnie i obrabuj”!

Eric nie wiedział, co w niego wstąpiło. Od samego rana dziwnie się zachowywał. Właściwie to ten nastrój ogarnął go już wcześniej, kiedy tylko skończył ogólniak. Nie chciał być dorosły. Nie lubił podejmować poważnych decyzji. Miał gdzieś studia, pracę i garnitur.

— Kiedy należałam do skautek, miałyśmy przydzielony kawałek autostrady, który sprzątałyśmy. — Amy skończyła piwo i wcisnęła pustą puszkę do torby. — Żebyś ty widział, co ludzie wyrzucali. Nie cierpiałam ich za to, że są takimi świniami. Nie uwierzyłbyś, ile znajdowałyśmy kondomów.

— Zbierałyście kondomy? — zapytał Eric, przerażony. Skautki w ich małych, zielonych kapelusikach i mundurkach, zbierające prezerwatywy — nawet jeśli używały rękawiczek czy patyków — to go wytrąciło z równowagi. Na świecie jest mnóstwo rzeczy, których dzieci nie powinny oglądać.

— To obrzydliwe!

— Niektóre były całkiem świeże.

— Przestań. Teraz ty mnie straszysz. Dość już usłyszałem, więc przestań, okej?

— Och, ja nie mogę mówić o zużytych kondomach, a jak ty gadasz o umieraniu, to jest w porządku, tak?

"" — Mam tylko szczerą nadzieję, że zakładałyście rękawiczki. — Dopił swoje piwo. — Nie chcę już rozmawiać. — Pomyślał, że może jak się trochę poprzytula na golasa do Amy, to poczuje się lepiej.

Włączyli odtwarzacz CD i przeleźli na tylne siedzenie. Zaczęli się całować. Eric był zdumiony, jak szybko zapomniał o wszystkim. Ich oddechy stały się szybsze i cięższe, zaparowały szyby.

— Muszę siku — oznajmiła Amy w ciemności.

— To leć. — Eric usiadł i sięgnął do torby po kolejne piwo.

— Nie idziesz ze mną? Otworzył wieczko.

— Nie ma tu nikogo innego. Po prostu idź za samochód.

Zawsze chciała, żeby z nią chodził i stał na straży, żeby nikt jej nie zaskoczył w trakcie odlewania się. Kiedyś kucnęła przed paroma samochodami i ktoś włączył światła.

Amy nie miała żadnych zahamowań i nie wstydziła się swojego ciała, ale nie podobało jej się, że została przyłapaną z wystawionym tyłkiem. To nie było cool, a wszyscy jej znajomi bardzo się starali być cool.

— Ktoś może przyjechać — powiedziała. Eric odstawił piwo w uchwyt na kubki.

— No dobra, pójdę. — W jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie, choć tego nie chciał.

— Bez łaski. Pójdę sama. — Zaczęła wysiadać z vana i nagle znieruchomiała. — Słyszałeś to?

—Co?

— Jakiś dziwny dźwięk.

Wyłączyła odtwarzacz. Otoczyła ich cisza, wypełniona brzęczeniem cykad.

— Nic nie słyszę — powiedział Eric.

— To pewnie kot. Albo mi się tylko wydawało. Wiesz jaka jestem. Amy była znana z tego, że widziała i słyszała różne rzeczy. Jak wtedy, kiedy przysięgała, że widziała gościa z Tora, Tora, Torrance w szkolnej stołówce, i twierdziła, że zamówił wegetariańskiego burgera i frytki. Albo wtedy, jak ścisnęła dłoń prezydenta Stanów Zjednoczonych i wydawało jej się, że powiedział: „Kwiczę z podniecenia”. Wszyscy inni słyszeli: „Życzę powodzenia”, bo miała startować w stanowych zawodach pływackich.

Amy wyszła z vana i zatrzasnęła za sobą drzwi. Eric czekał kilka sekund. Słyszał, jak przedzierała się przez krzaki. W końcu się zdecydował; wyjął kluczyki ze stacyjki i ruszył za nią.

Szedł za odgłosem łamanych gałązek, omijając popękane nagrobki oplecione bluszczem, korzeniami i wysoką trawą.

—Amy?

Słyszał ją z prawej strony.

Zrobił kilka kroków w tę stronę, tuż poza plamę blasku rzucanego przez światła postojowe, rozpiął spodnie i odlał się. Zasuwał właśnie rozporek, kiedy do jego uszu dotarł stłumiony dźwięk, który zdawał się dobiegać z wnętrza jego własnej głowy. Znieruchomiał, wytyżając słuch. Czuł, jak jeża mu się włoski na karku.

—Amy?

Kolejny dźwięk. Tym razem jakby pod nim.

Coś pacnęło nosek jego sportowego buta.

Co u diabła? Amy schowała się i rzuca w niego grudkami ziemi?

Coś dotknęło jego kostki. Podejrzanie przypominało rękę.

— Ha, ha. Bardzo śmieszne.

Próbowała się na nim odegrać za to, że nie chciał jej pilnować przy sikaniu.

Usłyszawszy trzask gałęzi, spojrzął w stronę kręgu słabego światła i zobaczył Amy idącą w jego stronę.

— Mówiłeś coś? — zapytała.

Przeżalenie jak fala ogarnęło jego ciało, osłabiając mięśnie i uniemożliwiając ruch czy nawet oddech. Wydawało mu się, że minęły lata, zanim nareszcie zdołał spojrzeć w dół. Z ziemi wystawała szponiasta dłoń. Palce oplatały jego but.

Jordan Kemp został pogrzebany żywcem. Owinięty w gruby, wełniany koc i przywleczony tutaj przez gęste krzaki.

Ułożono go w jakimś niskim miejscu, jakby w wykopanym dole. Czuł zapach wilgotnej ziemi i mokrych liści.

Czyżby nie żył?

Słyszał odgłos łopaty uderzającej w ziemię i przecinającej darń. Słyszał ciężki oddech. Grudka ziemi uderzyła go w twarz. Potem następna i następna.

A potem cisza. Martwa cisza.

We wnętrzu swojej głowy płakał i krzyczał. Nikt go nie słyszał. Nikt nie przyszedł.

Jego umysł błędził i dryfował. Chwilami wyłączał się całkowicie.

Nagle dobiegł go jakiś odgłos. Jakby ktoś chodził wokół.

Nie chciał tak umrzeć. Nie chciał, by jego matka dowiedziała się, że został prostytutką. Już widział nagłówki w gazetach.

Ciało męskiej prostytutki znalezione w płytkim grobie.

Wszyscy pomyśleliby, że dostał to, na co zasłużył. On sam by tak pomyślał.

Kolejny raz spróbował się poruszyć, wydać jakiś dźwięk. Powietrze wypłynęło z jego płuc, przedostało się przez wargi. Zajączał cicho.

Spróbował jeszcze raz.

Głośniej. Musiał wołać głośniej.

Poruszył palcem. Ledwie słabe drgnienie. I kolejne.

Jakby rodził się na nowo.

Zmysły powoli wracały do jego ciała. Poczul własne ręce, nogi. Ciężar ziemi na piersi.

Usłyszał stłumiony trzask gałązek i szmer, gdzie blisko swojej głowy. Czyżby ktoś się odlewał? Bo właśnie tak to brzmiało.

Czy to nie suwak rozporka?

Gdyby tylko zdołał krzyknąć, gdyby mógł...

Ręka.

Tylko nią mógł poruszać. Uniósł ją z wysiłkiem, aż przebiła się przez luźną ziemię. Aż coś poczuł.

But. Kostkę.

Człowieka!

Usłyszał krzyk, a potem tupot stóp. Ale nikt ku niemu nie biegł, raczej uciekał.

Nie! — krzyknął w myślach. Nie odchodź!

Walczył z ciężarem, poruszając się w prawo i w lewo i próbując zrobić sobie więcej miejsca.

Powietrze. Potrzebował tlenu.

Mięśnie jego szyi się napięły. Jednym szybkim ruchem przepchnął się do góry, przebijając głową warstwę ziemi. Zachłysnął się powietrzem jak pływak wynurzający się na powierzchnię, wciągając ziemię do ust, do płuc.

Zadławił się. Rozkaszał. Siadając, uwolnił ręce, potem nogi. Był nagi i zmarznięty.

Złapał koc i owinął się nim. Jego ciało zaczęło drżeć, wracać do życia.

Muzyka. Usłyszał muzykę.

Jakimś cudem dźwignął się na nogi i sztywno, szurając po ziemi, ruszył w stronę dźwięku. Nie czuł stóp. Nie widział.

Upadł i podniósł się z powrotem. Idź za muzyką. Muzyka cię ocali. Nogi mu się trzęsły. Kręciło mu się w głowie, miał mdłości. Choć uwolnił się z grobu, ogarniało go przytłaczające przeczucie nieuchronnej śmierci. Czuł, że umrze. Już umierał. W tej chwili. Jego ciało słabło i się poddawało.

Idź za muzyką. Spiesz się. Idź za muzyką.

Potykając się, wypadł spomiędzy zarośli. Stał chwiejnie, próbując się zorientować, skąd dobiega dźwięk, ale wszystko było nieostre, rozmyte.

Muzyka ucichła. Nie zostało ci wiele czasu. Lepiej rusz tyłek.

Pobiegł.

A przynajmniej zdawało mu się, że biegnie. Posuwał się przed siebie w dziwnych podrygach, potykał się, starając się dojść jak najdalej, zanim znów upadnie. Bo wiedział, że wtedy nie zdoła się już podnieść. To będzie koniec. Wypad z baru.

Prosto. Idź prosto.

Wbił oczy w samochód i rzucił się w jego stronę. Ciemny koc załopotał za nim jak skrzydła.

Ostatkiem sił szarpnął naprzód i runął na samochód, uderzając czołem o okno, rozplaszczając dłonie na szybie.

Usłyszał dziewczęcy wrzask.

Próbował przylgnąć do szyby. Nogi ugięły się pod nim. Ostatnim wysiłkiem objął samochód, osuwając się na ziemię.

Pomocy, powiedział, ale z jego ust nie wyszły żadne słowa. Pomocy!

Był pewien, że umarł i wrócił do życia. A teraz umierał znowu.

Ile razy może umrzeć jeden człowiek? Zastanawiał się. Czy ludzie są jak koty? Zdezorientowany, zaczął się czołgać, wlec się z powrotem między drzewa. W końcu stracił przytomność.

Śmierć, której się spodziewał, była bardzo blisko.

## Rozdział 8

Funkcjonariuszka Eve Salazar myślała właśnie, że noc upływa dość spokojnie, kiedy policyjne radio zamrugalo i dyspozytorka rzuciła kod. Podejrzana osoba na opuszczonym cmentarzu, gdzie lubiły przyjeżdżać dzieciaki. Niedaleko stąd. Jej partner, Reilley, włączył syrenę i zawrócił na środku opustoszałej ulicy, piszcząc oponami.

Gówniarze myśleli, że policja uwielbia psuć im zabawę, ale Eve tego nie cierpiała. Czuła się wtedy jak kompletna hipokrytka.

Trzy kilometry dalej Reilley skręcił ostro w prawo, zostawiając za sobą asfaltową ulicę. Prawie nie zwolnił. Samochód podskakiwał jak wściekły na wąskiej, wyboistej drodze, na której końcu otwierała się polana.

Na wprost nich stał niebieski van.

Reilley gwałtownie zatrzymał radiowóz. Eve zaczęła przeszukiwać teren za pomocą szperacza.

Cisza, mgła i połamane nagrobki.

— Co za koszmarnie miejsce — powiedziała.

— Nie przyjeżdżałaś nigdy na cmentarz, żeby się pobzykać? — zapytał partner, wysiadając z wozu. Eve, ignorując pytanie, zgłosiła ich pozycję i poszła w jego ślady. Omiotła okolicę światłem latarki. Mgła jarzyła się w nim oślepiająco.

— Co to jest? — zapytała, nieruchomiejąc.

Przesunęła płamę światła w górę i w dół. Ruch sprawił, że cienie ożyły.

— Sprawdźmy tego vana.

Eve poświeciła latarką przez okienko pasażera na przednie siedzenie. Puste. Zapukała w szybę.

— Policja. Jest tam kto?

Usłyszała szamotaninę. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i z samochodu wyskoczyła dziewczyna. Miała około siedemnastu lat.

— Boże kochany! Ależ się cieszę, że was widzę. Nie cierpię glin, ale was uwielbiam. — Rzuciła się na Eve i uściskała ją mocno. — Uwielbiam was!

Za nią wypadł jasnowłosy chłopak.

Oboje zaczęli paplać jednocześnie, próbując opowiedzieć, co się stało.

— Ktoś mnie złapał — powiedział chłopak. Pierś mu falowała, słowa strzelały jak z karabinu. — Uciekliśmy do samochodu i wezwaliśmy gliny.

W miarę jak historia się rozwijała, stawała się coraz bardziej idiotyczna. Eve zaczęła podejrzewać, że ta dwójka padła ofiarą głupiego dowcipu. Spojrzała na Reilleya. Stał z dłonią przyciśniętą do ust, starając się nie śmiać.

To o wiele przyjemniejsze niż, na przykład, znaleźć trupa, pomyślała Eve. Do głupich dowcipów mogła jeździć codziennie.

—A potem ten gość w czarnym całunie — mówił chłopak, gestykulując dziko. — Wskoczył na nas z lasu i walnął o samochód. Normalnie się rzucił. Zaatakował vana. Prawda, Amy? Zaatakował, no nie?

—Tak. Wskoczył znikąd. Leciał w powietrzu.

—A ja nie mogłem znaleźć kluczyków. — Chłopak sięgnął do kieszeni, wyciągnął kółko z kluczykami i zagapił się na nie. — Nie było ich tam przedtem.

Reilley odwrócił się do nich plecami.

Nie śmieję się, błagała go w duchu Eve. Wiedziała, że jeśli usłyszy choćby jedno parsknięcie, nie wytrzyma. Te dzieciaki były śmiertelnie przerażone. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowały, to dorośli śmiejący się im w twarz.

—W którym miejscu uderzył? — zapytała Eve, podchodząc do vana.

— Od strony pasażera. Koło drzwi.

Eve oświetliła latarką wskazane miejsce. — Jest wgniecenie — powiedziała zaskoczona. Reilley przyłączył się do nich. — To krew? — Wskazał ciemną smugę. Eve pochyliła się bliżej.

— Może. Albo szminka.

— Szminka? — zapytała dziewczyna. — Jak to szminka? Reilley westchnął zirytowany.

— Ktoś wam zrobił kawał. — Zaczynała już go męczyć ta sytuacja.



— To nie był kawał — upierał się chłopak. — Jeśli myślicie, że to kawał, to idźcie poszukać tego gościa. Uciekł w tamtą stronę. Między drzewa.

Gnojek był zadziorny. Reilley nie był przyzwyczajony do takiego zachowania. Ale zanim zdążył naskoczyć na chłopaka, Eve kiwnęła głową.

— Dobry pomysł. — Ruszyła we wskazanym kierunku, z latarką wycelowaną w ścieżkę. Usłyszała, że Reilley ruszył za nią.

Biedne dzieciaki.

Nagle zatrzymała się, omiatając ziemię światłem latarki. Reilley wpadł na nią i złapał ją w pasie.

— Nie odpowiedziałas mi, czy bzykałaś się w takim miejscu — przypomniał. Poczula jego oddech na szyi. Jego dłoń powędrowała do jej piersi.

Chodzili ze sobą od dwóch miesięcy, ale Eve zawsze starała się zachować między nimi dystans, kiedy byli na służbie. Odtrąciła jego rękę.

— Popatrz, Romeo.

— Reilley. Nazywam się Reilley.

Przed nią, w plamie światła rzucanego przez latarkę, leżało coś, jakby ciemny garb.

Coś, co zostawili dowcipnisie? — zastanawiała się Eve. Koc ułożony tak, by sugerował kształt człowieka? A może naprawdę ktoś pod nim leżał?

Powietrze było przesycone wilgocią. Czula ją na twarzy.

Reilley bez wahania zbliżył się do znaleziska. Eve pozostała na miejscu i sięgnęła po pistolet, odpinając zatrzask skórzanej kabury.

— Ostrożnie — ostrzegła.

Któregoś dnia Reilley za szybko wkroczy do akcji i nie przeżyje, by opowiedzieć o tym dzieciom.

Reilley dotknął koca czubkiem buta. Szturchnął. Eve widziała, że rzecz pod kocem jest ciężka.

— Trup? — zapytała.

Przez te wszystkie lata na służbie ani razu nie zrobiło jej się niedobrze, ale teraz ogarnęła ją fala mdłości.

Choć wstydziała się tego, wierzyła w duchy. Widziała kiedyś duchy i wcale jej się nie podobały. Ani trochę.

To straszne miejsce, pomyślała, rozglądając się ukradkiem.

Serce łomotało jej w piersi i poczuła się, jakby znów miała dwanaście lat i zakradała się do opuszczonego domu, o którym mówiono, że był nawiedzony. Stanęła twarzą w twarz z duchem młodej kobiety — zabiła się, kiedy zmuszono ją do małżeństwa z mężczyzną tak starym, że mógłby być jej dziadkiem.

Eve chciała wezwać posiłki, ale nie miała żadnego powodu, by to zrobić, poza własnym irracjonalnym strachem.

Reilley kucnął obok ciemnej kupy. Eve wyciągnęła broń, ale nie odbezpieczyła jej. Partner pociągnął za róg zalepionego błotem koca i odsłonił zakrwawioną, brudną twarz. Smród śmierci uderzył w nozdrza Eve.

To nie był duch.

— Fuj! — Reilley sapnął, cofając się.

Po chwili zmusił się, by z powrotem pochylić się nad ciałem. Zbadał je w milczeniu i w końcu westchnął, sfrustrowany. Kiwnął się do tyłu, przysiadając na piętach, z jedną ręką przewieszoną przez zgięte kolano.

— Nie żyje? — zapytała Eve, choć nos udzielił jej już odpowiedzi na to pytanie.

— Tak. Lepiej wezwij kogoś z wydziału zabójstw.

— Niczego nie dotykaj.

— Wiem, wiem.

Połączyła się z dyspozytorem przez walkie—talkie; mikrofon miała przypięty na ramieniu.

— Ile ma lat, jak myślisz? — zapytała.

— Dzieciak. Najwyżej dziewiętnaście, dwadzieścia.

Reilley patrzył na ciało leżące przed nim, w jego głosie brzmiał smutek. Właśnie w takich chwilach, kiedy pozwalał jej dostrzec swoją wrażliwszą stronę, Eve prawie mogła sobie wyobrazić, że udałoby jej się pokochać tego faceta. Prawie.

— Jezu! — Reilley upuścił latarkę i szarpnął się do tyłu, lądując na tyłku.

—Co?

—Jego oczy. Przed chwilą były zamknięte!

Eve oświetliła latarką zabloconą twarz. Oczy trupa były teraz szeroko otwarte.

Coś go obudziło.

Jordan Kemp czuł chłodne powietrze na skórze. Choć oczy miał zamknięte, wyczuwał światło padające mu na twarz. Czy to ten tunel, o którym wszyscy gadali? Czy po drugiej stronie będą na niego czekać nieżyjący krewni? Ciotki i wujkowie, których zawsze nie cierpiał?

Chciał wyjaśnić, że nigdy nie zamierzał zostać męską prostytutką. Że to miało być tylko chwilowe zajęcie. Szybkie pieniądze, żeby trafić na właściwe tory. Ale kiedy zaczął żyć takim życiem, nie mógł zawrócić, bo był już naznaczony. I prawdę mówiąc, nie umiał tego zrobić, prostytutka stała się jego rzeczywistością.

Ale nie chciał iść za to do piekła. Gdyby wiedział, że śmierć tak szybko zapuka do jego drzwi, byłby dobry.

—Tak — przerwał mu rozmyślenia męski głos. — Lepiej wezwij kogoś z wydziału zabójstw. — Po chwili usłyszał jeszcze: — Dzieciak. Najwyżej dziewiętnaście, dwadzieścia. — Ktoś powiedział to ze smutkiem.

Nie umarłem. Czy oni nie widzieli, że nie jest martwy? Jeszcze nie.

Muszę im powiedzieć. Muszę dać im znać.

Ludzie zawsze mówili, że był piekielnie uparty. Że mógłby kwitować, gdyby tak sobie postanowił. Po chwili koncentracji, od której omal nie pękła mu czaszka, zdołał otworzyć oczy.

I wtedy się zaczęło.

—Wezwij pogotowie! — krzyknął mężczyzna.

Za późno, powiedziałaby Jordan, gdyby mógł mówić.

Za późno, cholera.

Koło od strony pasażera trafiło w dołek i kierownica wyrwała się z rąk Elise. Prowadziła samochód po zarośniętej drodze, wiodącej na opuszczony cmentarz. Siedzący obok niej Gould zaklął, gdy walnął głową o szybę.

— Przepraszam — powiedziała Elise.

Zatrzymała samochód za cmentarną bramą z kutego żelaza. Przez sylwetki dębów i zwisające draperie hiszpańskiego mchu widać było ludzi poruszających się w światłach reflektorów samochodowych. Leżąca przy ziemi mgła kłębiła się i wirowała, tworząc filmowy efekt specjalny. Wozy policyjne stały zaparkowane jak popadnie. Karetka czekała na pasażera z otwartymi drzwiami, błyskając kogutem. Wokół drzew i cmentarnych rzeźb owinięta była żółta policyjna taśma.

Detektywom na spotkanie wyszła policjantka z patrolu, który jako pierwszy dotarł na miejsce zdarzenia.

— Sanitariusze stwierdzili zgon ofiary — powiedziała Eve Salazar, opierając dłoń na biodrze. — Pracowali przez dziesięć minut, ale nie byli w stanie go reanimować.

— Gdzie jest ciało? — zapytała Elise.

— Czekaj na lekarza sądowego. — Policjantka wskazała kciukiem za siebie. — Niestety okoliczności sprawy, że miejsce zdarzenia zostało naruszone.

— A co z tymi dziećmiakami? Będziemy musieli ich przesłuchać.

— Zostali odwiezieni na posterunek. Byli mocno zdenerwowani i uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli tam poczekają.

Elise skinęła głową. Nie chciałyby, żeby Audrey przebywała w takim miejscu dłużej, niż byłoby to absolutnie konieczne.

To, co z początku wyglądało na szczeniacki dowcip, okazało się zabójstwem, a niewinna młoda parka niespodziewanie natknęła się na jeszcze żywą ofiarę.

Nie był to niezwykle scenariusz. Czasami porzucano ofiary zbrodni, bo uznano je za martwe. Nie było też szczególnie dziwne, że to dzieciaki natrafiły na ciała, jako że te same ustronne miejsca wydawały się atrakcyjne nastolatkom i mordercom.

Elise i David ruszyli ścieżką, która została już zaopatrzona w żółte znaczniki. Funkcjonariuszka Salazar zaprowadziła ich do ciała. Wokół denata stała niewielka grupka osób, teren oświetlony był potężnymi reflektorami zasilanymi przez małe generatory. Elise rozpoznała Abe'a Chiltona, szefa ekipy dochodzeniowej, badającej miejsce zbrodni.

— Cuchnie, jakby nie żył od paru dni, a nie od paru minut — powiedziała Elise, zasłaniając ręką nos, i zwróciła się do partnera funkcjonariuszki Salazar:

— Jesteście pewni, że ofiara żyła, kiedy ją znaleźliście?

— Otworzył oczy — stwierdził stanowczo funkcjonariusz Reilley.

— Czy to mogła być pośmiertna reakcja mięśniowa? — zastanowił się głośno Gould.

— Facet był żywy — upierał się Reilley.

— A to miejsce, gdzie nastolatek został złapany za nogę? — zapytała Elise.

Zawrócili tą samą drogą i po chwili skręcili w kolejną ścieżkę ze znacznikami.

— To tu. — Światło latarki Salazar ukazało płytki grób. — Chłopak powiedział, że ręka wyłoniła się z ziemi.

W miejscu, gdzie leżało ciało, widniało wgłębienie. Nieopodal stała zakorkowana butelka whisky. Obok niej leżał srebrny dolar.

— Dary dla zmarłego — stwierdziła Elise. — Czy też, w tym przypadku, nie całkiem zmarłego.

— Morderca, który zostawia prezenty? — zapytał Gould.

— Żeby ofiara nie wróciła i nie straszyla go.

— Urocze. — Poświecił latarką obok grobu. — Ślady wleczenia.

— Zaczynają się nad wodą — powiedziała Salazar. — Musiał przepłynąć łodzią.

— Są jakieś ślady? — zapytał Gould.

— Jak na razie dwa odciski butów. — Salazar wzruszyła ramionami.

— Mniej więcej męska dziewiątka albo dziesiątka.

— W tym mieście dzieje się coś dziwnego — podsumował Reilley.

— Cholerne dziwnego. Gould kiwnął głową.

— Zdarza się.

Abe Chilton i część ekipy dochodzeniowej wyłonili się z ciemności.

— Popatrzcie na to. — Chilton uniósł latarkę, kierując promień światła na pobliskie drzewo. Do pnia, półtora metra nad ziemią, przybita była mała, pokręcona figurka.

— Korzeń mandragory— powiedziała Elise. Mówino, że człeko-kształtny korzeń krzyczy, kiedy wyrwa się go z ziemi.

— Pokrzyk wilcza jagoda? — zapytał Gould.

— To prawie to samo.

W świetle latarki Chiltona Elise jeszcze chwilę przyglądała się figurce. Korzeń owinięty był w brązowy papier, prawdopodobnie oddarty z torby na zakupy.

Dzielo szamana.

—To może nam ujawnić tożsamość naszego denata — powiedziała Elise.

Ktoś podał jej parę lateksowych rękawiczek. Włożyła je i podeszła bliżej. Reszta się odsunęła.

Elise odczepiła korzeń z zardzewiałego gwoźdźca i odwinęła papier, na którym raz koło razu, czarnym atramentem, wypisano nazwisko.

Czterdzieści dziewięć razy, czyli siedem razy po siedem. Ten ktoś — on czy ona — znał się na rzeczy.

—Jordan Kemp — poinformowała Elise. — Niech ktoś to zgłosi.

Dwie minuty później mieli już raport.

—Jordan Harold Kemp — oznajmiła Salazar. — Mężczyzna rasy białej. Dwadzieścia jeden lat.

— Notowany? — zapytała Elise.

— Dwukrotnie aresztowany za prostytutkę. —W takim razie powinien mieć kartotekę.

Salazar oderwała zaniepokojone spojrzenie od twarzy Elise i zerknęła na korzeń leżący w jej dłoni. —Wcale mi się to nie podoba — powiedziała nerwowo.

— Nie zrobi wam krzywdy — uspokoiła ją Elise. — To nie ma nic wspólnego z wami.

Ludzie często mylili kłutwy, uroki i szamańskie zaklęcia.

—Widzicie to? — Elise wskazała liść, przyklejony do korzenia. — To akacja. Starożytni Egipcjanie robili wieńce pogrzebowe z liści akacji.

—Więc to jest hołd — stwierdził Gould.

Zdumiewające, jak błyskawicznie Elise przypomniała sobie to wszystko. Jakby ta wiedza cały czas tam tkwiła, gdzieś w jej głowie.

Jakby Elise nie próbowała przez ponad dziesięć lat zapomnieć tego, czego się nauczyła.

— Ta sama roślina może być używana do różnych rzeczy i na wiele sposobów — powiedziała. — Wszystko zależy od tego, jak jest spreparowana i z czym połączona.

— A akacja i pokrzyk... czy też korzeń mandragory...? — zachęcił ją Gould.

Gnijące ciało ledwie kilka metrów dalej i starożytne zaklęcie w dłoni dały nagle Elise niezbitą pewność.

— Ta kombinacja — wyjaśniła — jest używana do wskrzeszania zmarłych.

## Rozdział 9

Audrey ścisnęła aluminiowy kij i wbiła korki w miękką ziemię. Za jej plecami łapaczka gadała jak najęta, usiłując ją zdenerwować tak, aby nie trafiła w piłkę.

Był koniec ósmej rundy, a łapaczka wyśmiewała się z każdego przez cały mecz. Trener Audrey nie pozwalał drużynie stosować takich chwytów, więc naprawdę trudno było znieść, kiedy drużyna, z którą grali, mogła sobie wygadywać, co chciała.

To nie fair!

— Czy to nie twoje mamusie siedzą na trybunach? — podpuszczała ją łapaczka dzieciennym głosem. — Twoje dwie mamusie?

Audrey spojrzała tam, gdzie siedziały Elise i jej macocha, Vivian, z jej małymi braćmi. Każda z kobiet trzymała malca na kolanach. Bliźniaki były ubrane w identyczne niebieskie czapeczki, które Audrey kupiła w centrum handlowym.

Uwielbiała swoich małych braciszków. Oni też za nią przepadali. Kiedy robiła zabawne miny, zaczęli śmiać się stereo, aż łyzy ciekły im po pulchnych policzkach.

Cały czas uważając na miotaczkę, wyszła ze stanowiska pałkarza. Machnęła kilka razy na próbę, po czym wróciła na bazę. Na zapole drużyna przeciwników skandowała:

— Pałkarz, pałkarz, pałkarz...

— Rzut! Audrey machnęła.

— Pudło!

Kiedy się nie trafiło, miotaczka lubiła narzucać piłki jedną po drugiej, żeby człowiek nie miał czasu się pozbierać. W tej chwili stała bokiem, koncentrując się na kolejnym rzucie.

— Złap kij wyżej — poinstruował trener Audrey.

Łapaczka wciąż wyśpiewywała swoje obelgi wysokim głosem. Z zapoła wciąż dobiegało:

— Pałkarz, pałkarz, pałkarz...

— Rzut!

Kij trafił w piłkę.

Audrey nie czekała, by zobaczyć, dokąd leci piłka. Rzuciła kij i pognęła do pierwszej bazy; jej korki wbijały się w ziemię.

Piłka poszybowała z prędkością pocisku i śmignęła płasko między trzecią bazą a łącznikiem, niecałe pół metra nad ziemią. Jedna z przeciwniczek zanurkowała po nią i chybiła.

Elise niewiele wiedziała o softballu, ale potrafiła rozpoznać dobre trafienie. Już chciała się zerwać z ławki, ale przypomniała sobie o dziecku. Jednym ramieniem przycisnęła Tylera do siebie, a wolną dłoń przystawiła do ust i krzyknęła, kiedy Audrey obiegnęła pierwszą, a potem drugą bazę.

Punkt? Czyżby miała zdobyć punkt?

Dwie zawodniczki z przeciwnej drużyny rzuciły się do piłki; jedna z nich nareszcie posłała ją na pole, do miotaczki, dokładnie w chwili, kiedy Audrey zaliczyła trzecią bazę.

Stój! Zostań tam! — pomyślała Elise.

Audrey się nie zawahała. Nawet nie pomyślała o zachowawczej, bezpiecznej grze. Pognęła do ostatniej bazy. Miotaczka śmignęła piłką do łapaczki.



Obok Elise Vivian krzyknęła:

— Ślizg! Ślizg!

Audrey wykonała ślizg. Wjechała w bazę na biodrze i udzie, waląc butem w płytkę i wzbijając chmurę kurzu, zasłaniającą zawodniczki. W tym samym momencie piłka trzasnęła o rękawicę łapaczki.

Czy łapaczka skiksowała? Upuściła piłkę?

Elise zagapiła się na sędziego. Serce podeszło jej do gardła.

Po chwili, która wydawała się najdłuższą chwilą niepewności w historii softballu, w końcu zamachał ręką i krzyknął:

— Zaliczone!

Zwycięski punkt. Koniec meczu. Elise wiwatowała jak szalona. Vivian, tuż obok, wtórowała jej.

Hałas przestraszył bliźniaków. Rozplakały się. Dzieciaki łapały powietrze szeroko otwartymi ustami i miały czerwone buzie.

Elise pobujała małego na kolanie.

— Nie płacz, skarbie.

To nie pomogło, bo Tyler się jej bał.

— Widziałeś kiedyś taki ślizg? — zapytała ponad jego głową.

— Nie w wykonaniu dziewczyny. Kobiety się roześmiały.

Drużyny ustawiły się w szeregach do tradycyjnego pozdrowienia.

Wszyscy po kolei przybijali sobie piątkę i dziękowali za dobry mecz.

Ludzie na trybunach zbierali swoje rzeczy i schodzili na dół, aż zostały tylko Elise, Vivian i płaczące maluchy.

— Ona mnie nienawidzi — powiedziała Elise, patrząc, jak jej córka przechodzi wzdłuż szeregu dziewcząt.

Vivian pogrzebała w niebieskiej torbie na pieluchy i wyjęła dwa krakersy, które wręczyła chłopcom. Jak za naciśnięciem wyłącznika obaj przestali szlochać.

— Kto?

— Audrey.

Vivian odwróciła się gwałtownie i spojrzała na Elise.

— O czym ty mówisz?

— Nie chce mnie już więcej odwiedzać. Właściwie nigdy się do tego nie paliła.

— Nie chodzi o ciebie — uspokoiła ją Vivian. — Audrey jest w wieku, kiedy koleżdy są najważniejsi. Chce być bliżej nich.

— Wymyka mi się.

Napisano tyle piosenek o tym, jak szybko dorastają dzieci i że rodzice powinni wtedy przy nich być albo wszystko przegapią. Może i były to banały, ale prawdziwe.

To się działo powoli.

Kiedy Audrey była małutka, a Thomas ożenił się po raz drugi, wydawało się logiczne, że dziewczynka spędzała dni z Vivian zamiast z opiekunką. A kiedy Audrey pracowała o dziwnych porach — czyli praktycznie przez cały czas — Audrey pomieszkiwała u Thomasa i Vivian. Kochali ją tak samo mocno jak Elise. A ona mogła wyspać się w nocy i spokojnie pracować w ciągu dnia, kiedy wiedziała, że Audrey jest bezpieczna, kochana i pod dobrą opieką.

Kiedy Audrey miała iść do szkoły, wydawało się rozsądne, że zapisali ją do takiej, która znajdowała się niedaleko domu Thomasa i Vivian. Na przedmieściach szkoły były lepsze i bezpieczniejsze, a Elise, kiedy pracowała do późna, nie musiała się martwić o córkę.

Jeszcze zanim pojawiły się bliźniaki, Thomas, Audrey i Vivian byli prawdziwą rodziną, prowadzącą tradycyjny i uporządkowany tryb życia. Ich dni niewiele się od siebie różniły. To było ważne. Dziecko tego potrzebuje.

Czasami Elise czuła się gorsza. Przez swoją przeszłość. Przez swoją pracę.

Vivian była solidna. Dawała Audrey oparcie.

Ludzi dziwiło, że Elise przyjaźniła się z Vivian, ale Elise zawsze wydawało się to naturalne. W czasie rozwodu między nią a Thomasem nie było wrogości, tylko stwierdzenie, że absolutnie do siebie nie pasują.

Audrey popatrzyła w ich stronę i pomachała.

Elise i Vivian odmachwały do niej.

Tłum rozstąpił się i Audrey wbiegła na trybuny w swoim czerwono — białym uniformie i pasiastych skarpetkach. Ubranie na boku, od pasa do kostki, było ubrudzone ziemią i trawą.

Odłożyła rękawicę i wyciągnęła ręce po Tylera. Malec zaczął piszczeć z radości.

— Trzymasz go? — zapytała Elise. Audrey nie odrywała oczu od braciszka.

— Tak — odparła z prześlicznym uśmiechem. Pewnie przycisnęła do siebie Tylera, który natychmiast złapał ją za włosy lepką, oblepioną ciastkiem łapką.

— Boże! — powiedziała Audrey. — Ależ on jest obrzydliwy! Zaparał mi tym świństwem całe włosy!

Elise patrzyła, jak jej córka i Vivian spoglądają na siebie i wybuchają śmiechem.

Audrey było dobrze u Thomasa i Vivian. Była szczęśliwa. Ale dla Elise ceną za to szczęście mogła być utrata córki.

## Rozdział 10

Jako twój psychiatra muszę zapytać... Czy myślisz o zrobieniu sobie krzywdy?

— Oczywiście, że me.

— A o zrobieniu krzywdy komukolwiek innemu?

David Gould, ze słuchawką przy uchu, długo patrzył na kota. Kota Beth.

— David? — zapytała lekarka swoim spokojnym głosem. — David? Jesteś tam jeszcze?

— Nie. To znaczy tak, jestem. I nie, nie myślę o skrzywdzeniu kogośkolwiek innego.

Odstawienie prochów za jednym zamachem — nawet jeśli to były tylko lekarstwa — wydawało się dobrym pomysłem w piątek, tuż po tym, jak Elise wytknęła mu brak zaangażowania. Dziś była niedziela. A właściwie poniedziałek, jako że było grubo po północy. David wprost wyłączył ze skóry.

Odstawienie antydepresantów sprawiło, że coś dziwnego działo się z jego głową.

Przez cały czas, kiedy je zażywał, nie doświadczył ani jednego uniesienia czy dołka. Nie doświadczał gniewu, radości, smutku. Nie był nawet pewien, czy w ogóle istnieje. Ale teraz... wszystko się zmieniło. Teraz był przytomny. Przytomny po niemal dwóch latach martwoty.

Ale ty chciałeś być martwy. Prosiłeś nawet gliniarzy, żeby cię zabili. Żeby skrócili ci męczarnie. Położyli kres cierpieniu?

Ból wezbrał mu w gardle, grożąc zadławieniem.

Nie mógł teraz walczyć ze wspomnieniami. Wszystko po kolei.

Kontrola. Kontrola. Kontrola.

To była mantra agenta FBI. Jego mantra.

To było jak narodziny na nowo. Jak chrzest.

Emocje, o których istnieniu zapomniał, przepełniały go falami. Ból. Gniew. Smutek.

Cudowne emocje. Przytłaczające. Zbyt wiele naraz. Zbyt intensywne. Nie potrafił poradzić sobie z tym wszystkim. Jeszcze nie.

— Czy w Savannah jest ktoś, do kogo mógłbyś zadzwonić? — zapytała doktor Fisher.

Nie zmienił lekarza, kiedy przeniósł się do Savannah, bo nie chciał, żeby ludzie, z którymi pracował, wiedzieli, że chodzi do psychiatry. W Ohio zrobił się z tego problem. Kiedy tylko współpracownicy dowiedzieli się o tym, wszystko się zmieniło. Zaczęli przewidywać jego działania. Nie była to bezpieczna sytuacja ani dla niego, ani dla nich. Kiedy zdał sobie sprawę, co się dzieje, postanowił zacząć od nowa w jakimś innym miejscu. Czysta karta.

— Może do twojej partnerki? Do jego partnerki?

— Nie ma mowy.

Co miałyby powiedzieć Elise? Hej, odbija mi i chciałem zapytać, czy nie przyjechałabyś mnie potrzymać za rękę?

— Pracujesz z nią od trzech miesięcy. Nie byłoby w tym nic niestosownego, gdybyś do niej zadzwonił.

Trzy miesiące. Tak, normalnie przez taki czas można już nieźle poznać człowieka.

— Byłem trochę... oderwany.

David siedział na podłodze w salonie, który łączył się z aneksem kuchennym, plecami do ściany, z telefonem na udzie. Zauważył, że noga mu drży. Włożył wszystkie siły w to, żeby ją unieruchomić.

W pokoju było ciemno — włączył tylko lampkę nad kuchenką.

— Proszę uwierzyć, telefon do mojej partnerki nie wchodzi w grę. Co to za zapach? Jak drewno moczone w urynie przez dwadzieścia lat. I chore, rozgorączkowane ciała.

Żółta febra.

To moje mieszkanie. Moje pieprzone mieszkanie. Nic dziwnego, że jego siostra była taka przerażona. Sorry, siostrzyczko.

Jego mieszkanie śmierdziało jak hospicjum, a on nawet o tym nie wiedział.

Noga znów mu podskakiwała.

— Bierzesz jeszcze leki? Paxil i Valium?

— Może i opuściłem kilka dawek.

— Nie możesz tego robić.

— Prawdę mówiąc... zastanawiam się, czy całkiem nie odstawić jednego i drugiego.

— David, to nie jest dobry pomysł. Przeżyłeś traumatyczne wydarzenie.

— Minęły już prawie dwa lata.

— To niewiele, kiedy ma się do czynienia z czymś tak poważnym.

Po co do niej zadzwonił? Wiedział, na czym polega problem. I wiedział, jak ona chce go rozwiązać. Ale miał już dość bycia przymulonym półmózgiem. Jeśli koktajl, który mu przepisała, miał sprawić, że człowiek nic nie czuje, to z pewnością zadziałał.

A potem powiedziała słowo na S i słowo na O.

— Masz syndrom odstawienia. Zdarzały się poważne problemy z pacjentami, którzy nie schodzili z dawki stopniowo.

David o tym słyszał. Czasem nawet to widział. Niektórzy wariowali. Zabijali. Antydepresanty znajdowano we krwi morderców. Wszystko dlatego, że potrzebowali pomocy. A może leki w końcu wprowadziły ich w stan takiego oderwania od rzeczywistości, że mogli posunąć się dalej niż myśl, niż fantazja. Zrobić krok, którego normalnie by nie zrobili?

Był przygotowany na gwałtowną huśtawkę nastrojów. Może nawet na parę napadów płaczu, które mógłby zwalić na jakiś stary film. Ale nie na poty, dreszcze i kurcze żołądka. Nie na to, że będą wyłaził ze skóry, pomyślał. Nie na rozpaczliwą potrzebę ruchu, zrobienia czegoś, czegokolwiek. Nie na przygryzanie kostki kciuka.

Co z tą cholerną nogą?

To jak próba odstawienia heroiny. Nie żeby wiedział jak to jest, ale widział *Trainspotting* i lada moment spodziewał się dziecka łożącego po suficie.

— Nie mogę spać. Nie spałem od trzech dni.

Nie był w stanie się zmęczyć. Przebiegł już piętnaście kilometrów. Powinien przebiec jeszcze piętnaście?

— Piłeś? Mówisz bełkotliwie. Nie powinieneś mieszać alkoholu z żadnym z twoich leków.

Za późno. Desperacja już zapukała do jego drzwi.

— Każdy to wie, pani doktor.

Ze swojego miejsca na podłodze David spojrzął na kuchenny blat. Na puste butelki po piwie. Nie miał wielkiego doświadczenia w nadużywaniu alkoholu. Zamierzał wypić tylko jedno czy dwa piwa. Tyle tylko, żeby trochę złagodzić objawy. Po szóstym objawy wciąż miały się dobrze, a on czuł się jak pijak na spidzie.

Co z tą nogą!

— Prawdopodobnie wytworzyłeś sobie tolerancję na Valium. Poradziłabym ci, żebyś podwoił dawkę, gdybym miała pewność, że nie piłeś — powiedziała lekarka.

David poczuł smak krwi i zorientował się, że przegryzł skórę na kostce. Zerwał się z podłogi i złapał buteleczkę tabletek uspokajających, stojącą na blacie.

Wziął jedną? Czy dwie?

Mrużąc oczy, zapatrzył się na pigułki w środku, jakby mogły mu coś powiedzieć. Jak dawno temu je brał? Kilka minut? Kilka godzin? Nie pamiętał.

— David, jeśli ci się pogorszy, jedź do szpitala. Słyszysz mnie? Albo zadzwoń do swojej partnerki. Mam pomysł. Może ja do niej zadzwoń w twoim imieniu? Chcesz, żebym to zrobiła?

— Nie! Muszę dbać o reputację.— Jezu! Co to baba chce zrobić!

Na szafce koło butelek po piwie leżał laptop. David dotknął klawisza i komputer ożył. Otworzył stronę internetową Savannah. Zauważył coś, co wcześniej nie wpadło mu w oko.

Agencja Towarzyska. Hm.

Obraz mu się zamazał. Głowa nagle zrobiła się ciężka jak diabli. Na chwilę zatrzymał kursor na małym zdjęciu ciemnowłosej kobiety i kliknął, by je powiększyć.

Antydepresanty sprawiły, że stał się niemal aseksualny. Od prawie dwóch lat w ogóle nie myślał o seksie. Teraz był napalony. Może seks zdoła go uspić. Kiedyś działało. Przed laty.

Przytrzymując słuchawkę między uchem i ramieniem, wpisał swój adres do formularza na stronie i zamówił dziewczynę.

Tak po prostu. Kilkoma kliknięciami klawiszy.

— Czy Internet nie jest wspaniały? — zapytał, walcząc z puchnącym językiem i z nagłą chęcią, by paść na podłogę. Pomyślał jednak, że lepiej z tym poczekać, aż się rozłączy.

— O tak — przyznała doktor Fisher. — Nigdy nie śniłam, że będziemy mogli dzięki niemu robić tyle rzeczy.

David gapił się na zamazaną twarz na ekranie.

— Ja też.

Flora Martinez jechała pustymi ulicami Savannah. Mapka wydrukowana z Internetu leżała na siedzeniu obok. Wycieraczki pracowały bez ustanku, ale po każdym przebiegu ciężka rosa pojawiała się na nowo.

Zwykle nie przyjmowała zamówień w ciemno. To było niebezpieczne, nigdy nie było wiadomo, na jakiego zboka czy zboków się trafi. Ale interes szedł kiepsko, a ona miała mnóstwo rachunków do zapłacenia, więc kazała umieścić swoje zdjęcie na stronie internetowej agencji.

Agencja towarzyska. Uczono ich, by zawsze tak to nazywali, bez względu na wszystko. Kilka dziewczyn natknęło się nawet na naiwnych dżentelmenów, którzy naprawdę myśleli, że chodzi o towarzystwo. O randkę za pieniądze. Po prostu chcieli wynająć atrakcyjną dziewczynę, by udekorować nią swoje ramię na firmowym przyjęciu.

Smutne i zabawne. Ale wiele rzeczy było smutnych i zabawnych jednocześnie.

Odnalazła adres. Święta Maria od Aniołków.

Cholera.

Zaparkowała przy krawężniku, wygrzebała komórkę z torebki i zadzwoniła do Enrique.

—To zlecenie, które dostałam... Nie uwierzysz, gdzie to jest. —Wyciągnęła szyję, by spojrzeć w górę na trzypiętrowy, kamienny budynek. — Święta Maria od Aniołków.

Enrique aż się zachłysnął.

— No coś ty.

—Właśnie na nią patrzę.

— Nie wchodzi. Tylko wariat może tam mieszkać.

Każdy, kto wystarczająco długo mieszkał w Savannah, słyszał o tym miejscu. Podobno istniał tunel łączący stary Szpital Candlera z pobliskim cmentarzem. Wiele lat temu był używany do transportu ofiar żółtej febry z łóżek prosto do grobu — żeby ludzie nie panikowali na widok takiej liczby zmarłych.

Ciała podobno składano na sterty w tunelach, by potem pochować je pod osłoną ciemności. Flora słyszała, że czasem sterty się poruszały, czy to za sprawą szczurów buszujących wśród trupów, czy to dlatego, że kogoś uznano za zmarłego trochę przedwcześnie.

Budynek był nawiedzony. Tak mówili ludzie.

I Flora w to wierzyła, bo wierzyła w duchy. A jeśli jakiś dom miał być nawiedzony, to właśnie Święta Maria od Aniołków.

— Może jest nowy w mieście — powiedziała do telefonu. — Może nikt mu nie powiedział o tym domu.

— Nie idź, Flora — błagał Enrique. —Wracaj do domu. Uśmiechnęła się. To było słodkie, że się o nią martwił.

— Pójdę sprawdzić jak stoją sprawy. Jeśli coś wyda mi się dziwne, to wyjdę.

— Trzymaj komórkę pod ręką.

Pożegnała się z nim i schowała telefon z powrotem do torebki. Nie zamknęła go, żeby mieć łatwiejszy dostęp do klawiatury.



Klient podał imię „David”. Zapisała je w terminarzu pod dzisiejszą datą.

Odnalazła numer jego mieszkania, przyklejony do domofonu. Ciężki zapach rosnącej niedaleko wisterii błagał ją, by została na dworze.

Wcisnęła guzik i drzwi zabrzęczały. Weszła i ruszyła po schodach na właściwe piętro.

Nie musiała pukać. Czekał na nią w uchylonych drzwiach.

Ubrany w sprane dżinsy. Boso. Koszula rozpięta, niewpuszczona w spodnie. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, jakby co chwilę przeczesywał je palcami.

— Nie wypuść kota — powiedział głucho, odsuwając się na bok, kiedy wchodziła.

Zamknęła drzwi za sobą, nasłuchując dźwięków z dalszej części mieszkania.

— Jest jeszcze ktoś?

W środku śmierdziało jak w koszu na odpadki. Ale przynajmniej facet miał kota. Facet z kotem jest nieszkodliwy, nie?

Zmarszczył brwi, jakby nie zrozumiał pytania. Pokręcił głową.

— Wolę zapytać — wyjaśniła, kładąc torebkę na kuchennym blacie.

— Jeśli jest więcej niż jedna osoba, nie zostaję. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Że jesteś monogamistką?

— Zgadza się. Jeden naraz. — Przy kilku facetach mogło się zrobić paskudnie. I niebezpiecznie.

— No to masz szczęście — powiedział — bo ja też jestem monogamistą.

Próbował żartować.

— Milutki jesteś — powiedziała podejrzliwie.

Większość jej klientów była obrzydliwa. Grubi i łysi, pocili się obficie tym nerwowym potem, który tak fatalnie śmierdział. Zajmowali się interesami, mieli żony i dzieci. Rzadko trafiali jej się tacy ładni. A jeśli już, zawsze chcieli, żeby robiła coś, co jej nie odpowiadało. I zwykle kończyło się na tym, że wiała gdzie pieprz rośnie.

— To co jest z tobą nie tak? — zapytała. Nie wiedziała, czy powinna stąd spadać w podskokach. — Jakie zboczone gówno cię kręci?

— Jestem aspołeczny. Roześmiała się. I to szczerze.

— Dlatego mnie wezwalesz?

— Nie pójdę do baru i nie będę udawał, że jestem zainteresowany jakąś dziewczyną tylko po to, żeby sobie popieprzyć. Nie mam ochoty się z nikim zaprzyjaźniać. I tyle. Za dużo roboty. — Machnął ręką. — Za dużo zachodu. A tak, nie ma udawania. Nikomu nie dzieje się krzywda.

Był w porządku. Tylko urżnięty. Naprawdę urżnięty. Ledwie się trzymał na nogach.

— Widziałeś nasz cennik? — zapytała.

Niektóre z jej koleżanek grały przed klientami. Flora nigdy nie udawała, że chodzi o coś innego niż w rzeczywistości. Transakcja biznesowa. Zapłata za wykonaną usługę.

— Przyjmujemy gotówkę albo karty kredytowe. Żadnych czeków. Płaci się od godziny. Jeśli choćby o minutę przekroczymy sześćdziesiąt, płacisz za kolejną pełną godzinę. Takie są zasady.

— Może chcę, żebyś została całą noc.

— Noc się prawie skończyła.

Spojrzał w okno, jakby ta wiadomość go zaskoczyła. — W takim razie dotąd, aż będę musiał wyjść do pracy. Wzruszyła ramionami charakterystycznym gestem prostytutek, którym wszystko jedno.

— Dopóki płacisz — stwierdziła obojętnie. — A tak dla porządku, płacisz tylko za moją wizytę. Coś w rodzaju konsultacji. Seks jest za darmo. — W ten sposób wszystko było legalnie. A przynajmniej półlegalnie.

— Chcesz coś do picia? — zapytał.

— Może szklankę wody?

Powolnymi, wymierzonymi ruchami napełnił szklankę wodą i podał jej.

— Podoba mi się twoje mieszkanie — powiedziała.

Tym razem on się roześmiał.

— Chyba żartujesz.

— Jest niesamowite, a ja lubię niesamowitości. — Wypiła łyk wody i zaczęła chodzić po pokoju. — Założę się, że mnóstwo ludzi umarło w tym budynku.

Odstawiła szklanke i ściągnęła przez głowę biały, półprzezroczysty top.

— Tędy do sypialni? — zapytała, idąc krótkim korytarzykiem i zaglądając do jedyne go pokoju poza salonem. Był ciemny, na podłodze słał się tylko prostokąt światła z salonu.

— Niezbyt długo tu mieszkasz, co?

— Trzy miesiące.

— Potrzebujesz czegoś na ściany. — W pokoju było tylko łóżko z pomietą, białą pościelą i komoda. — Plakatów czy czegoś takiego.

Podszedł i stanął za nią.

— Co to? — Dotknął małego, okrągłego, wypukłego znaku na jej lędźwiach, tuż nad czarnymi biodrówkami.

— *Mojo*\*

— *Mojo*?

— Chroni mnie przed złem.

— Zło... jest wszędzie.

— I dlatego potrzebuję *mojo*.

— Mała blizna... nie ochroni cię.

— Może jednak.

— Za dużo gadasz — powiedział.

— A, no tak. — Obróciła się w jego ramionach. — Nie chcesz się zaprzyjaźnić.

Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział uśmiechem. Był taki przystojny! Aż jej dech zaparło. Rozebrali się, miał ciało sportowca. Ani grama zbędnego tłuszczu. Pływał? Biegał? W każdym razie tuż pod gładką skórą miał tylko twarde mięśnie.

Wyjęła kondom. Nie był zbyt pijany, żeby go założyć.

Objął jej talię dłońmi. Posmakował jej piersi. Wbiła palce w jego wilgotne ramiona i uniosła się, by być bliżej. Pachniał piwem i mydłem.

\* *Mojo* (czyt. modzo) — zaklęcie, talizman lub amulet ochronny, noszony przez wyznawców wudu.

Był nabuzowany. Żywy. Elektryzujący.

— Połóż się na łóżku, na plecach — powiedział miękko, łagodnie, jakby mu na niej zależało.

Padła do tyłu i nagle wyobraziła sobie, że nie jest dziwką i że pozna-  
li się gdzieś indziej. W biurze. Nie, biegając w Parku Forsy-  
tha. Widywali się codziennie. Zawsze się uśmiechali i mówili sobie  
cześć. Któregoś dnia on zapytał, czy nie dałaby się zaprosić na słodką  
herbatę do małej kafejki niedaleko. Tydzień później kolacja.

— Założę się, że ktoś umarł w tym pokoju — szepnęła z ustami przy  
jego szczęce. — Może nawet w tym łóżku.

— Jesteś dziwna.

— Dziękuję.

— Ja umieram właśnie teraz.

Zakochali się w sobie.

Po joggingu, kawiarni i kolacji zakochali się w sobie. Ona była pie-  
lęgniarką. Nie, studentką Akademii Sztuk Pięknych. On był...

Wsunął się w nią.

Przez chwilę zdumiewała się i zachwycała tym uczuciem. Bo była  
młodą studentką sztuki. Nie dziewicą, ale dziewczyną niezbyt do-  
świadczoną, jeśli chodzi o mężczyzn i seks.

— Ty drżysz — powiedziała. Jego ciałem wstrząsały dreszcze.

— Bardzo długo nie uprawiałem seksu. — Jak długo?

— Nie wiem.

— Kilka tygodni? — strzeliła.

— Lat. Kilka lat. Lat.

— Och, skarbie. — Jego wyznanie sprawiło, że poczuła się wyjątko-  
wa, że poczuła się w pewnym sensie... jak nowa.

Oplotła go ramionami, osłoniła go, unosząc się, by wyjść na spot-  
kanie jego pchnięciom. Ona studiowała sztuki piękne. On był jej  
mrocznym, tajemniczym kochankiem.

# Rozdział 11

Gould się spóźniał. Elise siedziała przy swoim biurku na komendzie, czytając gazetowy wycinek na temat pierwszego przypadku człowieka błędnie uznanego za zmarłego, który również wylądował w kostnicy. Nazywał się Samuel Winslow. Żył ledwie parę godzin po tym, jak go znaleziono. W artykule sanitariusz stwierdzał, że ciało było bez życia i że wyczuł silny zapach, jakby rozkładu.

Żrenice nie reagowały na światło — powiedział. — Skóra na rękach była fioletowa z powodu braku krążenia. Poszukałem pulsu na tętnicy szyjnej, ale niczego nie mogłem wyczuć. Odnalazłem wszelkie oznaki śmierci i każdy człowiek zawodowo związany z medycyną wydałby takie samo orzeczenie — mówił sanitariusz na swoją obronę.

Zadzwoił telefon. Okazało się, że to Seth West, kolega Trumana Harrisona — jeden z ostatnich na jej liście osób do przesłuchania.

— Truman i ja jedliśmy w fast foodzie tego dnia, kiedy umarł... czy też kiedy zdawało się, że umarł — powiedział West. — Zamówił hamburgera, frytki i colę.

— Jakieś ryby? — zapytała Elise. — Owoce morza?

— Nie.

Po kilku krótkich, uzupełniających pytaniach Elise podziękowała mu i się rozłączyła.

Żadnych owoców morza. Ale to nie oznaczało, że nie jadł ich tego dnia. Po prostu nie zrobił tego w towarzystwie Westa.

Jakiś dźwięk w korytarzu przyciągnął jej uwagę. Do pokoju wszedł chwiejnie David Gould i zatrzasnął za sobą drzwi. Dopadł swojego obrotowego krzesła i klapnął na nie ciężko.

— Och, jasna cholera. — Obrócił się, skrzyżował ręce na biurku i położył na nich głowę.

Włosy miał rozczochrane, śmierdział alkoholem.

Ubrał się, ale niezbyt starannie. Poła koszuli sterczała mu spod marynarki, a kiedy przemykał obok, Elise zauważyła kilka niezapiętych guzików.

Rany.

Chciała, żeby się trochę wyluzował, ale nie o to jej chodziło. — Ja byłam wczoraj na meczu softballu — powiedziała, kierując słowa do jego potylicy — A ty jak spędziłeś wieczór?

— Mniej więcej podobnie — wymamrotał, przetaczając czoło w tę i z powrotem na przedramieniu.

— Jasne.

— Moja głowa. Moja pieprzona głowa.

— Śmierdzisz, jakbyś się kąpał w piwie. Rozchylił marynarkę i pociągnął nosem.

— Niczego nie czuję.

— Uwierz mi na słowo. Śmierdzisz.

— Skoro tak twierdzisz.

Wyjęła z torby butelkę wody, otworzyła ją i postawiła przed nim na biurku.

— Dlaczego nie zostałeś w domu? Lepiej tam wracaj, dobrze?

— Nic mi nie będzie. — Wyprostował się, zmierzył wzrokiem butelkę i sięgnął po nią drżącą ręką.

Teraz, kiedy siedział prosto, zobaczyła, że się nie ogolił. A Gould był jednym z tych facetów, którzy musieli się golić dwa razy dziennie. — Jedź do domu — ostrzegła go. — Zanim ktoś cię zobaczy. Uniósł butelkę do ust i wysuszył ją do dna.

— Powiedziałem, że nic mi nie będzie. — Wstał. Zapiął koszulę i wepchnął poły w spodnie. Potem spróbował przygładzić włosy.

— Proszę. — Poprawił marynarkę. — Świeży jak stokrotka.

— Jeśli stokrotka pachnie whisky i powinna się ogolić...

— Czy ty się ze mnie nabijasz?

Miał przekreścony kołnierzyk. Wstała i poprawiła mu go.

— Próbuję ci tylko powiedzieć, że nie jesteś tu ulubieńcem. Major Hoffman pewnie tylko szuka pretekstu, żeby cię posłać na zieloną trawkę. Masz przy sobie elektryczną maszynkę do golenia?

Przejechał dłonią po szczęce. Zarost szurał jak papier ścierny

— Nie powinno się karać człowieka za to, że nie jest włazidupkiem. Wydawał się odrobinę urażony na wieść, że nie jest tu mile widziany.

— Przecież mówię ci tylko to, co sam na pewno wiesz od dawna — powiedziała Elise, siadając z powrotem przy biurku. Zaczęła otwierać szuflady, aż znalazła opakowanie tylenolu. Uniosła je tak, by znalazło się w zasięgu jego wzroku.

Pokręcił głową.

Wrzuciła tylenol do szuflady i zamknęła ją. Westchnęła. Skoro uparł się udawać, że się do czegoś nadaje, to równie dobrze mogli omówić śledztwo.

— Rozmawiałam z kolegami Harrisona. Wszyscy twierdzą, że nie widzieli, by jadł ryby tego dnia, kiedy dostał zapaści.

Złapała długopis i rozparła się na krześle.

—Więc teraz zastanawiam się, czy istnieje jakiś związek między ciałem, które zjawilo się na cmentarzu dwie noce temu, Trumanem Harrisonem i Samuelem Winslowem, przypadkiem błędnie stwierdzonego zgonu sprzed trzech tygodni.

Gould przysiadł na rogu biurka. Nie miał skarpetek.

— Może — powiedziała. — A może nie. Chociaż trochę zbyt dziwne jak na zwykły zbieg okoliczności.

Elise zadzwoniła do ekipy dochodzeniowej i zleciła, by zebrali wszystkie ewentualne ślady w domu i w pracy Trumana Harrisona. W jego szafce. W pojazdach, których używał. Wszędzie, gdzie spędzał czas.

Ledwie się rozłączyła, zadzwonił telefon.

John Casper.

— Pamięta pani tego gościa, którego przywieźli przedwczoraj? Jordana Kempa? — zapytał. — Znalazłem coś, co może was zainteresować. Możecie wpaść?

— Będziemy za pół godziny. — Rozłączyła się. — Czujesz się na siłach wachać formalinę i oglądać trupy? — zapytała Goulda. Wizyta w kostnicy mogła być trudna, nawet jeśli ktoś miał dobry dzień.

— Formalina i trupy? — Posłał jej słaby uśmiech. — Moje dwie ulubione rzeczy.

Kostnica mieściła się w nowym budynku na obrzeżach miasta, obok laboratorium kryminalistycznego. Nie było to zbyt wygodne dla detektywów, ale oba przybytki potrzebowały przestrzeni.

Elise i Gould weszli za Casperem do wielkiej chłodni. Minęli kilka przykrytych prześcieradłami kształtów i podeszli do ciała Jordana Kempa.

— Chciałem, żebyście to zobaczyli. — Casper odkrył ciało, leżące twarzą w dół.

Elise pochyliła się nad nim. Na łędźwiach, tuż powyżej kości ogonowej, widniał wypukły okrąg, niewiele większy od srebrnej dola—rówki.

— Teflonowy implant, robią takie do ozdoby — wyjaśnił Casper. — Pomyślałem sobie, że to może być symbol gangu.

— To nie jest symbol gangu — powiedziała Elise, prostując się. — Słyszał pan o Czarnym Tupelo?

— Czy to nie bar?

— Między innymi. Bar. Salon masażu. I przykrywka dla burdelu. Mieści się na starym mieście, nad rzeką.

— A co to ma wspólnego z ozdabianiem ciała? — zapytał Casper.

— Czarne Tupelo należy do pewnej Gullah\*. Nazywa się Strata Lu-na.

— Słyszałem o niej — powiedział Casper.

— To jest pień drzewa tupelo — wyjaśniła Elise, wskazując znak.

— A te trzy linie to gałęzie. To bardzo prosty i czytelny rysunek.

— Chce pani powiedzieć, że ona znakuje swoje prostytutki? — zapytał Casper z przerażeniem. — Jak bydlę?

— To jest *mojo* — powiedział Gould.

— *Mojo*? — Elise spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami. Skąd on wiedział, co to *mojo*?

Gould gapił się na emblemat i wyglądał, jakby znów było mu niedobrze.

\* *Gullah* — afroamerykańscy potomkowie niewolników, zamieszkujący południowe stany i wyspy, tworzący własną, specyficzną kulturę i posługujący się dialektem *gullah*.



— Kto ci to powiedział? — zapytała. Wzruszył ramionami.  
— Po prostu gdzieś o tym słyszałem.  
— Nie wiem, czy to *mojo*, ale z całą pewnością logo baru. Casper podciągnął prześcieradło, przykrywając ciało.  
— To nie wszystko. Powinniście wiedzieć jeszcze coś. Wróciły już wyniki z laboratorium i nie zgadniecie, co znaleźliśmy.  
Elise była przekonana, że zgadła, ale nie chciała psuć Casperowi przyjemności.  
— TTX — powiedział patolog.  
Wciąż jeszcze przetrzymywali tę nowinę, kiedy zadzwonił telefon Elise. Dzwoniła major Hoffman. — Truman Harrison nie żyje — oznajmiła.  
— Tym razem naprawdę.

## Rozdział 12

Enrique i Flora patrzyli, jak Strata Luna przybija mały krzyżyk, zrobiony z drewnianych patyczków po lodach, do pnia drzewa. Na podwójnej kamiennej płycie, ułożonej na grobie jej dwóch córek, rozsypała kadzidlany proszek, którego używała do komunikowania się ze zmarłymi. Kadzidło poskwierczało trochę i buchnęło płomieniem. Ostry zapach saletry i ziół wypełnił gęstniejący mrok.

Było późno. Już po zamknięciu. Opiekun cmentarza Boneventu—re otworzył bramę, by Strata Luna mogła bez świadków odwiedzić grób.

Enrique trącił Florę łokciem.

— Chodź — szepnął.

Odwrócili się, zostawiając kobietę odzianą w czarną pelerynę.

Enrique nieraz przychodził ze Stratą Luną na cmentarz, ale nigdy nie był świadkiem niczego dziwnego. I nie chciał być. Jeśli o niego chodziło, zmarli powinni pozostać zmarłymi. Kiedyś zdawało mu się,

że widział kogoś, kto wrócił zza grobu, i serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Ale potem dowiedział się, że ta osoba nigdy nie była martwa.

Nie cierpiał zmarłych. Ale żywe trupy...?

To całkiem inna historia.

Dla Flory Strata Luna była właściwie matką. Dla Enrique kimś więcej... Podejrzał, że Flora wiedziała, iż czasem dzielił ze Stratą Luną łóżko. Nie żeby coś znaczył dla tej kobiety w czerni. Wątpił, czy kiedykolwiek zależało jej na jakimś mężczyźnie, z wyjątkiem szamana, Jacksona Sweeta. Nie, w przypadku Enrique to była tylko służba.

Nie narzekał.

Strata Luna sądziła, że będzie go mogła wychowywać, kształtować. Myślała, że ma nad nim kontrolę, ale się myliła. Nikt nie rządził Enrique Xavierem.

Były sprawy, o których nie wiedziała. Sprawy, o których nie wiedziała Flora. Miał swoje życie poza Czarnym Tupelo i Stratą Luną. Sekretne życie.

— Zimno mi — szepnęła Flora. — Komary mnie gryzą. Enrique roztarł jej nagie ramię.

—To ty chciałaś tu przyjść — przypomniał jej.

W odróżnieniu od Enrique, Florę ciągnęło do śmierci. Lubiła zwiedzać cmentarze i wiele razy razem z miejscowymi wycieczkami poszukiwała duchów.

— Nie wciskaj mi kitu, Enrique. To ty chciałeś, żebym przyszła. Roześmiał się trochę nerwowo. To była prawda. Nie lubił sam płać się po cmentarzu, kiedy Strata Luna bratała się ze zmarłymi. Flora pociągnęła go za koszulę.

— Chodźmy odwiedzić Gracie.

Ciemność spadła na nich jak całun i twarz Flory była zamazaną plamą. Enrique odwrócił się na pięcie i ruszył w przeciwnym kierunku.

— Nie ma mowy. Nie idę odwiedzić żadnej Gracie.

— No chodź — poprosiła. Ten ton sprawiał, że robił to, co chciała.

— Zobaczymy ją.

Gracie była sławna. Umarła w zeszłym stuleciu, kiedy miała sześć lat. Gdzieś tu była jej figurka naturalnej wielkości. Na prawo? Na lewo? Zawsze się gubił na Bonaventure.

Wiele osób twierdziło, że widziało małą Gracie spacerującą po cmentarzu. I to był jeden z powodów, dla których poprosił Florę, żeby tu z nim przyszła. Gdyby miał się natknąć na Gracie, nie chciał być sam.

— Nie mów o niej — szepnął. — Usłyszysz cię i przyciągniesz ją do nas. — Wolał nie myśleć, kto jeszcze może się pokazać, kiedy kawałek dalej Strata Luna otwierała na oścież drzwi między tym i tamtym światem.

Flora pobiegła w drugą stronę.

— Gracie! — zawołała. — Hej, Gracie!

Enrique podbiegł i złapał ją, zatykając jej usta ręką. Znali się od lat, byli jak brat i siostra.

— Zamknij się! — syknął jej do ucha. Jej włosy pachniały kwiatami. Flora odciągnęła jego rękę.

— Cśśś, słuchaj — powiedziała. W jej głosie wciąż pobrzmiwał śmiech. — Słyszałeś to?

— Co?

— Coś się poruszyło.

Enrique wyprostował się w gęstej ciemności, wytężając wzrok i słuch. Wysoko, na tle nieba, dostrzegał zwisające girlandy hiszpańskiego mchu. Na ziemi jaśniejszymi plamami odznaczały się nagrobki i rzeźby.

Miał nadzieję, że żadna z nich nie przedstawia Gracie.

A niech cię, Flora.

Usłyszał w oddali dźwięk, od którego włosy zjeżyły mu się na głowie, a serce zaczęło walić jak szalone. Czy to małe dziecko? Mówi? Śmieje się? Tak to brzmiało. Jak głos małego dziecka.

O kurczę.

Co on tutaj robi?

— Czy wy nie macie żadnego szacunku dla zmarłych? — dobiegł z ciemności gniewny głos Straty Luny, choć nie było słyhać kroków,

które ostrzegłyby, że podeszła tak blisko. — Bijatyka, śmiechy i kto wie co jeszcze. Powinniście się wstydzić.

Pełni poczucia winy zamilkli i spowaźnieli, jak skarcone dzieci.

—Wracajmy do samochodu — powiedziała Strata Luna. — I mam nadzieję, że przez was moje zakłęcie sprowadzające zmarłych nie poszło źle i nie ściągnęło klątwy na nas wszystkich.

## Rozdział 13

Rano, następnego dnia po wizycie w kostnicy, Elise siedziała po drugiej stronie biurka major Hoffman. Gould przycupnął na krześle obok.

— Przydałoby mi się więcej ludzi — powiedziała Elise. Nie chciała sugerować tą prośbą, że Gould nie wywiązuje się z obowiązków, ale chwilami czuła się tak, jakby prowadziła to dochodzenie sama.

— Śmierć Jordana Kempa ciągle jeszcze może się okazać wynikiem przedawkowania narkotyków — powiedziała Hoffman ze swoim miękkim, południowym akcentem. — I na razie nie ma dowodów na związek tej sprawy z Harrisonem. Dopóki ich nie znajdziecie, dopóty trudno będzie usprawiedliwić odciąganie ludzi od innych spraw. W każdym razie zobaczą, co da się zrobić. Przynajmniej na jakiś czas.

— Dzięki. — Elise nie była zdziwiona. Martwe męskie prostytutki nie należały do spraw priorytetowych. I nie była to wina pani major. Po prostu tak to funkcjonowało.

—A co z tym pierwszym zmarłym, który ocknął się w kostnicy? — Major wskrobywała łyżeczką resztki jogurtu z plastikowego pojemniczka. Miała długie, czerwone paznokcie i idealny makijaż. — Z Samuelem Winslowem?

Hoffman była Afroamerykanką i zajmowała stanowisko zwykle zarezerwowane dla mężczyzn. Od lat władze miejskie ignorowały problem przestępczości w Savannah. Kiedy Hoffman została szefem

wydziału kryminalnego i dochodzeniowego, natychmiast rozesłała patrole do parków na starym mieście i w dzielnicach turystycznych, by policja była widoczna na ulicach. Pracowała też nad kreatywnymi metodami rozładowywania napięć rasowych w mieście.

— Ciało zostało skremowane, a po pobieżnej autopsji nie przeprowadzono żadnych szczegółowych testów — powiedziała Elise. — Standardowe badania wykazały, że był zaawansowanym narkomanem. W jego krwi znaleziono duże stężenie heroiny i śladowe ilości morfiny. Wyglądało to na dość oczywisty przypadek śmierci z przedawkowania.

— Zrozumiałe, biorąc pod uwagę okoliczności.

— Jeszcze jedno. — Elise wyjęła z torebki zdjęcie z polaroida i podsunęła je pani major. — To implant znaleziony na ciele Jordana Kempa. Major Hoffman obejrzała zdjęcie i oddała je Elise.

— Czarne Tupelo. — Tak.

— Czy pierwsza męska prostytutka miała taki sam znak?

— Nie. I nic, co wskazywałoby, że został usunięty.

— Zwołałam konferencję prasową. Zacznie się za godzinę. Czy chcemy w tej chwili ujawniać informację o powiązaniach z Czarnym Tupelo? Jak pan myśli, detektywie Gould? Był pan wyjątkowo milczący.

Gould poprawił się na krześle.

— Na tym etapie powinniśmy to zachować dla siebie, dopóki nie będziemy mieli czegoś więcej.

— Zgadzam się. Co jeszcze macie w planach?

— Chcemy złożyć niespodziewaną wizytę w Czarnym Tupelo — powiedziała Elise.

— To powodzenia, jeśli macie nadzieję na rozmowę ze Stratą Luną. Nie jest szczególnie przyjaźnie nastawiona do policji.

Elise nie знаła osobiście Straty Luny, ale, jak wszyscy w Savannah, była nią zaintrygowana.

— Mam nadzieję, że ją przekonam. — Niewiele myślała o swojej przeszłości, ale tym razem mogła się przydać.

— Podejrzewam, że potrzebny będzie nakaz sądowy — stwierdziła Hoffman.

— Co bynajmniej nie zachęci jej do współpracy.

— Zróbcie to po swoimu. Tak czy inaczej, nie zaszkodzi grzecznie ją poprosić — odparła major. — I sugerowałabym, żebyście zbadali plotkę o zombi z logo Czarnego Tupelo.

— Będziesz musiała mnie wprowadzić w temat — poprosił Gould.

— Kto to właściwie jest ta Strata Luna?

Siedzieli w służbowym samochodzie, jadąc w kierunku nabrzeża, do Czarnego Tupelo. Elise właśnie skręcała w lewo.

— Prawdopodobnie przejeżdżałaś koło jej domu. To ten dworek, który widać z daleka z ulicy w dzielnicy wiktoriańskiej. Kiedyś była tam kostnica.

— Kostnica? — jęknął. — Dlaczego nie jestem zaskoczony?

— Strata Luna rzadko chodzi gdziekolwiek oprócz Czarnego Tupelo. A kiedy gdzieś jedzie, to zawsze na tylnym siedzeniu samochodu, z twarzą zasłoniętą woalką.

— Po co ta woalka? Jest brzydka? Czy tylko ekscentryczna?

— Po prostu nosi żałobę. Straciła dwojkę dzieci. A może po prostu gra rolę, by podtrzymać legendę, która ją otacza.

— Czyli...?

— Jej matka była kapłanką *Gullah* i Strata Luna wychowała się w świecie kobiet obdarzonych mocą, które potrafiły sprawować kontrolę nad mężczyznami. Jej matka umarła na suchoty, na skutek klątwy rzuconej przez zazdrosną sąsiadkę. Strata Luna i jej dwie młodsze siostry brały udział w rytuale uświęconej komunii, podczas którego zjadły kawałek serca swojej matki, a także wchłonęły w siebie jej duszę.

— Och, na litość boską.

— Ja tylko przekazuję ci legendę. To ty zdecydujesz, czy to prawda, czy fikcja. Tak czy inaczej, dziewczęta nie posiadały magicznych umiejętności, ale przejęły urodę i charyzmę matki. Zaczęły sprzedawać swoje ciała mężczyznom, a ci nie targowali się mimo niebotycznej ceny. Kiedy Strata Luna przekroczyła dwudziestkę, jej siostry wyszły za mąż, a ona sama prowadziła już własny dom publiczny. Nie uznawała pożyczek, ale w końcu zaoszczędziła dość, by kupić magazyn nad rzeką.

— Czarne Tupelo.

— Nie pozwala robić sobie zdjęć. Mówi się, że kiedy fotograf używa aparatu z automatyczną, szybką migawką, tuż nad jej ramieniem widać czarną postać. Niektórzy twierdzą, że to diabeł, inni, że dusza jej matki, uwięziona między dwoma światami, poszukująca swojego serca.

Gould pokręcił głową.

— Co za bzdety.

— Milcz, słuchaj i się ucz. Jak już mówiłam, Strata Luna miała dwójkę dzieci. Dwie córki. Obie zmarły tragicznie. Pierwsza utopiła się w ogrodowej fontannie w posiadłości matki, kiedy miała jakieś osiem, dziewięć lat.

—Jezu — powiedział, nagle szczerze przejęty jej opowieścią.

— Druga popełniła samobójstwo cztery lata temu. Znalezione ją powieszoną w rybackiej szopie na Wyspie Świętej Heleny. Była już wtedy dorosła. Miała dwadzieścia siedem czy dwadzieścia osiem lat, jeśli dobrze pamiętam. Po jej śmierci Strata Luna na stałe przywdziała żałobę.

Znajdowali się o przecznicę od rzeki Savannah, na placyku otoczonym ceglаныmi magazynami. Elise zaparkowała przy krawężniku. Zgasiła silnik i zatrzymała się, z ręką na drzwiach.

— Jedna z opowieści mówi, że matka nauczyła Stratę Lunę sekretnej sztuki zamieniania ludzi w zombi. Chodzą plotki, że wszystkie jej prostytutki to właśnie stworzone przez nią zombi.

Gould się roześmiał. Wysiedli z samochodu.

— Teraz się śmiejesz — powiedziała Elise. —Ale gdybyś tu pomieszkał dość długo, w końcu zdarzyłoby się coś, co przynajmniej kazałoby ci się zastanowić... i uszanować władzę, jaką umysł może mieć nad ciałem.

— Nie próbuję deprecjonować tego, *co* mówisz. Bywałem świadkiem masowej hysterii, ale nie możesz oczekiwać, że uznam te historie za prawdziwe.

Elise uśmiechnęła się trochę ponuro.

— Oczywiście, że nie.

Przecięli brukowaną uliczkę i stanęli przed wąskimi, żelaznymi drzwiami, które wyglądały jak wejście dla personelu. Na środku drzwi widniało dyskretne logo Czarnego Tupelo.

— Coś ostatnio za często to widuję — wymamrotał Gould pod nosem.

— Mam przecucie, że jeszcze się tego naoglądamy za wszystkie czasy. Nie było klamki. Tylko dziurka od klucza, dzwonek i małe okienko, zabezpieczone gęstą siatką.

Gould nacisnął guzik dzwonka.

— Już nieraz policja chciała zamykać ten przybytek, ale trudno kogoś oskarżyć o prostytutkę — powiedziała Elise. — Praktycznie trzeba by go przyłapać na gorącym uczynku. — Podejrzewała też, że wielu policjantów wołało nie zadzierać ze Stratą Luną. Bali się tego, co mogłaby zrobić im i ich rodzinom.

Jak w małym konfesjonale, wewnętrzna osłona okienka odsunęła się na bok.

— Tak? — rozległ się męski głos.

Elise i Gould wyjęli swoje odznaki i unieśli je do góry. Elise przedstawiła się za nich oboje.

— Chcecie wejść? — zapytał ktoś. Miał latynoski akcent. Głos był młody, zadziorny. — Jasne, że możecie wejść. Napić się. Posłuchać szafy grającej.

Drzwi się otworzyły.

Elise weszła do środka. Przez chwilę, zanim jej źrenice oswoiły się z półmrokiem panującym wewnątrz, była zdezorientowana. Gould wpadł na jej plecy.

Lokal śmierdział skwaśniałym piwem i dymem papierosowym. Ze stojącej w kącie szafy grającej leciał jakiś bluesowy kawałek.

— Wejdźcie. Usiądźcie. Popatrzcie sobie. — Młody mężczyzna szerokim gestem wskazał ścianę za barem. — Nasza licencja na alkohol jest aktualna. Właśnie tym się zajmujemy. Sprzedają alkoholi. I jedzenia. Chcecie zobaczyć menu? Jest trochę wcześniej, ale mogą rozpaść grilla.



Elise pomyślała, że zamówienie czegoś do jedzenia może być niezłym pomysłem. Da im okazję do rozmowy z młodym człowiekiem.

— Nie, dzięki — odparł Gould.

Jej oczy przyzwyczajały się do ciemności.

Drewniane nisze zajmowały ścianę naprzeciw baru. W najdalszej siedziały dwie kobiety, rozmawiając, pijąc, paląc.

— Może coś do picia — powiedziała Elise. — Ale bezalkoholowego. Jesteśmy na służbie.

— Słodka herbata? Mamy najlepszą słodką herbatę w mieście. Elise wśliznęła się na barowy stołek.

— Świetnie.

— Ja poproszę to samo. — Gould zajął miejsce obok niej.

— Flora! — krzyknął młodzieniec do jednej z kobiet w kącie. — Słodka herbata... dla państwa z policji.

Kiedy czekali na herbatę, Elise wyjęła dwa zdjęcia męskich prostytutek, powiększone z policyjnych fotek, które znalazła w kartotece.

— Widział pan któregoś z tych mężczyzn?

Młodzieniec wziął zdjęcia i zaniósł je do lampy nad kasą. Wrócił po kilku sekundach.

— Nie. — Głos miał obojętny.

— Na pewno?

— Na pewno. Coś nabroili?

— Obaj nie żyją.

— Obaj? — zapytał, dopiero teraz zaskoczony.

— Obaj.

— Cholera. Przykro mi. — Zmarszczył brwi i pokręcił głową. — Bardzo przykro.

Przyniesiono herbatę. Śliczna kobieta o oliwkowej cerze z długimi, farbowanymi na kasztanowo włosami podała napój Elise. Kiedy stawiała drugi przed Gouldem, jej ręka znieruchomiała.

Czyżby jej się spodobał?

Ułamek sekundy później ręka wróciła do życia i postawiła szklanekę na drewnianym blacie.

Elise nigdy nie marnowała okazji.

—Widziała pani któregoś z tych mężczyzn? — Przesunęła zdjęcia po kontuarze. Kobieta zerknęła na nie pobieżnie i pokręciła głową.

— Nie, nigdy. — Miała leciutki latynoski akcent. — Podać państwu coś jeszcze? — Pytanie było skierowane do obojga, ale kobieta patrzyła na Davida.

— Gdzie macie toaletę? — zapytał, jakby lekko spanikowany. Barmanka wskazała kierunek i Gould poszedł.

—Jestem Enrique — przedstawił się Elise młody człowiek. — Enrique Xavier. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę zawołać. Elise zaczęła się bawić serwetką.

— Enrique, chciałam zapytać, czy dałoby się porozmawiać ze Stratą Luną.

— Strata Luna z nikim nie rozmawia.

— Słyszałam, ale skoro w grę wchodzi dwa ewentualne morderstwa. .. pomyślałam, że mogłaby nam pomóc.

Pokręcił głową.

— Nie ma mowy.

— Może ją zapytasz?

— Powie: nie.

— Zaryzykuję.

Enrique wzruszył ramionami, podniósł słuchawkę telefonu i wystukał numer. —Jest tu jedna pani. Z policji — powiedział do słuchawki. Elise podała mu wizytówkę.

— Detektyw Sandburg. Pyta, czy może porozmawiać. Tylko parę minut. — Zapalił papierosa i zdjął okruch tytoniu z języka. —Tak, to samo jej powiedziałem. Przepraszam, że zwracałem głowę.

Elise pochyliła się do Enrique. Nadszedł czas wyjąć asa z rękawa.

— Powiedz, że jestem córką Jacksona Sweeta.

Enrique zawahał się, ale przekazał informację. Elise zobaczyła, jak wyraz jego twarzy się zmienia. Zrozumiała, że wygrała. Pięć minut później była już umówiona.

Gdzie był Gould? Dlaczego nie wrócił z łazienki?

Schylony nad zlewem, David wrzucił mokry papierowy ręcznik do śmieci. Cofnął się z zamkniętymi oczami, aż trafił na solidną, ceglana ścianę. Serce waliło mu w piersiach. W głowie słyszał dziwny pomruk.

Jezu.

Dziewczyna z tamtej nocy. Niewiele pamiętał, ale był pewien, że to ona.

Jezu! Co on narobił? Co wyprawia? To było kompletnie popieprzone. Kiedyś zachowywał się jak profesjonalista. Kiedyś był dobrym agentem. Co...

— Co tu jest grane, do diabła? — rozległ się gniewny szept. Otworzył oczy i zobaczył tę dziewczynę, Florę, stojącą metr od niego —  
— Jesteś policjantem? Pieprzonym policjantem? To ma być jakaś podpucha?

— Słuchaj. Moja dzisiejsza wizyta tutaj to tylko dziwny zbieg okoliczności. A tamta noc... Nigdy przedtem nie robiłem czegoś takiego. Nawet nie bardzo wiem, jak to się stało.

Dziabnęła go palcem w pierś i zmierzyła gniewnym wzrokiem.

— Zbiegi okoliczności nie istnieją. A ty jesteś glina!

— Ja nawet nie wiem, czy chcę nim jeszcze być. — Boże. Przyznał się przed tą kobietą do rzeczy, o których nie chciał nawet myśleć.

— Och, rozumiem — powiedziała Flora. — Przechodzisz kryzys wieku średniego.

— Nie, po prostu zwykły, codzienny kryzys.

— Wiesz, jakie to typowe, że mężczyźni biorą się do prostytutek, kiedy sięgną dna? Że szukają towarzystwa obcych? Że chcą się znaleźć w ramionach kobiety, której nawet nie znają? Jak myślisz, dlaczego tak jest?

— Gdyby był tu Freud, na pewno zaraz by nas oświecił. Ktoś zapukał do drzwi.

— Gould? — usłyszał głos Elise. — Wszystko w porządku?

Flora uśmiechnęła się szyderczo i otworzyła usta, by odpowiedzieć. Jednym szybkim ruchem Gould przyciągnął ją do siebie i przycisnął dłoń do jej twarzy.

— Tak! — odkrzyknął. — Zaraz wyjdę.

Kroki Elise ucichły. Wypuścił dziewczynę. Miała rozmazaną szminkę. Nie była już zła.

—Więc to nie była podpucha? — zapytała ze wstydliwym uśmiechem.

Cholera. Będzie próbowała go szantażować? Już widział nagłówki w gazetach: „Gliniarz—Jankes i dziwka z Czarnego Tupelo”.

—To jest tylko twoja i moja sprawa. Niczyja inna. — Przeciągnął palcem po smudze szminki, próbując ją zetrzeć, ale nagle zdał sobie sprawę, co robi, i przestał.

— A co byś powiedział, gdybym przyszła dziś wieczorem do ciebie?

— Jej uśmiech był teraz szerszy.

— Nie fatyguj się.

— Nie w interesach. Zdaje mi się, że potrzebujesz przyjaciela.

— Mam kota. Roześmiała się.

—Już ci mówiłam tamtej nocy, że jesteś zabawny.

— Pan Zabawny, to właśnie ja.

— Strata Luna zgodziła się ze mną spotkać — powiedziała Elise Davidowi.

— Jak, u diabła, ci się to udało? Zsunęła się z barowego stołka.

— Łączy nas duchowa więź.

Wyszli na zewnątrz. David zatrzymał się w świetle słońca, kiedy dotarło do niego znaczenie jej słów.

— Powiedziałaś „ze mną”, nie „z nami”.

— Mam przyjść sama, taki postawiła warunek.

—Jeśli miejsce na to pozwoli, powinno nam się udać tak to zaaranżować, żeby wyglądało, że jesteś sama.

— Strata Luna nie jest niebezpieczna. Pójdę sama. To nie był dobry pomysł. Ani trochę.

— Mówisz o kobiecie, która zjadła serce swojej matki.

— Folklor.

— Folklor, który przedstawiłaś jako fakt. Czy przynajmniej powiesz mi, gdzie się ma odbyć to spotkanie?

— Nie mogę.

Patrzył na nią przez długą chwilę. Proste, błyszczące włosy. Jak gładki, czarny kot.

— Myślałem, że jesteś mądrzejsza — powiedział. Drzwi za nimi otworzyły się. Flora.

— Może chcecie to wziąć ze sobą. — Podała im niedopite herbaty, które przelała do przejrzystych plastikowych kubków.

Patrząc na jej złośliwy uśmiezek, David wziął pełny kubek, słomkę i wieczko.

—Widziałeś, jak ci się przyglądała, kiedy podawała nam herbatę? — zapytała Elise, kiedy Flora wróciła do środka. — Zadurzyła się w tobie.

— Zadurzyła? Czy nie powinno się mieć powyżej dziewięćdziesiątki, żeby używać takiego słowa? — Rany. Ależ ta Elise ma dziwne oczy...

Zauważył je już wcześniej. Kto by nie zauważył? Ale w mocnym świetle słońca dostrzegł metaliczne cętki i linie w niezliczonych kolorach.

— Czy ty się ze mnie nabijasz? — zapytała z nienagannym akcentem południowej pani na włościach.

Bywały chwile, kiedy Elise mówiła prawie bez akcentu. Ale bywały i takie, jak teraz, kiedy potrafiła być południowa jak brzoskwinia z Georgii. Akcent był narzędziem, którego używała od czasu do czasu dla efektu.

Jego matka i siostra byłyby nią zachwycone. I dlatego nie mogły jej poznać. Od razu uznałyby, że muszą ich wyswatać, jako że uważały za swój obowiązek znalezienie mu żony. Opowiedziałyby też Elise o jego przeszłości. A on nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Dzięki temu to wszystko było jakby mniej realne.

— Powiedziała, że jest córką Jacksona Sweeta — oznajmiła Strata Luna.

Stała z Florą w oknie, na drugim piętrze Czarnego Tupelo, obserwując detektywów, idących brukowaną uliczką.

— Jacksona Sweeta? — zapytała Flora. — Tego czarownika?

—Jackson był kimś więcej niż tylko czarownikiem. Starsza kobieta pachniała tajemnicami, ostrymi ziołami i żyzną, ilastą ziemią. Zapach przesycił jej włosy. Jej ubranie. Sączył się z jej skóry. Flory nie interesował Jackson Sweet ani pani detektyw. Patrzyła, dopóki para nie zniknęła za rogiem.

—To ten facet, o którym pani mówiłam.

— Podoba ci się — stwierdziła Strata Luna.

—Tak.

— Jest policjantem.

— I co z tego?

— Policjanci nie zakochują się w takich jak my, niemądre dziecko. Flora wciąż patrzyła w miejsce, gdzie zniknął David Gould.

— On mógłby mnie pokochać — powiedziała cicho. — Jezus zakochał się w prostytutce.

—Jezus to, Jezus tamto — zadrwiła Strata Luna. —Wszyscy wiesznie gadają o Jezusie. Silnej kobiecie niepotrzebny mężczyzna, chyba że do otwierania słoików i do seksu.

— Pani nigdy nie była zakochana?

—Ja nawet nie jestem pewna, czy wiem, co to miłość, złotko. W każdym razie miłość mężczyzny i kobiety.

— A Enrique?

Starsza kobieta roześmiała się głęboko, dźwięcznie.

— Enrique jest słodkim, ślicznym chłopcem, ale nie jest mi równy, złotko.

Strata Luna wzięła szczotkę z toaletki. Jej czarna suknia zaszeleściła. Przeciągnęła szczotką po włosach Flory. Dziewczyna westchnęła i zamknęła oczy.

— Był jeden mężczyzna... — zaczęła Strata Luna ze skrywanym uśmiechem w głosie. — Ale nie podobał mojej kobiecości. — Klasnęła językiem i pokręciła głową. — Nie podobał.

— Znam go? — Flora poczuła, że się odpręży.

— Zanim się urodziłaś.

W pokoju było chłodno, ale Flora czuła lepki upał Savannah bijący od szyby w oknie, tuż przy jej twarzy. Rytmiczne ruchy szczotki kołysały ją.

—Jeśli poważnie myślisz o tym mężczyźnie — powiedziała Strata Luna — mogę pomóc.

— Myślę poważnie.

—Więc zbierzemy składniki na urok. Jak to będzie? — Odłożyła szcztokę i przejechała paznokciami po głowie Flory. — Kochaj albo giń.

## Rozdział 14

— Co dalej? — zapytał Gould, kiedy światło zmieniło się na zielone i Elise przejechała nieoznakowanym, służbowym autem przez skrzyżowanie. — Polecimy do Roswell w Nowym Meksyku i zajrzemy do kosmitów?

Elise zaczynała już męczyć konieczność ciągłej obrony i wyjaśniania miejscowej kultury swojemu partnerowi.

— Musisz mieć bardziej otwarty umysł, jeśli zamierzasz tu mieszkać.

— Po prostu pomyślałem, że powinniśmy się skoncentrować na bardziej... praktycznych sprawach. — Gould majstrował przy radiu, ale łapał tylko trzaski. — Do licha! — powiedział, wyłączając odbiornik. —Dlaczego zawsze łądujemy w samochodzie bez muzyki? A już szczególnie dzisiaj?

— Bo ktoś inny zawsze przed nami dopada jedyne go wozu z przyzwoitym radiem. A zresztą nie sądzę, żeby komenda uznawała muzykę za priorytet.

Zanim wyjechali z miasta, zatrzymała się przy Parker's Market, gdzie kupili sobie kanapki.

—Ja poprowadzę — zaoferował się Gould, kiedy wrócili do samochodu.

— Nie trzeba — odparła Elise. — Znam drogę. Wzruszył ramionami.

—Jak chcesz.

Kiedy ruszyli, zapytał:

— O co chodzi z tą wioską, do której jedziemy? — Podsunął jej ogórka pod nos. — Chcesz mojego korniszona?

Pokręciła głową.

— Frytki? Przyjął ofertę.

— Chodzą plotki, że mieszka tam młody człowiek, który podobno zjawiał się w domu osiem miesięcy po własnym pogrzebie — wyjaśniła.

— A. Plotki. Uwielbiam plotki — powiedział i przewrócił oczami.

— Nie wolno nie doceniać plotek.

— Zwłaszcza tutaj, co?

Zgrywał cwaniaka? Czasem trudno było go rozgryźć.

— Wioska, do której jedziemy, uważa się za niepodległe państwo — wyjaśniła. — Jest samowystarczalna. Mają króla. Mają nawet własną stronę internetową. I na szczęście dla nas, chętnie przyjmują turystów.

Skończyli jeść.

Gould zwinął opakowania w kulkę i wrzucił wszystko do szarej torby. Kiedy rozmowa utknęła, jeszcze raz włączył radio, widocznie mając nadzieję na lepszy odbiór za miastem. Niestety, działało jeszcze gorzej. Westchnął, wyłączył sprzęt, rozsiadł się w fotelu i podziwiał widoki.

Po licznych zakrętach i ślepych drózkach dojechali w końcu do tablicy, na której było napisane: OPUSZCZACIE STANY ZJEDNOCZONE I WJEŹDŹCIE DO KRÓLESTWA YORUBA, STWORZONEGO PRZEZ KAPŁANÓW KULTU ORISKA WUDU.

Gould zagapił się na tablicę.

— To jest kompletnie pokręcone — stwierdził z mieszaniną tłumionego podziwu i irytacji.

Minęli chałupę, wyznaczającą rogatki wsi. Bose, ciemnoskóre dzieci ganiały po błotnistych ulicach. Starzy mężczyźni siedzieli na krzesłach pod zardzewiałymi, blaszanymi dachami ganków i tak upływał ten dzień.

Ludzie byli przyjaźni i Elise szybko się dowiedziała, jak dojechać do chałupy, która ich interesowała. Jak wszystkie pozostałe, i ta wyglądała, jakby miała się zawalić przy silniejszym wietrze.



Odgłos silnika zaanonsował ich przybycie. Mężczyzna i kobieta wyszli, by ich powitać.

— Przez sześć dni leżał w zimnej kostnicy — powiedział im czarny wyspiarz spod ronda zniszczonego przepeconego kapelusza ze słomy.

— A potem go pochowaliśmy. Osiem miesięcy później przywłókł się do domu. Tak po prostu...

Wskazał chłopaka, mniej więcej siedemnastoletniego, siedzącego przed domem rodziców. Stopy miał bosc i zakurzone, włosy skołtunione, kości ramion sterczały ostro pod cienkim materiałem koszulki.

— Nie umie nawet sam zjeść czy się umyć — dodała. W jej głosie nie było smutku, ale akceptacja. — A nasi znajomi... już tu więcej nie przychodzą. Przez Angela. Mówią, że jest przeklęty. Mówią, że jest zły.

— Czy możemy z nim porozmawiać? — zapytał Gould.

— Nic wam z tego nie przyjdzie. Nie umie mówić. Pewno nawet nie wie, kim jesteśmy. Wrócił tu tylko z nawyku... Widzicie, jak trzyma głowę? Całkiem na dół?

— Postawa zombi — skwitowała Elise. Matka skinęła głową.

— Nie podniesie wyżej. Nawet żeby jeść. Ale to dobry chłopiec. Jak mu każę iść do domu, to idzie do domu. Jak mu każę iść do łóżka, idzie do łóżka. To dobry chłopiec. Nikt by nie miał powodu go skrzywdzić.

— Macie jakieś podejrzenia, kto mógł mu to zrobić? I dlaczego?

— zapytała Elise.

Mąż i żona wymienili przestraszone spojrzenia. Elise i Gould byli obcy, a rodzice bali się rozgniewać tego, kto zrobił tak straszną rzecz ich synowi. Jeśli nawet wiedzieli kto to, niczego nie powiedzą.

Elise i Gould przez chwilę próbowali rozmawiać z wychudzonym młodzieńcem, ale żadne ich słowa nie wywołały reakcji. Był jak pusta skorupa.

— Trochę zbyt stanowczo podkreślają, że ich syn jest dobrym chłopcem — powiedział Gould, kiedy rodzice znaleźli się poza zasięgiem słuchu.

— Myślisz, że może przedtem nie był taki grzeczny? — Właśnie.

— Społeczności wyznawców wudu mają własne metody radzenia sobie z przestępcami — odparła Elise. — Zamienienie kogoś w bezmyślną kukłę to skuteczny sposób okiełznania go.

— Żadnych więzień. Wydatki ponosi tylko rodzina.

— Musiał zrobić coś naprawdę strasznego, żeby zasłużyć sobie na taki dożywotni wyrok?

Gould sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Może się dowiemy.

Podszedł z powrotem do rodziców.

— Czy państwa syn nie ma przypadkiem na ciele czegoś takiego? — zapytał, pokazując im zdjęcie implantu.

Rodzice spojrzeli na siebie, potem na Goulda.

— Musicie już iść. — Było oczywiste, że rozpoznali logo. I że się boją.

— Czy wasz syn ma na sobie taki znak? — naciskał Gould. —

Wynoście się! — Staruszek wstał z krzesła i wskazał samochód. Elise usłuchała. Gould ruszył w jej ślady.

— Możliwe, że Angel był męską prostytutką w Czarnym Tupelo — powiedział, idąc po sypkim piasku za Elise do samochodu.

— Rodzice za bardzo rozplýwali się nad jego niewinnością — zgodziła się Elise. — Jeśli rzeczywiście tak jest, to mamy już trzy męskie prostytutki.

— Dwóch nie żyje, jeden jest warzywem.

— Tyle że pierwszy mógł umrzeć od przedawkowania heroiny. — Jest też możliwe, że Angel został ukarany przez własną społeczność. To też może być przypadkowy zbieg okoliczności.

Przy samochodzie Elise zatrzymała się z ręką na klamce i spojrzała na Goulda.

— No i mamy jeszcze pana Harrisona. Gdzie on pasuje?

— Nie pasuje. Nie twierdzą, że jego przypadek nie ma związku. Mówię tylko, że nie pasuje.

— Kłania się wiktymologia.

— I znowu wracamy do opcji niepowiązanych przestępstw — powiedział Gould.

— A może Harrison był wypadkiem przy pracy? — zastanawiała się Elise. — Może dostał truciznę przeznaczoną dla kogoś innego?

— Załóżmy na chwilę, że wszystkie morderstwa są ze sobą związane. W takim wypadku musimy zadać sobie pytanie, co sprawca chciał osiągnąć, wychodząc poza swój zwykły modus operandi. Powodów może być wiele. Morderca mógł to zrobić, by ściągnąć na siebie uwagę. Mógł też chcieć nas zmylić. Albo poszerza swój obszar działania.

Kiedy wsiedli do samochodu, Gould zdjął plastikowe wieczko z kubka z napojem.

— Można na to spojrzeć jeszcze inaczej. — Zagrzechotał lodem w kubku. — Pamiętasz, jak Jeffrey Dahmer wiercił dziury w czaszkach jeszcze żywych ofiar?

Jak mogłaby zapomnieć taki horror? Kiedy Gould poruszył ten temat, przypomniało jej się wszystko, co czytała o tej sprawie.

— A potem wstrzykiwał im kwas akumulatorowy. Koszmar.

— Próbując zrobić z nich zombi — powiedział Gould z ustami pełnymi lodu.

Oczywiście.

— Czy to właśnie to? Ktoś próbuje stworzyć bezmyślne zabawki? Chodzi o absolutną kontrolę?

Zadzwoił telefon Elise. John Casper.

— Sprawdziłem wszystkie prostytutki, które przeszły przez naszą kostnicę w ciągu ostatnich dwóch lat — powiedział. — Niech pani zgadnie, ile ich było?

— Sądzę, że norma to jedna czy dwie osoby na rok.

— Mieliśmy dwanaście przez dwa lata.

— Rany.

Gould ożywił się, słuchając uważnie tego, co mówiła Elise. Aż trudno było uwierzyć w liczbę podaną przez Caspera. A jeszcze bardziej zdumiewające było to, że nikt niczego nie zauważył.

— Przyczyny śmierci? — zapytała Elise.

— Wszystkie związane z narkotykami. Popularnymi narkotykami. Heroina, kokaina.

— Przynajmniej tak jest napisane na aktach zgonu. A to znaczy, że nikt się nie przyglądał bliżej tym przypadkom — domyśliła się Elise.

— Dokładnie tak — odparł Casper.

Podkreśliła klimatyzację. Samochód pracował na jałowym biegu.

— Da się ekshumować chociaż część tych ciał?

— W tym właśnie problem. Większość została skremowana.

— Logiczne — stwierdziła Elise. — Tak jest najtaniej.

— Szczególnie, kiedy płacą za to władze stanowe — dodał Casper.

— Wiele z tych dzieciaków to byli uciekinierzy, bez rodziny, bez pieniędzy.

— Idealne ofiary, za którymi nikt nie będzie tęsknił. Ciekawe, jak długo by to trwało niezauważone, gdyby Harrison nie został otruty — powiedziała Elise. — Ale co z ciałami, które nie trafiły do pieca?

Usłyszała stukot klawiszy.

— Trzy odesłano rodzinom w różnych częściach kraju. Jedno pojechało do Charleston. — Znów klikanie. — Mam. Jeden mężczyzna, niejaki Gary Turello, jest pochowany w Savannah, na cmentarzu Laurel Grove. Mamy w kartotece wszystkie jego rozpoznawalne bliźny i tatuaże. Proszę mi dać sekundę, zaraz spojrzę...

Klikanie, a potem cisza.

— Niech zgadnę — powiedziała Elise. — Czarne Tupelo.

— Tak. — W tej pojedynczej sylabie zabrzmiała ogromna satysfakcja.

Elise zerknęła na Goulda, który patrzył na nią z uniesionymi pytającymi brwiami. Kiwnęła głową.

— Jeśli go ekshumujemy, jakie mamy szanse na znalezienie tetrodoksyny? — zapytała.

— Możecie napotkać wiele problemów przy analizie próbek pobranych z zabalsamowanych zwłok — zauważył Casper. — Wszystko zależy od tego, ile płynu do balsamowania użyto. I od tego, czy trumna przeciekała. Widywałem organy, które dosłownie trzeba było wyzymać.

— Dzięki za tę uroczą wizję.

— Nie ma za co. Turello został pochowany półtora roku temu, ale wydaje mi się, że warto spróbować.

— Czy da się jakoś przyspieszyć wydanie zgody? — chciała wiedzieć Elise.

— Zadzwońię do Stanowej Centrali FBI w Decatur — odparł Casper. — Do Cassandry Vince, naczelnego lekarza sądowego. To ona musi podpisać zgodę, ale kiedy przedstawię jej powagę sytuacji, nie powinna robić problemu.

— Jak długo to potrwa?

— Myślę, że dzień czy dwa. Czasami trafiamy na ludzi, którzy nie życzą sobie, by zakłócać spokój ich bliskich. To zrozumiałe. W takim przypadku będziemy musieli złożyć podanie do sądu o nakaz ekshumacji, co może potrwać o wiele dłużej.

— Miejmy nadzieję, że rodzina się zgodzi — powiedziała Elise. Podziękowała Casperowi i się rozłączyła.

W swoim pokoju nad Czarnym Tupelo Flora, poinstruowana przez Stratę Lunę, zgromadziła wszystkie rekwizyty potrzebne do miłosnego uroku: korzeń Johna Zwycięzcy, magiczny proszek i kawałek szarego papieru oddartego z torby. Wodoodporne pisaki, czarny i czerwony, nową szpulkę czerwonej przędzy, mały woreczek z czerwonej flaneli i ostry nóż.

Za ściany, z przyległego pokoju, dobiegały odgłosy seksu.

Przyciszone głosy. Śmiech. Gorączkowe skrzywienie materaca.

Flora też powinna pracować, ale miała ważniejsze rzeczy do roboty.

Na szarym papierze wypisała nazwisko Davida Goulda siedem razy, czarnym tuszem. Obróciła papier o dziewięćdziesiąt stopni i czerwonym tuszem, drukowanymi literami siedem razy napisała *KOCHAJ ALBO GIŃ*, tak by napisy pokrywały poprzednie.

Zanurzyła papier z nazwiskiem w misce z własnym moczem, potem owinęła i ugniotła go wokół korzenia. W końcu przyszła kolej na magiczny proszek i czerwoną przędę.

Owinęła korzeń raz koło razu, aż papier był całkowicie przykryty, i zawiązała nitkę na kilka dużych węzłów, zostawiając zwisający kawałek.

Strata Luna powiedziała jej, że trzeba trzymać korzeń we flanelowym woreczku i pilnować, by zawsze był mokry od moczu.

Flora wsunęła palec między dwa supły i zadyndała korzeniem w przód i w tył.

— Davidzie Gould, Kochaj albo Giń. Davidzie Gould, Kochaj albo Giń.

## Rozdział 15

Strata Luna zgodziła się spotkać z Elise o czwartej po południu na małym kościelnym cmentarzu na Wyspie Świętej Heleny. To miejsce przesiąknięte było dziedzictwem Gullah. Tutaj też ponoć urodził się Jackson Sweet.

Elise trzymała się odręcznej mapki, która zjawiła się w jej domu w szarej kopercie zapieczętowanej znakiem Czarnego Tupelo. Kościół okazał się piętrową budowlą z desek, wyszorowaną do białości przez wiatr i piasek.

Długi, czarny samochód z miejscową rejestracją stał zaparkowany niedaleko budynku. Jego zderzak prawie dotykał płotu oplecionego gęstą winoroślą. Elise zawróciła i zaparkowała tyłem, dobre piętnaście metrów od limuzyny. Spoglądając przez lewe ramię, ujrzała swojego dobrego kumpla, Enrique, siedzącego za kierownicą. Uśmiechnął się i wskazał kościół, narysował w powietrzu półkole i pokiwał dwoma palcami, imitując przebieranie nogami.

Elise kiwnęła głową, zgasiła silnik i wysiadła. Ukradkiem dotknęła marynarki, pod którą wyczuła zarys swojego SIG sauera. Sprawdziła kieszeń, upewniając się, że komórka też jest pod ręką.

Idąc po sykim piachu, okrążyła kościół.

Czy i ona się urodziła na takiej wyspie? — zastanawiała się. Może nawet na tej samej?

Ta niewiedza na temat własnego pochodzenia była trudna do zniesienia. A zrobiła się jeszcze trudniejsza, kiedy Audrey zaczęła zadawać pytania o jej przeszłość. Elise nie na wszystkie potrafiła odpowiedzieć. W przeciwieństwie do Thomasa i Vivian, którzy mieli swoją historię i mogli o niej głądzić godzinami.

Okna kościoła były powybijane. Frontowe drzwi wisiały na zawiasach. Pachnąca trawa porastała fundamenty, a wiecznie zielone dęby z ich ciemnymi draperiami mchu rzucały długie cienie. Wiał silny wiatr od oceanu.

Było tu niesamowicie nawet za dnia.

Elise zobaczyła pojedyncze ślady stóp i poszła za nimi. Po wschodniej stronie szarej budowli znajdował się mały cmentarz. Stare, proste mchem nagrobki wydawały się maleńkie pod gęstymi, rozłożystymi drzewami.

Pod osłoną gałęzi wiatr zelżał, osłonięte miejsce pogrążone było w półmroku. Elise poszła dalej, piasek ustąpił miejsca ubitej ziemi. Pokrywał ją dywan miękkich, drobnych, brązowych liści. Ziemię znaczyły równoległe koleiny, powstałe wiele lat temu, kiedy trumny przywożono na konnym wozie.

Ruszyła drogą, którą ledwo było widać, skręcając wraz z nią. Zwolniła, kiedy ujrzała w oddali niewyraźną postać.

Podeszła ostrożnie, aż znalazła się na tyle blisko, że rozpoznała kobietę siedzącą na cementowej ławce obok dużego nagrobka. Strata Luna. Kobieta ubrana była w długą, czarną suknię i kapelusz z szerokim rondem. Przez chwilę Elise miała wrażenie, że cofnęła się w czasie. Dłońmi w rękawiczkach Strata Luna z gracją uniosła woalkę.

—Witaj, Elise.

Twarz miała królewską, o wysokich kościach policzkowych i dużych oczach pod grubymi, czarnymi brwiami. Pełne, czerwone wargi odcinały się od hebanowej skóry.

Nikt nie wiedział, ile ma lat. Elise policzyła to kiedyś z grubsza i wyszło jej, że Strata Luna musi mieć przynajmniej pięćdziesiąt lat. Wyglądała o wiele młodziej.

Niezależnie od wszystkich tych opowieści o Stracie Lunie, otaczająca ją aura kobiecości była rzeczywiście nieodparta. Podobno kiedy była młoda, mężczyźni zamierali na ulicach, niezdolni wykonać ruchu, dopóki nie odeszła. Elise wierzyła w to.

—Więc jesteś córką Jacksona Sweeta.

Głos Straty Luny był równie tajemniczy i hipnotyczny jak reszta jej osoby. Głęboki, powolny i melodyjny.

— To tylko plotka.

—A miałaś kiedykolwiek okazję się sprawdzić? Czy ktoś przekazał ci moc?

— Bawiłam się w to trochę.

Elise podeszła bliżej i usiadła na drugim końcu długiej ławki, dobre półtora metra od Straty Luny.

— Bawiłaś się? To nie jest poważne słowo.

—Wiele lat temu. Byłam wtedy dzieckiem.

— Ale porzuciłaś to dla pragmatycznego życia.

— Coś w tym rodzaju.

— Przysuń się.

Elise została na miejscu.

— Nie ufasz mi.

— Zaufanie i głupota chodzą parami.

Starsza kobieta roześmiała się, po czym sięgnęła do głębokiej kieszeni bawełnianej sukni. Wyjęła małe zawiniątko z białego materiału, obwiązane długim sznurkiem z pętlą.

— Mam coś dla ciebie. To *wanga*.

Amulet. Krótko mówiąc: chcesz cukiereczka, dziewczynko?

Strata Luna wstała i podeszła do niej. Była wysoką kobietą, potężną, ale nie otyłą. Z uśmiechem założyła *wanga* na szyję Elise.

Pachniało ziołami.

—To dobry korzeń — zapewniła kobieta. — Będzie cię chronił. — Wyciągnęła rękę i dotknęła włosów Elise. — Masz włosy jak on. Ciemne. Proste. I twoje oczy... niech popatrzę... — Wdzięcznym ruchem ujęła palcami podbródek Elise i uniosła jej twarz do góry.

I nagle, jakby ukąszona przez osę, opuściła rękę.

—Te oczy... — powiedziała niespokojnie. — Są bardzo dziwne.

Elise była przyzwyczajona do takich reakcji, ale po tej kobiecie spodziewała się większego opanowania.

— Z pewnością wie pani, że z ich powodu porzucono mnie na grobie — powiedziała, próbując zajątkować ze swojej przeszłości, jak to zawsze robiła.

— Są w nich prawie wszystkie kolory. — Wciąż patrząc w oczy Elise, Strata Luna wydała się nagle stara i słaba. — A wszystkie kolory dają



czerni. — Odwróciła się i usiadła, jakby nie była w stanie dłużej patrzeć na Elise. Cisza narastała wokół nich, aż Elise zaczęła się obawiać, że kobieta więcej się nie odezwie.

— Znała pani Jacksona Sweeta? — zapytała w końcu. Strata Luna odetchnęła głęboko i wyprostowała ramiona.

— Pijaliśmy razem, złotko — powiedziała głosem, który nagle stał się lekki, niemal żartobliwy. Jej nastroje zmieniały się jak w kalejdoskopie. — I biliśmy się czasem. Mówił, że jestem zbyt butna jak dla niego. — Spojrzała na Elise. — Jesteś jego córką. — Skinęła głową. — Nie ma wątpliwości.

Elise przeżyła wstrząs. Nigdy nie wierzyła w ludzkie gadanie. Nie do końca. Nie w głębi serca. Dorastając, chciała w nie wierzyć. Ale teraz... kiedy Strata Luna była taka pewna...

— Masz dzieci? — zapytała Strata Luna.

— Córkę.

— Córkę... — powiedziała kobieta nieobecnym głosem, jakby ogarnęły ją wspomnienia.

Elise wyjęła zdjęcia, które wcześniej pokazywała Enrique. — Widziała pani kiedyś któregoś z tych mężczyzn? Strata Luna patrzyła przez chwilę na fotografie.

— Zdaje się, że ten u mnie pracował. — Postukała w twarz Jordana Kempa. — Nie pamiętam jego nazwiska. Co do tego drugiego nie jestem pewna. — Oddała zdjęcia. — Wspieram wielu ludzi. Niektórzy zostają. Niektórzy odchodzą. Nie zawsze pamiętam nazwiska.

— Jordan Kemp i Samuel Winslow. — Elise wyjęła kolejne zdjęcie, przedstawiające ozdobny implant.

Strata Luna przyjrzała się uważnie i się uśmiechnęła.

— To jest dzieło Genevieve Roy. Widzisz, jak delikatne są linie implantu? Niewielu artystów osiągnęło takie mistrzostwo.

— Czy to ma jakiś cel?

— To jest *mojo* — wyjaśniła Strata Luna. — Ludzie, którzy dla mnie pracują, często sobie to robią. Ja nie nalegam, ale większość sama chce. To im daje ochronę, której inaczej by nie mieli.

— Najwyraźniej nie jest skuteczna — stwierdziła sucho Elise.

— To dlatego, że wykradziono mi ten wzór. Robią go sobie ludzie, którzy nie mają nic wspólnego z Czarnym Tupelo.

— Chcą zyskać status — podsumowała Elise. Widziała już podobne zdarzenia.

Strata Luna machnęła ręką.

— Teraz to nic nie znaczy. Masz jeszcze jakieś pytania? Muszę zaraz iść. Enrique czeka.

— Mieliśmy w Savannah niewyjaśnione przypadki śmiertelnych zatruc. Ofiary zabijano za pomocą tetrodotoksyny — powiedziała Elise, od razu przechodząc do rzeczy. Zdawała sobie sprawę, że to może być jej ostatnia szansa na rozmowę ze Stratą Luną, przynajmniej w takich nieoficjalnych, swobodnych okolicznościach. — Krążą plotki, że pani narkotyzuje swoich... pracowników, by byli zadowoleni — stwierdziła bez ogródek. — I że stosuje pani tajemniczą mieszanekę, a jednym z jej składników jest właśnie tetrodotoksyna.

Strata Luna wyprostowała się, jej grube brwi zbiegły się nad nosem w grymasie gniewu.

— Oskarżasz mnie o morderstwo?

— Ten chłopak miał na ciele pani znak i tetrodotoksynę we krwi. To chyba logiczne, że chcemy panią przesłuchać.

— Usługi towarzyskie. To może być nieprzyjemne zajęcie. Czasami nowym pracownikom... a nawet tym doświadczonym... trudno jest poradzić sobie z przykrymi wrażeniami. Czasami potrzebują trochę pomocy, by przetrwać noc. Pomagam im, ale nigdy wbrew ich woli. I nigdy nie użyłabym do tego celu trucizny z kolcobrzucha. Mówisz tu o zombi i wudu.

— Może ktoś wymierza sprawiedliwość według własnego pojęcia

— zasugerowała Elise.

Strata Luna wzruszyła ramionami, jakby rozmowa zaczęła ją nudzić.

— Wy, policjanci, zawsze szukacie powodu, motywu — powiedziała.

— Dlaczego nie chcecie przyjąć do wiadomości prawdy?

— A jaka jest prawda? — zapytała Elise.

— Taka, że zło nie potrzebuje powodu do istnienia.

— Nie mogę myśleć w ten sposób. Dla mnie każde pytanie ma odpowiedź.

Kobieta pokręciła głową.

— Któregoś dnia zmienisz zdanie.

Elise, jako detektyw z wydziału zabójstw widziała wiele zła, ale miała przeczucie, że Strata Luna pobiliaby ją na głowę.

Przesłuchanie było skończone. Elise wstała z ławki i podała kobiecie wizytówkę.

— Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać. Jeśli przypomni sobie pani coś ważnego, proszę do mnie zadzwonić.

Strata Luna wstała.

— Chcę ci coś pokazać. Chodź ze mną.

Elise ruszyła za nią, w głąb cmentarza. Dotarły do niewielkiej grupki połamanych, omszałych kamieni nagrobnych. Starsza kobieta zatrzymała się nie przy nagrobkach, ale przed zagłębieniem w ziemi. Wokół szerokiego dołka leżały porozkładane przedmioty: komórka, lusterko, grzebień, trochę drobnych i pełna butelka whisky.

— Dlatego chciałam, żebyś tu dzisiaj przyszła — powiedziała Strata Luna. — To jest grób twojego ojca. Grób Jacksona Sweeta.

Elise zaparło dech.

Patrzyła na zagłębienie w ziemi. Gdzieś daleko, w jakimś ciemnym miejscu, setki żab zdradzały swoje tajemnice; ściana dźwięku wznosiła się i opadała hipnotycznie.

— Na grobie czarownika nie może być żadnego znaku — wyjaśniła Strata Luna. Jej głos dobiegał jakby z bardzo daleka. — Inaczej ludzie wykopaliby jego kości na *mojo* i do czarów. Nie daliby mu spokoju. Ale niektórzy z nas wiedzą, gdzie Jackson jest pochowany. Teraz wiesz i ty. Widzisz tę dziurę? — Wskazała palcem. — Szamani przychodzą tu kopać.

— Magiczny proszek — powiedziała Elise.

— A teraz obie musimy coś zostawić. Nie można odwiedzać grobu czarownika, nie zostawiając czegoś osobistego.

Strata Luna zdjęła swoje czarne rękawiczki i położyła je koło zagłębienia.

W pierwszej chwili Elise nie wiedziała, co mogłaby ofiarować. Kómkę? Oczywiście, że nie. Przeszukała kieszenie. Notatniki. Odznaka. Pistolet.

Jej palce natrafiły na pióro. Zwyczajne wieczne pióro. Może Jackson będzie chciał coś napisać.

Położyła je na jednej z rękawiczek Straty Luny.

— Mam dla ciebie jeszcze jedną rzecz — powiedziała kobieta.

— Nie mogę niczego przyjąć.

— Tak naprawdę to nie ode mnie. — Wyjęła małe, skórzane etui i wręczyła je Elise. — No dalej. Otwórz. To coś, co należało do twojego ojca. Powinnaś to mieć.

Skóra była popękana, czarna i bardzo stara; maleńkie zawiasy zarzewiały.

Elise otworzyła futerał. W środku była para okularów w drucianych oprawkach, z granatowymi szklami.

Okulary czarownika. Niebieskie szkła trzymały z daleka złe duchy i pozwalały noszącemu widzieć rzeczy, których nie widzieli inni.

— Włóż je. Chcę je zobaczyć na tobie.

Wydawała się taka pewna, że Jackson Sweet był ojcem Elise.

— Jesteś taka jak on — stwierdziła Strata Luna.

— W jakim sensie?

— Twój ojciec był policjantem.

— Jackson Sweet? Nieprawda. — Elise wiedziałaby, gdyby Jackson Sweet był policjantem.

— Nie według twoich pojęć, ale szamańskich. Karał złych ludzi i nagradzał dobrych. I robił to lepiej niż ci idioci ze znaczkami, których mamy w Savannah.

Samozwąnczy stróż prawa? Człowiek, który śmiertelnie przerażał innych, zmuszając ich, by się poprawili albo narazili się na gniew białego szamana? Czy to dlatego Elise została policjantką? Miała to w genach, bo była córką Jacksona Sweeta?

Zaintrygowana wyjęła okulary z etui. Drut był cienki i delikatny. Ostrożnie rozłożyła zabytkowe oprawki i włożyła okulary.

Cienie zmieniły się w bezdenną czerń. Niebo zrobiło się szare. Słoneczne cętki przenikające przez gałęzie wyglądały na ziemi jak mieniące się półksiężycy.

Mąciły w głowie.

Dezorientowały.

Czy był to efekt dziwnych, odkształconych soczewek? Czy czegoś innego?

Właśnie wtedy Elise uwierzyła w to, co powiedziała jej Strata Luna. Nagle zyskała przeszłość, historię.

Porzucono ją. Pozbawiono ją, zostawiono na śmierć. Ale jeśli pochodziła ze świata szamanów i zaklęć, jej życie nie mogło być zwyczajne — zwyczajne w pojęciu innych ludzi. A zresztą, kto chciałby takiego życia? Zamiast normalnie, postrzegając świat w dziwny, zmysłowy sposób.

On by ją chciał. Jackson Sweet leżał na łożu śmierci, kiedy się urodziła. Gdyby nie to, uratowałby ją, zatrzymał przy sobie, wychował. Nagle poczuła, że jest tego pewna.

Ale co z Audrey? Czy powinna jej powiedzieć? Co ona sobie pomyśli? Jak zareaguje na wiadomość, że jej dziadkiem był Jackson Sweet?

W centrum tego dziwnego, pozbawionego barw świata stała Strata Luna i uśmiechała się do niej promiennie.

— Popatrz tutaj, popatrz tutaj, Jacksonie Sweet — powiedziała. Słowa skierowane były do kogoś niewidzialnego, stojącego tuż za jej ramieniem. — Nie uwierzysz, co stara Strata Luna ci dzisiaj przyniosła.

Dwie kobiety stały w ciemności, słuchając żab. W końcu Elise pożegnała się. Zdjęła okulary i ruszyła w kierunku kościoła i samochodów.

Strata Luna patrzyła za nią, ogarnięta nagłym uczuciem samotności. Samotności i strachu.

Pomyślała o złu, którego nikt tu nie prosił. I przypomniała sobie inny czas — czas, o którym starała się nie myśleć — noc, kiedy jej młodsza córka utonęła...

Strata Luna wybiegła z domu, śnieżnobiała koszula nocna łopotała wokół niej. W dół, po łupkowych schodkach, obok żywopłotów róż i magnolii. Ale jej stopy już szeptały, że jest za późno.

Nocne niebo miało kolor kobaltu; drzewa były czarnymi sylwetkami, milczącymi i nieruchomymi. To, co zobaczyła, sprawiło, że serce przestało jej bić na kilka minut.

Coś unosiło się w wodzie.

Materiał. Nocna koszula. Hebanowe włosy. Najpiękniejsze, najbardziej błyszczące, hebanowe włosy, jakie mogło mieć dziecko.

Nie! Boże, nie!

Nocne niebo odbijało się w wodzie, dziecięca ręka sięgała po księżyc i gwiazdy. Strata Luna rzuciła się do baseniku, rozbijając powierzchnię jak szkło. Złapała ciało swojej córki. Woda ciągnęła, walczyła, by zatrzymać dziecko dla siebie. Strata Luna w końcu uwolniła je i odwróciła twarzą do góry.

Nieżywa, nieżywa, nieżywa.

Niektórzy twierdzili, że ona sama zabiła tego aniołka, własnymi rękami. Że przytrzymała ją pod powierzchnią, aż jej płuca wypełniły się wodą. Czasami Strata Luna myślała, że to prawda, skoro nie była w stanie przewidzieć jej śmierci.

Ale zło jest częścią życia.

To był cień, który ją prześladował. Cień, którego się bała, powrócił.

## Rozdział 16

David Gould miał zarezerwowany bilet na poranny lot z Savannah. W godzinę dotarł do hrabstwa Suffolk w Wirginii. Stamtąd odbierze go adwokat i we dwóch pojedą na spotkanie z żoną Davida i jej prawnikiem, by podpisać papiery i sfinalizować rozwód. Jeśli wszystko pójdzie gładko, wróci do Savannah wczesnym wieczorem.

Było jeszcze ciemno, kiedy wszedł na pokład małego odrzutowca. Ludzie lecieli nim do pracy. Miał przy sobie tylko aktówkę z kopiami dokumentów rozwodowych i notatkami ze śledztwa dotyczącego TTX. Próbował sobie wmawiać, że kiedy papiery zostaną już

podpisane, będzie po wszystkim. Nie będzie musiał już nigdy myśleć o Beth.

Jasne.

Samolot wystartował dziesięć minut przed czasem.

David oparł czoło o bulaj i patrzył, jak lotnisko kurczy się pod nim, próbując opróżnić umysł. Nauczył się tej sztuczki od mężczyzny, który uczył medytacji transcendentальной. Tym razem nie podziałało. A gdyby się zastanowić, nie był pewien, czy w ogóle kiedykolwiek działało, bo teraz wiedział coś, o czym swego czasu nie miał pojęcia — był cholernie dobry w samooszukiwaniu się.

Człowiek powinien uważać przy kreowaniu własnej rzeczywistości. Bo można się w niej pogubić. Tak daleko, że trudno potem wrócić do realnego świata.

Jego zauroczenie Beth tłumaczyła jedynie swoista kombinacja młodości i hormonów. Coś takiego potrafi wypaczyć człowiekowi perspektywę bardziej niż narkotyki.

David Gould i Beth Anderson byli parą w ogólniaku. Już samo to powinno być ostrzeżeniem, bo w wieku szesnastu lat człowiek dopiero zaczyna odnajdywać własną tożsamość. Nie ma pojęcia, kim będzie ani co przyjdzie mu robić w przyszłości.

Ale wydaje mu się, że to wszystko już wie. A jeśli jeszcze w grę wchodzi seks, chłopakowi cholernie trudno jest myśleć logicznie.

Dorosły mężczyzna, jakim był teraz David, rozumiał, na czym opierał się jego związek z Beth — na czysto fizycznej fascynacji, tak płytkiej, jak to tylko możliwe.

Ale wtedy nigdy nie przyznałby się do tego. Na pierwszy rzut oka Beth była idealną kobietą, ze wszystkimi atrybutami, których mężczyzna szukał u potencjalnej partnerki.

To była biologia, chodziło wyłącznie o podtrzymanie gatunku, bez udziału logiki. Miała modelowe, pełne wargi; idealną proporcję bioder i talii. Ciemne włosy. Niebieskie oczy. Wspaniałą cerę i pełne piersi. Była taka zdrowa. Pełna życia. Jego biologiczny radar mówił, że będzie dobrą matką, która urodzi zdrowe, piękne dzieci.

I urodziła.

Chłopca. Ślicznego chłopczyka.

To była nudna, typowa historia, o niemal żenująco banalnym scenariuszu. On był na drugim roku studiów, a ona kończyła liceum, kiedy zaszła w ciążę.

Może wyczuwała, że jej się wymykał? Wiedziała, że zaczął zauważać inne dziewczyny w kampusie? Podejrzewała, że nagle wydała mu się zbyt młoda i niedojrzała? Może zauważyła, że się zmienił? Że nie interesują ich już te same rzeczy?

Czy zaszła w ciążę celowo?

Przez lata zadawał sobie wszystkie te pytania, ale wtedy kiedy oznajmiła mu nowinę, nie pytał o nic. Zrobili to, co musieli — co i tak od zawsze planowali — wzięli ślub.

Pobrali się dwa dni po rozdaniu dyplomów w liceum i Beth natychmiast dołączyła do niego na Uniwersytecie George'a Masona w Fairfax. A kiedy urodziło się dziecko, śliczny chłopczyk o jasnych włosach i niebieskich oczach, David był szczęśliwy. Ślepo szczęśliwy.

Znaki ostrzegawcze były wszędzie, ale on ich nie zauważał. Beth dbała o potrzeby Christiana, ale nie przytulała go, nie śmiała się z nim. Wydawało się, że nie lubi własnego dziecka, że wini je za małżeństwo, które nie dawało jej satysfakcji.

David zrobił dyplom z psychologii kryminalnej i wstąpił do FBI. Beth była z tego dumna. Jeszcze zanim skończył szkolenie, zaczęli rozmawiać o drugim dziecku.

Jego śliczny chłopczyk...

Czytał mu bajki na dobranoc przy lampie. Kładł do łóżka, a gdy wyciągał rączki i obejmował Davida za szyję, jego cienkie włoski pachniały świeżością i niewinnością.

Kiedy David został agentem, godziny jego pracy stały się nieprzewidywalne. Pracował do późna. Beth się nudziła. Miała głęboką depresję. Nie umiała się dogadać z żonami innych agentów, więc nie miała się komu zwierzyć.

Małżeństwo agenta FBI może się skończyć tylko na dwa sposoby. Czasami praca umacnia związek w domu, a czasami go niszczy. Małżeństwo Davida podpadało pod tę drugą kategorię.



—Już mnie nie rozśmieszasz — pożałowała się kiedyś.

— Mogę cię rozśmieszać. Będę to robił.

Ale było za późno.

Beth miała romans. A po nim następny.

David chciał, by zostali razem ze względu na syna. Bał się, że mógłby stracić Christiana, ale ona uparła się przy rozwodzie. Ze względu na jego pracę przyznano jej opiekę nad dzieckiem. Christian mógł u niego spędzać co drugi weekend, a do tego ferie lub wakacje, na zmianę.

Samolot wylądował z podskokiem, sprowadzając Davida do rzeczywistości.

Na jego spotkanie wyszedł Ira Cummings, poważny i smutny mężczyzna. Dobry człowiek.

Ira prowadził tak, jak robił wszystko inne: szybko i sprawnie. Czterdzieści pięć minut po tym, jak samolot wylądował, wjeżdżali na parking więzienia o zaostrzonym rygorze, w którym przebywały osoby skazane na śmierć w stanie Wirginia.

Spodziewano się ich, wystarczyło więc się wpisać do książki. Potem strażniczka przeprowadziła ich przez szereg skomputeryzowanych, stalowych drzwi z automatycznymi zamkami, aż do sali widzeń. Zajęła miejsce w pobliżu drzwi. Z każdego kąta obserwowały ich kamery.

Długi, prostokątny stół był przyśrubowany do podłogi, a krzesła przyczepiono łańcuchami. Po jednej stronie siedział mężczyzna w garniturze; kobieta usiadła przodem do drzwi. David potrzebował chwili, by rozpoznać w niej Beth.

Była gruba.

Jeszcze nie otyła, ale przybyło jej chyba ze dwadzieścia kilo. Ubrana w pomarańczowy kombinezon siedziała, gapiąc się w blat stołu, z włosami w strąkach zwisającymi po obu stronach twarzy.

David i jego adwokat usiedli naprzeciw niej. Powoli uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, z nienawiścią, zaczepnie. Jej usta wykrzywił złośliwy uśmiezek. Wygrała. Choć siedziała w więzieniu, to ona wygrała.

Ty suko. Ty podła suko.

Musiła czytać mu w myślach, bo uśmiechnęła się odrobinę szerzej.

Tamten weekend Christian miał spędzić razem z nim. Beth nie lubiła, kiedy David przychodził do jej mieszkania, więc zwykle spotykali się w jakimś neutralnym miejscu, na przykład w McDonalddie. W ten sposób dzieciak mógł dostać Happy Meal i wszystko wyglądało na miłą wycieczkę.

Spóźniała się. Nie było w tym nic niezwykłego. Większą niespodzianką byłoby, gdyby przyszła punktualnie.

David zamówił colę i czekał, gapiąc się przez okno na parking. Za jego plecami dzieci bawiły się i pisały w sali zabaw. Po piętnastu minutach zadzwonił do jej mieszkania. Nikt nie odebrał. Widocznie jest w drodze.

Odczekał kolejny kwadrans. I kolejny.

Wyrzucił kubek, wsiadł do samochodu i ruszył do jej mieszkania. Był duży ruch i jazda zajęła mu prawie pół godziny. Kiedy dotarł na miejsce, jej samochodu nie było na parking.

Zapukał do drzwi. Nikt nie otworzył. Przekręcił gałkę.

Otwarte.

Drzwi otworzyły się same, jakby dom na niego czekał. Serce zaczęło łomotać mu w piersi.

— Beth?

Począł na odpowiedź. Kiedy jej nie usłyszał, zawołał syna. Mieszkanie było ciche, słychać było tylko mruczenie lodówki. Omiótł spojrzeniem kuchnię i salon. Pognał na górę po schodach obitych wykładziną.

Kap, kap, kap.

Dźwięk dobiegał z łazienki.

Kap, kap, kap.

Ciekący kran.

Ruszył wąskim korytarzykiem, idąc za dźwiękiem. Drzwi łazienki były uchylone. Popchnął je powoli, wszedł do środka.

Twarzą w dół w wannie pełnej wody, z jasnymi włoskami pływającymi wokół głowy, leżał jego syn.

— Nie! Boże, nie!

David wyciągnął go z wanny, obracając w ramionach, rozchlapując wodę. Próbował reanimacji, ale było za późno. Skóra Christiana była sina. Wargi prawie czarne. Nie żył już od dawna.

David wydał krzyk bólu i przycisnął martwe dziecko do piersi, nieprzytomny z rozpaczy.

Usłyszał jakiś dźwięk i spojrział w górę. W drzwiach stała Beth, z oczami czerwonymi i spuchniętymi od łez, tuląc do siebie kotkę, Isabel.

— C—co się stało? Co się stało? — zapytał David, nieświadomie kołysząc martwego syna, niezdolny pojąć, co zaszło.

— Powiedział mi, że jeśli pozbędę się dzieciaka, to się ze mną ożeni. Głaskała kota. Tulila go. Pochylała nad nim głowę.

— C—Co? O czym ty mówisz?

— O Franklinie. Powiedział, że jeśli pozbędę się Christiana, to się ze mną ożeni. Więc to zrobiłam. Potem zadzwoniłam, żeby przyjechał po mnie, ale odmówił. Rozłączył się.

— T—ty to zrobiłaś? Ty zamordowałaś nasze dziecko?

Ton jego głosu przestraszył kotkę. Zwierzak wywinął się i uciekł.

— Nie miałam wyboru — powiedziała Beth.

Nie pamiętał następnych kilku minut. Tak straszna była jego furia.

Nie wiedział, jak wstał z podłogi i dopadł jej, ale nagle zorientował się, że trzymają za gardło, że wciska jej kciuki w tchawicę, pozbawiając powietrza tę morderczą sukę. Zabiłby ją, gdyby nie przyjechała policja. Zadzwonił do nich jej chłopak i powiedział, że jego dziewczyna chyba zamordowała swoje dziecko. Jeszcze minuta i David też siedziałby w więzieniu.

Zabicie jej byłoby tego warte.

— Nie jestem pewna, czy to podpiszę — powiedziała Beth z drugiej strony stołu.

Prawnicy spojrzeli na siebie. Jej adwokat odchrząknął.

— Daj spokój, Beth. Podpisz.

David nie musiał tu przychodzić, ale pomyślał, że jeśli załatwi to osobiście, ostatecznie wszystko zakończy. A zakończenie tej sprawy wymykało mu się od dawna.

Podpisała. Kartka po kartce. Kiedy skończyła, rzuciła pióro. Przejechało po stole i spadło na podłogę. Jej adwokat musiał po nie sięgnąć. Obejrzał je z troską.

David podpisał i było po wszystkim.

—Ty mendo! To wszystko twoja wina! — krzyknęła Beth z twarzą wykrzywioną złością i nienawiścią. —Twoja wina! Zobacz, co mi zrobiłeś! Mogłam być kimś! Mogłam być modelką. Aktorką.

Wysunęła podbródek, prezentując swoją pulchną, wściekłą twarz.

— Popatrz na mnie teraz! Popatrz na mnie!

Odwrócił się i wyszedł z sali, niosąc na ramionach nieprawdopodobny ciężar. A ona wciąż za nim wrzeszczała.

## Rozdział 17

Ktoś pukał do drzwi jego mieszkania. David wrócił z Wirginii kilka godzin wcześniej. Ledwie dotknął stopami ziemi, ruszył prosto do monopolowego i teraz był już nieźle skuty.

Nie pomogło. Może nawet pogorszyło sprawę.

Nie był w stanie zmusić mózgu, żeby się wyłączył. Wszystko wracało, w kółko i w kółko. Przebłyśki następowały jeden po drugim.

Beth. Tłusta. W pomarańczowym kombinezonie. Szczuplejsza Beth w drzwiach, z kotem na rękach.

Christian.

David czuł martwy ciężar syna w ramionach. Zaszlochął i przygryzł grzbiet dłoni, by stłumić dźwięk.

Cholera, cholera, cholera.

Już po wszystkim, próbował sobie tłumaczyć, kiwając się w przód i w tył na podłodze. Po wszystkim. Po wszystkim. Po wszystkim.

Christian. Martwy. Martwy. Martwy.

Kolejny szloch wyrwał się gdzieś z głębi jego trzewi.

Pukanie do drzwi. Martwy, martwy, martwy.

— David? — zapytał kobiecie głos. Czyj? Beth? — David, jesteś tam? To nie była Beth.

Dźwignął się z podłogi. Jak się tam znalazł? Boso poczłapał do drzwi i wyjrzał przez judasz. Ktoś z długimi, ciemnymi włosami. Kto to? Odczepił łańcuch, przekreślił zamek i otworzył drzwi.

Och. Ona. Flora.

— Cześć — powiedziała.

W korytarzu było ciemno. Za jego plecami było ciemno.

— Wybrałam się na kiermasz ASPS w Parku Forsytha — powiedziała, unosząc jakiś przedmiot w ramce. — Wybrałam to do twojego mieszkania. — Obróciła obraz.

Mnóstwo kolorów. Jaskrawych czerwieni, błękitów. Czy to kot? Lubił koty. Wirujące, splątane koty.

— Siemasz — powiedział, robiąc krok do tyłu. Pokój przechylił się i David musiał się podeprzeć o kuchenny blat. — Cholera — mruknął, zamykając oczy i opierając ciężkie czoło o chłodny laminat.

Flora zamknęła drzwi, odstawiła oprawioną reprodukcję pod ścianę, zdjęła z ramienia pasek torebki i upuściła ją na podłogę.

— Co ty ze sobą robisz?

Widziała w życiu wielu urzędników, ale mężczyzna, o którym śniła od kilku ostatnich dni, był tak pijany, jak tylko się da, zanim się urwie film.

Miał na sobie czarne spodnie, pasujące do marynarki przewieszanej przez oparcie krzesła. Obok marynarki wisiała kabura na szelkach, z pistoletem. Koszulę i krawat też zdjęł i został tylko w białej koszulce.

— O nie, nie ma mowy — powiedziała, widząc, że unosi do ust dużą butelkę. Wyrwała mu ją i spojrzała na etykietkę. — Dżin. Nic dziwnego, że pachniesz jak choinka. — Podeszła do zlewu i wylała resztę zawartości.

Zmarszczył brwi. Spojrzał na nią tak, jak potrafi patrzeć tylko pijany człowiek — przez rzęsy, z pochyloną głową.

— Czy ja się ciebie spodziewałem?

— Po prostu wpadłam przy okazji. I chyba dobrze zrobiłam, bo najwyraźniej potrzebujesz niańki.

Nie wiedziała, co się dzieje w jego życiu, ale na pewno cierpiał. Strasznie. Powinna była poprosić Stratę Lunę, żeby zrobiła mu amulet „napraw moje popieprzone życie”.

Dalej się na nią gapił. Zastanawiała się, czy w ogóle ją poznał.

— Lubię cię — powiedział w końcu.

— To miło. Jutro na pewno będziesz czuł to samo — odparła sucho. Puścił szafkę i podszedł do niej, sięgając do jej bluzki. Zaczął się szamotać z guzikami.

— Będzie ci wygodniej. Odtrąciła jego rękę.

—Nie.

— Dlaczego nie?

Zsunęła zegarek z jego nadgarstka.

—To tobie zaraz będzie wygodniej. — Rozpięła klamrę jego paska i wyjęła go ze spodni. — Chodź. — Idąc tyłem, pociągnęła go za sobą, kierując się do sypialni.

Współpracował najlepiej jak mógł. Kiedy dotarli do łóżka, padł w poprzek materaca, pociągając Florę. I natychmiast stracił przytomność. Ile mógł wypić? — zastanawiała się. Więcej niż brakowało w butelce?

Klepnęła go lekko w policzek. Żadnej reakcji. Klepnęła jeszcze raz. Nic.

Miała zamiar rozebrać go, a potem wsadzić pod prysznic. Ale wiedziała, że nic z tego.

— David! David, ocknij się. Musisz wstać. Jęknął.

— No chodź. — Pociągnęła go za rękę. — Wstawaj.

O dziwo zdołał się doprowadzić do pionu. Przerzuciwszy sobie jego rękę przez ramiona, zawlokła go do łazienki i upchnęła pod prysznic, opierając o wyłożoną kafelkami ścianę. Jakimś cudem stał na miejscu, choć oczy miał zamknięte, usta zwiotczałe.

Wszyscy na tym świecie mieli popieprzone życie. Lekarze. Księża. prostytutki i gliny. Nieważne, kim byłeś, co robiłeś, ile zarabiałeś. Życie było ciężkie.

Odkręciła kurek z zimną wodą.

Na początku David nie zareagował, kiedy lodowaty strumień lał mu się na głowę i przemoczył ubranie. W końcu zachłysnął się głośno, ze zdumieniem. Otworzył gwałtownie oczy i zamachał rękami.

—Jezu! — krzyknął. — Chcesz mnie zabić?

Była bezlitosna, nie zakręciła kranu.

— Sam doskonale sobie z tym radzisz.

## Rozdział 18

Ładniutki. — Audrey patrzyła w dal, popijając słodką herbatę przez słomkę.

— Nasz kelner? — zapytała Elise, podążając spojrzeniem za wzrokiem córki.

—Aha. Myślisz, że studiuje na ASPS?

—Większość ludzi, którzy tu pracują, uczy się tam.

Siedziały na drewnianych szkolnych krzesłach przy stoliku z marmurowym blatem, przy witrynie herbaciarni Gryphon, wychodzącej na Madison Square. Gryphon był jednym z wielu budynków zakupionych i odrestaurowanych przez ASPS — Akademię Sztuk Pięknych w Savannah. Podczas renowacji zachowano większość oryginalnego wystroju, od aptecznych szafek i kafelkowych lad, po mahoniowe ściany i szklenia odTiffany'ego.

Audrey uwielbiała ten lokal, więc Elise starała się parę razy w roku zabierać ją tu na podwieczorek.

— Idzie znowu — szepnęła Audrey, pochylając się do przodu.

Audrey była w wieku, kiedy nastroje zmieniały się jak za dotknięciem magicznej różdżki. W tej chwili była w doskonałym, niemal euforycznym humorze — tak podziałyły na nią: herbaciarnia, kofeina i kelner. Elise miała dość rozumu, by wiedzieć, że ona nie mieści się w tym równaniu.

Kelner przemknął obok z tacą dekadencjnych deserów, zamówionych przez kogoś przy innym stoliku. Elise zorientowała się, że o wiele bardziej interesuje ją zawartość tacy niż sam młody człowiek.

— Nie uważasz, że jest ładny? — zapytała Audrey, kiedy tylko znalazł się poza zasięgiem słuchu.

Zaczęła się malować. Dość konserwatywnie, gdyby nie liczyć jasnobłękitnego cienia do powiek, pasującego do jej bluzki. Naturalne loki rozdzieliła na środku i okiełznała jakimś sprzętem do prostowania włosów. Twarz wciąż była dziecięco pulchna, policzki miękkie i lekko zaokrąglone. Krótkie paznokcie starannie pomalowała srebrnym, brokatowym lakierem.

Ciekawe, czy będzie wysoka? — zastanawiała się Elise. Thomas był dość wysoki. A jej dziadek? Bo Elise coraz głębiej wierzyła w to, że Jackson Sweet był jej ojcem. Czytała, że miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Zrobiono mu niewiele zdjęć, ale Elise natknęła się kiedyś na dwie niewyraźne fotografie w Towarzystwie Historycznym. Ponury, z długą wąską twarzą. Miał na sobie okulary, które dała jej Strata Luna.

Elise sięgnęła po czajniczek.

— Chyba nie w moim typie — odparła na pytanie Audrey o kelnera. Audrey wzięła jedną z maleńkich kanapeczek z trójpoziomowej tacy. Obejrzała ją dokładnie, zdejmując wierzchnią warstwę chleba, by się upewnić, że nie ma w niej czegoś obrzydliwego. A obrzydliwe mogło być praktycznie wszystko, bo jej pojęcie obrzydliwości zmieniło się wraz z nastrojem.

— A tata był w twoim typie? — Pytanie było zadane podstępny, pozornie obojętnym tonem.

Elise nalala im herbaty i odstawiła czajniczek na tacę.

— Swego czasu, owszem. — Ale już nie.

— No... nie.

Elise wiedziała, że Audrey obwinia ją o rozwód. Może rzeczywiście to ona była winna, bardziej niż ktokolwiek mógł się domyślać. To pytanie prześladowało ją od chwili ślubu z Thomasem.



— A David Gould? Jest w twoim typie? — zapytała Audrey z chytym uśmieszkiem.

— Gould? — Elise wykrzywiła się, odrywając czerwone winogrono z kiści, leżącej na najwyższej części trójpoziomowej tacy. — David Gould?

— No, tak. Jest mniej więcej w twoim wieku, prawda?

— Chyba tak. — Wrzuciła winogrono do ust.

— I jest wolny.

— Rozwiedziony. Zdaje się, że kiedyś mi mówił. — Elise roześmiała się i pokręciła głową. — Audrey, nie mamy ze sobą nic wspólnego.

— Oboje jesteście glinami. Detektywami. Mówiłaś mi kiedyś, że jednym z powodów twojego zerwania z tatą było to, że za bardzo się różniliście. Więc potrzebujesz faceta o podobnym stylu życia.

Elise uważała, że raczej nie powinna wspominać, iż jej partner ma problemy z piciem i poza pracą ich życie w ogóle nie było podobne. Ale wiedziała, jakim torem mogą podążać dziewczęce myśli, i nie chciała, by Audrey zaczęła myśleć, że ona i Gould kiedykolwiek mogliby być parą. W tym momencie ledwie można ich było nazwać partnerami.

— Nic z tego — powiedziała. — Więc wybij to sobie z głowy.

— Ale wyszłaś za Tate, bo myślałaś, że tak świetnie do siebie pasujecie. Potem się przekonałaś, że wcale nie. Może powinnaś poszukać kogoś, kto się dla ciebie nie nadaje. Może wtedy coś z tego będzie.

Logika nastolatki.

— Nie każda kobieta potrzebuje mężczyzny — odparła Elise. Witrinę minął dwuosobowy patrol aniołów stróżów, ubranych w czerwone berety i kamizelki.

— Ile trzeba mieć lat, żeby zostać aniołem stróżem? — zapytała Audrey.

— Szesnaście — powiedziała Elise. — Czyżbyś miała na to ochotę? Audrey nagle się zmieszała. Zawstydziła się, jakby jej własna ciekawość złapała ją w pułapkę.

— W życiu — oznajmiła, wracając do tonu wkurzonej, znudzonej nastolatki. — Niby dlaczego miałabym tego chcieć? — Przecież nie mogłaby okazać zainteresowania zajęciem, które choćby odrobinę przypominało pracę matki.

Elise zabrała Audrey do herbaciarni w nadziei, że uda jej się porozmawiać z nią o dziadku, ale nagle chwila wydała jej się nieodpowiednia. Skoro Audrey była w dobrym humorze, lepiej było nie ryzykować, że ściągnie się ją w dół. Po co psuć popołudnie?

Skończyły podwieczorek. Elise zapłaciła i zostawiła kelnerowi spory napiwek. Poszły pieszo Buli Street, przez Madison Square i Chippewa Square, w kierunku komendy, skąd Thomas miał odebrać córkę.

Było idealnie. Nie za gorąco, nie za wilgotno. Biały, konny powóz minął je leniwie. Wielkie kopyta klaskały powoli, rytmicznie o ceglana jezdnię. Kwitły azalie i przez kilka krótkich chwil Elise niemal mogła uwierzyć, że wszystko w ich życiu będzie lepsze.

Rozglądały się, by przejść przez ulicę, kiedy Audrey zatrzymała się nagle jak wryta.

— Patrz!

Zza rogu wyjechał czarny samochód. Szyby z tyłu miał przyciemnione, by nikt nie mógł zajrzeć do środka. Za kierownicą siedział Enrique.

— Strata Luna — szepnęła Audrey z trwogą i podziwem, z otwartymi ustami wlepiając oczy w długi pojazd. — Podobno zabiła swoje córki. Jedną utopiła, a drugą udusiła. Aż mi ciarki chodzą po plecach.

Z łokciami przyciśniętymi do boków zatrzepotała rękami, jakby chciała odfrunąć.

— Bo—ziu — zachłysnęła się. — Jedzie w tę stronę! — Zaczęła skubać i ciągnąć rękaw Elise. — Szybko! Uciekamy!

Samochód zatrzymał się i ciemna, elektrycznie sterowana szyba zjechała w dół. W półmroku tylnego siedzenia Elise dostrzegła niewyraźne kształty kapelusza i woalki.

— Elise. — Melodyjny głos Straty Luny dobiegł z ciemnego wnętrza. — Czy to córka, o której mi mówiłaś?

Audrey zeszytniała. Elise wyczuła jej zdumienie, może nawet dezaprobatę.

Elise przedstawiła swoją naiwną, niewinną córkę kobiecie, która jadła serce własnej matki i prowadziła burdel. Piękne zakończenie rodzinnego spaceru.

Wyjątkowo niezręczna sytuacja. Nie było dobrego rozwiązania. Jeśli Audrey postanowi nie mówić o tym spotkaniu tacie, zatai prawdę. Jeśli zechce mu powiedzieć, Thomas się zdenerwuje.

— Czy jesteś uczona, dziecko? — Strata Luna nie odsłoniła twarzy. Z jakichś powodów wołała chować się za czarną woalką.

— U—uczona?

— Czy twoja matka czegoś cię nauczyła? Czy przekazała ci swoją szamańską wiedzę?

— N—nie.

— Elise, to twoja powinność przekazać moc — powiedziała Strata Luna.

Audrey zerknęła na matkę.

— Nic nie szkodzi. Ja nie chcę nic wiedzieć o tych szamańskich sprawach.

—Więc co robisz, dziecko? Czym zajmujesz umysł i ciało?

— Gram w softball.

—Jesteś dobra?

— Niezła.

—Wygrywasz?

— Czasami.

— Zrobię amulet, żebyś zawsze wygrywała. Coś, co będziesz mogła nosić na szyi.

—Audrey nie potrzebuje amuletu — oznajmiła stanowczo Elise, myśląc jednocześnie o mieszku z ziołami, który sama dostała. W tej chwili miała go w torebce. — Jest świetną zawodniczką.

— Moje uszy słyszą, co do mnie mówisz — odparła Strata Luna. W jej głosie pobrzmiwał przebiegły uśmiech. — Każda mama wie, co jest najlepsze dla jej córki. — Uniosła dłoń obleczoną w rękawiczkę i wykonała gest, jakby przesyłała całusa. Elektryczna szyba zamknęła się cicho, ukazując Elise i Audrey ich własne odbicia.

I kiedy na nie patrzyły, samochód powoli odjechał.

U boku Elise, wciąż uczepiona kurczowo jej ręki, Audrey szepnęła:

— Słodki kocie...

## Rozdział 19

Grób Gary'ego Turello oznaczono tanią żelazną tabliczką. Taką, na której nie ma nic poza kawałkiem papieru, wsuniętym pod przezrzysty plastik. Rodzina wydała zgodę na ekshumację, pod warunkiem że nie będą musieli ponosić żadnych kosztów, w tym również kosztu ponownego pogrzebu. Elise cieszyła się, że nie chcieli wziąć udziału w całej imprezie.

— Miał siedemnaście lat — powiedziała do Goulda, który stał obok niej w koszuli z krótkimi rękawami, z rozluźnionym krawatem.

— Dzieciak — przytaknął.

Elise przeprowadziła niewielkie dochodzenie i dowiedziała się, że Turello uciekł z domu. I tak jak wielu innych uciekinierów, splukanych, wystraszonych i bezdomnych, zajął się prostytutką. Prawdopodobnie wydawało mu się to najprostszym wyjściem.

Ekshumacja odbywała się po południu. Dzień był pochmurny, pozbawiony cieni, gorący i wilgotny. Temperatura przekraczała trzydzieści stopni, powietrze było tak ciężkie i mokre, że nawet kostium Elise stracił fason. W powietrzu wisiał zapach magnolii. Pszczoły brzęczały między grobami udekorowanymi wędnącymi kwiatami. Cyfrowe kamery w milczeniu rejestrowały wydarzenie.

Cmentarz Laurel Grove poprzecinany był szerokimi alejami dla powozów. W czasach, kiedy przedwczesna śmierć była częścią życia, krewnym dawało pociechę nieustanne obcowanie ze zmarłymi, więc mauzolea miały ganki, na których mogli sobie posiedzieć ludzie przychodzący z wizytą.

Policja starała się zadbać o to, by ekshumacja nie stała się pożywką dla mediów, ale — jak to bywało z wszelkimi fascynującymi sprawami — ludzie szeptem przekazywali sobie sekrety. Całej sprawy nie dało się utrzymać w tajemnicy i na miejscu pojawiły się ekipy reporterów nawet z dalekiej Atlanty.

Wcześniej tego dnia przyjechała Cassandra Vince, naczelną lekarz sądowy ze Stanowej Centrali FBI w Decatur. Casper odebrał ją z lotni-

ska i teraz stał u jej boku. Przybył też Abe Chilton, szef ekipy dochodzeniowej, ze swoimi ludźmi.

Koparka była hałaśliwa i omal ich nie rozjechała, ustawiając się z łyżką nad grobem. Kiedy wszyscy się odsunęli, Elise usłyszała zawrodożenie hydraulicznych podnośników. Łycha odgięła się, zatrzymała z drzeniem, po czym ruszyła w dół w szarpanym, niezgrabnym tańcu, aż jej zęby dotknęły ziemi i zaczęły zdzierać darń.

Ziemia w Georgii miała charakterystyczny zapach. Ostra woń gliny i torfu, z domieszką gnijącego drewna i zastalej wody.

Kiedy Elise była mała, podwędziła z biblioteki książkę pod tytułem *Opowieści zza grobu*. Był w niej rysunek trupa torującego sobie pąznokciami drogę z trumny na powierzchnię ziemi. Nie była to najmilsza bajka do poduszki.

— Stop! — Dowodzący operacją mężczyzna zamachał rękami, dając znaki kierowcy koparki.

Pozostawiając zewnętrzną ochronną skrzynię w ziemi, zerwali plombę. Lepki, mazisty osad ściekł z wieka, kiedy je otwarto. Potrzeba było kolejnego ciężkiego sprzętu, by dźwignąć trumnę ze skrzyni.

Elise pomagała Thomasowi wybierać trumnę dla jego ojca. Pracownik zakładu pogrzebowego opowiadał o różnych modelach, jakby to były samochody. Elise i Thomas spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Absolutnie nie na miejscu, ale histeryczny śmiech często pojawiał się w momentach silnych emocji. Thomas wciąż o tym opowiadał. „Pamiętasz, jak pękaliśmy ze śmiechu w zakładzie pogrzebowym?” — mawiał czasem.

Abe Chilton wyszedł z tłumu i zbliżył się do trumny, by zabezpieczyć ją policyjnymi plombami na styku wieka i dolnej części. Dwóch asystentów dokumentowało cały proces — od pierwszej grudy ziemi wyrwanej przez koparkę po ostatnią plombę — za pomocą kamery 35—milimetrowej.

Załadowano trumnę na pakę pikapa i zabezpieczono ją łańcuchami.

— Koniec przedstawienia — powiedział Gould z rękami w kieszeniach spodni.

Na ich spotkanie wyszła grupa medialnych sępów, z szumem kamer, z pstrykaniem migawek. Reporter z „Porannych Wieści z Savannah” wyskoczył przed nich, zrobił im zdjęcie i zapytał o nazwiska.

Elise, w przeciwieństwie do wielu policjantów, nie miała awersji do dziennikarzy. Czuli, że media i policja mogą żyć w zdrowej symbiozie. Zatrzymała się i przedstawiła reporterom siebie i Goulda. Ale kiedy pytania zaczęły dotyczyć ciała i ekshumacji, uniosła ręce.

—W komendzie głównej zostanie zwołana konferencja prasowa. Jej termin będzie ogłoszony dzisiaj, w późniejszych godzinach.

Swoim wyblakłym, żółtym saabem przejechała ostrożnie wśród tłumu. Gould siedział na miejscu pasażera. Klimatyzacja nastawiona była na maksimum. Firanki hiszpańskiego mchu ciągnęły się po przedniej szybie.

Pojechała drogą 516 do obwodnicy Southwest, by uniknąć świateł i korka na Abercorn. Trasa była dłuższa, ale mniej stresująca i obeszło się bez sterczenia w korkach. Po piętnastu minutach skręciła na mały parking bezpośrednio przed fasadą nowego, parterowego budynku. Razem z Gouldem weszli do kostnicy.

Elise widziała już dwie autopsje ekshumowanych ciał. W pierwszym przypadku było to dziecko, które zmarło nagle. W drugim — chodziło o sprawę, kiedy trzeci mąż pewnej kobiety zatrął się trutką na szczury. To doprowadziło do ekshumacji dwóch poprzednich mężów. W ich tkankach również znaleziono ślady trucizny.

Sala była pełna ludzi.

Stał tam Abe Chilton ze swoją ekipą. Autopsję prowadziła doktor Cassandra Vince, naczelny lekarz sądowy, w asyście Johna Caspera i jego współpracowników. Dwóch asystentów siedziało na drabinkach z kamerami wideo, by móc sfilmować pod najlepszym kątem chwilę otwarcia trumny. Było nawet kilku stażystów, którzy mieli nadzieję się czegoś nauczyć albo po prostu szukali rozrywki.

Wszyscy byli ubrani w jednorazowe żółte fartuchy.

— Nigdy nie wiadomo, co się znajdzie, kiedy otwiera się taką trumnę — powiedział do zgromadzonych John Casper. — Czasami ciało jest tak świeże jak w dniu złożenia do ziemi. Czasami jest zmumifikowane.

Wszystko zależy od domu pogrzebowego i użytego płynu do balsamowania. Wziął głęboki oddech.

— No to zaczynamy. Poznajmy pana Turello.

Przeciął rządek papierowych plomb i otworzył kolejno obie części wieka.

Zaczęły pstrykać aparaty, błyskać flesze.

Zrnarli był w dość przywoitym stanie, uznała Elise. Tylko w kilku miejscach na twarzy skóra się zapadła i pociemniała.

Gary Turello był ubrany w czarne spodnie z błyszczącej skóry i czarną koszulkę z logo Ramones. Na nadgarstkach miał nabijane ćwiekami, skórzane opaski, a na wytatuowanych palcach mnóstwo pierścionków. Obok niego w trumnie leżała paczka papierosów bez filtra, zapalniczka Zippo, czerwony odtwarzacz CD i sporo płyt. Włosy miał tak mocno nasmarowane żelem — czy klejem — że wciąż sterczały najeżone wokół nieco skurczonej twarzy.

Abe Chilton i jego ekipa dochodzeniowa podeszli, by wyjąć i zapakować w woreczki, co się dało.

— Aż szkoda go ruszać — powiedziała półgłosem Elise. Cichy potakujący pomruk zawtórował jej słowom.

— Czy to jest to, co myślę? — Gould wskazał coś palcem. Wciśnięta między ciało a satynową wyściółkę trumny leżała mała, szklana rureczka. Jeden z techników szczypcami wyjął przedmiot i uniósł do góry.

— Fifka na jedną działkę. — Obejrzał ją dokładnie. — Zawartość: jedna działka.

Przez tłumek przeleciał chichot.

— Widocznie pogrzeb odbywał się przy otwartej trumnie — stwierdziła kwaśno Elise.

— Małe co nieco na drogę.

Młody technik schował fifkę z marihuaną do woreczka. Inny spisywał listę przedmiotów na kartce. Dalej poszły kompakty.

— Zdejmiemy z tego wszystkiego odciski palców — powiedział Chilton.

— Czy ktoś oprócz mnie zauważył coś niezwykłego w tych płytach?  
— zapytał Casper.

Technik odczytywał nazwy zespołów, chowając kompakty do worków.

— INXS. Joy Division. Gin Blossoms. Better Than Ezra. Ministry.

— Co pan ma na myśli? — zapytała Elise.

— To wszystko grupy, w których jeden z członków popełnił samobójstwo — wyjaśnił Casper.

— Rany. Ma pan rację — stwierdził technik.

Elise spojrzała na Goulda. Dostrzegła w jego oczach własne pytanie. Czy te płyty miały być żartem jakiegoś przyjaciela? Czy może zabójca Turello brał udział w pogrzebie?

W sali było zbyt wielu ludzi. Nie byłoby mądrze rozmawiać przy nich o śledztwie.

Musimy o tym pogadać, chciała mu powiedzieć Elise.

Uniósł brwi, jakby odpowiadając: później.

Casper i technik wciąż paplali.

—Ale zaraz, czy nie podejrzewano, że Michael Hutchence umarł w wyniku autoerotycznego podduszenia? — zapytał technik.

— Zdaje się, że ostatecznie uznano to za samobójstwo — odparł Casper. — Jest pan pewien? — Technik postukał się palcem w podbródek i w końcu wycelował go w Caspera, przekrzywiając głowę. — Może pan myśli o tym gościu z Max Under the Stars. Jak on się nazywał? — Jerome cośtam.

— Tak. On też się powiesił.

— No i mamy tych wszystkich, którzy umarli od przedawkowania narkotyków. Niektórzy z nich muszą być samobójcami.

— A pomyślcie o tych, którzy po prostu zniknęli. Casper pokiwał głową.

— Samobójcy.

— Kreatywność jest matką niestabilności. Czy odwrotnie?

— Chłopcy, chłopcy — powiedziała doktor Vince z rozbawieniem.

— Czy będzie to bardzo niegrzeczne z mojej strony, jeśli poproszę was, byśmy porzucili rockowe płoteczki i wrócili do autopsji?



Twarz Caspera poczerwieniała.

—Tak, jasne. Przepraszam. — Zmieszany powiódł wzrokiem po sali.

Kiedy wszystkie możliwe dowody zostały zabezpieczone, asystenci rzucili się jeden przez drugiego, by przenieść ciało z trumny na stalowy stół sekcyjny.

Podczas zwykłej autopsji każda część ubrania była oznaczana numerkiem i katalogowana, ale to nie była zwykła autopsja. John Casper i dwaj asystenci zaczęli zdejmować ubranie. Najpierw poszły trampki z czerwonymi sznurówkami.

W sali panowała cisza, słychać było tylko tykanie dużego, przemysłowego zegara na ścianie i szum wyciągu.

Ludzkie ciało jest tak przerażająco kruche, pomyślała Elise.

Doktor Vince rozciąła nogawki. Nożyczki były ostre i z łatwością radziły sobie ze skórą. Spodnie opadły na boki.

— Nie ma bielizny? — zdziwił się Casper. — Co jest z tym domem pogrzebowym?

Koszulka poszła w ślady spodni, odsłaniając zamknięte klamrami sekcyjne cięcie w kształcie litery Y na zapadniętej piersi.

Elise dostrzegła w tym ciele jego prawdziwą naturę. Było naczyniem, które kiedyś mieściło w sobie ducha Gary'ego Turello.

Autopsja nie mogła być tak rzetelna jak pierwotna, ale również przebiegła według sztywnej procedury, której doktor Vince trzymała się tak szczegółowo, jak się dało.

Zrobili serię zdjęć rentgenowskich, które zostały wysłane do ciemni. Potem doktor Vince zaczęła zewnętrzne oględziny.

—Jeśli chodzi o fizyczne dowody — powiedziała — będzie prawie niemożliwe znaleźć cokolwiek w tak zabalsamowanym ciele. A już na pewno nic, co można by przedstawić przed sądem.

Tak jak podczas pierwszej sekcji, wyjęto organy z jamy brzusznej i zważono je. Pobrano próbki. Wątroba, organ najważniejszy jeśli mieli znaleźć jakiegokolwiek toksyny, skurczyła się do zaledwie połowy swojej normalnej wielkości.

Dwie godziny później było po wszystkim.

— Kiedy możemy się spodziewać wyników? — zapytała Elise.

— To zależy od wielu rzeczy — odparła doktor Vince. — Zaczniemy od tańszych i szybszych analiz jak test radioimmunologiczny i odczyn immunoenzymatyczny. Jeśli te niczego nie wykażą, będziemy musieli wyciągnąć ciężką i drogą artylerię: spektrometrię masową i chromatografię gazową. Te mogą zająć trochę więcej czasu.

— Jak długo?

— Tydzień. Może dwa. Przykro mi, ale musimy się trzymać pewnych procedur.

Elise i Gould podziękowali jej i wyszli z sali autopsyjnej.

— Wiem, jak ci zależy na tych wynikach — powiedział Gould, kiedy znaleźli się sami w przyległym do sali magazynie — ale i tak jestem pod wrażeniem, że tak szybko udało nam się wykopać tego gościa i ściągnąć do kostnicy.

Elise rozwiązała pasek i wrzuciła fartuch do pojemnika na odpady.

— Jeśli Turello jest ofiarą, to nasz morderca działa o wiele dłużej, niż nam się wydawało. I da nam to też sporo nowych tropów do sprawy. Co myślisz o tych kompaktach? Jakie mają znaczenie?

— Za daleko się zapędzasz. Nie mamy pojęcia, czy ten chłopak jest powiązany z ostatnimi zbrodniami.

— Ale jeśli jest? Jeśli te płyty zostawił morderca?

— W takim razie mogą być usprawiedliwieniem zabójstwa. Ktoś mógł rozumować, że prostytuujący się człowiek sam siebie zabija. Popelnia powolne samobójstwo. A nasz morderca tylko mu w tym pomógł.

— To może być też obsesja na punkcie śmierci.

Spojrzała przez szybę na ciało, wciąż leżące na stole. Dwóch pracowników komunalnego domu pogrzebowego podpisywało dokumenty.

— Rodzina chce urządzić uroczystość pogrzebową — powiedziała.

— A potem pochowają go z powrotem.

Gould zwinął swój fartuch i wrzucił go do kosza. — To wszystko jest smutne.

— No nie wiem — odparła Elise. — Wiele lat temu u Gullah chowanie bliskich dwa razy nie było wcale takie dziwne.

— Drugi pogrzeb? Nie kumam.

— Ciało rozkładało się tak szybko w upale, że chowali zmarłego, a potem wykopywali go rok czy dwa lata później, w bardziej dogodnym momencie, kiedy mogli się zgromadzić wszyscy krewni i przyjaciele.

—Aha — powiedział Gould z przesadną satysfakcją. — Po prostu jeszcze jeden uroczy lokalny zwyczaj.

## Rozdział 20

Słyszałem, że nie balsamuje się zmarłych i urzęduje trzydniowe czuwania — powiedział Gould, idąc u boku Elise w kierunku sali konferencyjnej.

Ekshumacja odbyła się wczoraj i major Hoffman zwołała naradę na poczekaniu. Elise była podejrzliwa, bo na razie tak naprawdę nic się nie zmieniło. Z wyjątkiem niepowiązanej z niczym śmierci Har—risona, wciąż mieli do czynienia z jedną męską prostytutką, może dwiema, i niedostateczną liczbą dowodów. A policja wciąż miała braki finansowe i kadrowe.

Uciekła im winda. Byli już spóźnieni, Elise ruszyła więc w stronę schodów.

— Domy pogrzebowe narzekają na smród i potencjalne zagrożenie epidemią.

— Kiedy ja umrę — powiedział Gould, truchtając za nią po schodach — przypilnuj, żeby pochowali mnie z dzwonkiem.

—A nie z komórka? — zdziwiła się Elise. —Właśnie widziałam reklamę operatora, twierdzącego, że zapewnia idealny odbiór dwa metry pod ziemią.

— Komórki są zawodne. Musimy wrócić do korzeni. Ja chcę jedną z tych rzeczy sprzedawanych w czasach, kiedy definicja śmierci była jeszcze bardziej mętna niż teraz. Chyba powinniśmy pomyśleć o zmianie branży — zażartował. — Podobne gadżety będą teraz na topie. Nie nadążylibyśmy z produkcją. Jak by je można nazwać? Zaraz...

Pośmiertne dzwonki. Trumienne dzwonki. To mi się podoba. Albo: ostatni dzwonek. Co o tym myślisz?

— A slogan reklamowy mógłby brzmieć: „Dla każdego, komu bije dzwon”.

Wyglępiali się. Gould zatrzymał się przy wyjściu przeciwpożarowym i uśmiechnął się do niej promiennie, jakby dostał od niej upragniony prezent.

— Dokładnie.

W sali konferencyjnej Elise zobaczyła dwóch agentów ze Stanowej Centrali FBI, Abe'a Chiltona, kobietę z laboratorium kryminalistycznego, a także miejscowego przedstawiciela FBI i rzeczniczkę prasową. Starsky i Hutch — czyli Mason i Avery — też tam byli. Ale większość sali zajmowali mundurowi funkcjonariusze, którzy mieli zostać wprowadzeni w sprawę TTX.

Narada właśnie się zaczynała, więc Elise i David zajęli dwa puste krzesła koło drzwi.

— Tak jak ja to rozumiem — zwróciła się do zebranych major Hoffman — zatrucie TTX przypomina wetknięcie złego klucza do dziurki. Blokuję ją, więc nic nie może się przedostać. A ponieważ TTX nie jest w stanie przeniknąć z krwi do mózgu, ofiara pozostaje świadoma, choć cały obwodowy system nerwowy jest wyłączony.

— To brzmi jak science fiction — stwierdził detektyw Mason.

— Upraszczając, TTX to po prostu trucizna, która wprowadza ludzi w stan zawieszenia funkcji życiowych — ciągnęła major Hoffman.

— Imituje śmierć. Szanowani lekarze dali się nabrać i uwierzyli, że ofiary nie żyją.

Jakiś posterunkowy zapytał o objawy. Ktoś inny chciał wiedzieć, co można zrobić, by się ochronić.

— Najważniejszą sprawą jest czujność — odparła major Hoffman.

— Po ostatnich cięciach budżetowych brakuje nam ludzi. A to znaczy, że potrzebujemy zaangażowania obywateli. Mieszkańcy Savannah muszą być naszymi oczami i uszami. Jeśli ktoś zauważy cokolwiek podejrzanego, choćby w najmniejszym stopniu niezwykłego, niech zawiadamia policję. To samo dotyczy funkcjonariuszy. Kiedy jesteście

na patrolu, bądźcie czujni. Miejcie oczy otwarte. Ufajcie instynktowi i sprawdzajcie wszystko, co wydaje się podejrzane.

— Czy to prawda, że to świństwo jest używane do zamieniania ludzi w zombi? — zapytał Avery.

— Właśnie takie komentarze chciałabym ukrócić — powiedziała surowo major Hoffman. — Z tego, co wiem, to TTX oraz inne, mniej toksyczne trucizny mogą być używane właśnie do tego. Warto pamiętać, że na Haiti przemiana w zombi jest często stosowana jako kara dla przestępców. Możliwe, że ktoś tu wykonuje wyroki za czyny, które uważa za przestępstwa, czy to przeciwko sobie, czy przeciwko innym.

Major Hoffman wytoczyła wózek ze sprzętem audio—wideo. Włożyła kasetę do magnetowidu, wzięła pilot i włączyła telewizor.

Gould pożyczył długopis Elise i zapisał coś w notesiku.

— Właśnie odwiedził mnie burmistrz — powiedziała Hoffman. — Jest ogromnie zaniepokojony tą historią z TTX i zostawił coś, co chcę wam wszystkim pokazać.

Było powszechnie wiadome, że burmistrz Savannah nigdy nie skomentował kwestii przestępczości w mieście, z wyjątkiem stwierdzenia, że Savannah nie jest gorsze niż jakiegokolwiek inne miasto podobnej wielkości. Ale teraz, w obliczu zbliżających się wyborów widocznie uznał, że pora okazać troskę.

Taśma poszła w ruch.

Zła jakość. Nagranie wykonano kiepską kamerą, w komercyjnym studiu z byłym jakim sprzętem.

Ehse i David jęknęli chórem, kiedy rozpoznali twarz na ekranie. Harvey Ostertag.

*Show Ostertaga* był kręcony w Atlancie. Mały budżet. Jedna kamera. Koszmarne oświetlenie. Gówniane mikrofony, nagrywające przytłumione głosy. Całość była jednocześnie tak żenująca i fascynująca, jak tylko potrafi być kiepski program telewizyjny.

— Jak obiecałem — oznajmił Ostertag — są tu dzisiaj Katie Johnson, Twila Jackson i Mercury Hernandez, które przyjechały do nas aż z Savannah.

Dziewczynki ustawiły się na pozycjach. Dwie zaczęły kręcić grubą, ciężką liną, a trzecia zaczęła przez nią skakać. Wszystkie trzy zaśpiewały chórem:

*Nakreśl koło na podłodze,*

*zakłęcie wypowiedz.*

*Miasto śpi, burmistrz zły,*

*zdechniesz wnet i ty.*

Aha. Nic dziwnego, że burmistrz tak nagle zainteresował się sprawą TTX, pomyślała Elise. Kamera zrobiła najazd na gospodarza programu. — Tajemnicze rymowanki, takie jak ta, którą właśnie usłyszeliście, pojawiają się w całym Savannah — powiedział Ostertag. — Niektórzy porównują je do dziecięcych wyliczanek. Ale inni twierdzą, że metrum tych wierszyków jest uderzająco podobne do metrum stosowanego w zaklęciach. W czarnej magii. Jedna z teorii twierdzi, że skandując raz po raz te zaklęcia, dzieci nieświadomie sprowadzają siły zła na niczego nie podejrzewające miasto. Major Hoffman wyłączyła magnetowid.

— Urocze, prawda? Jesteśmy przyzwyczajeni do wykpiwania przez media — stwierdziła — ale myślę, że drwina w *Show Ostartaga* przekroczyła granicę dobrego smaku.

Elise przyciągnęła notes Goulda i przeczytała pytanie, które zapisał wcześniej: *Czy będziemy oglądać pornosa?* Gould wydarł kartkę i zmiął ją, robiąc przy tym mnóstwo hałasu.

— Detektywie Gould — odezwał się major Hoffman. — Jako że nie-  
zbyt się pan udzielał na naszym spotkaniu, może zechce się pan podzielić swoimi odczuciami na temat tej sprawy.

Chryste. Nagle znów znalazł się w trzeciej klasie. Czy chcesz się czymś podzielić z kolegami, David?

Przez salę przeleciał chichot. Kilka osób obróciło się i posłało mu zadowolone uśmieшки. Starsky i Hutch szczerzyli zęby ze złośliwą satysfakcją.

To miejsce samo w sobie jest jak podłe, małe miasteczko, pomyślał David. Połowa osób w sali śliniła się na myśl o jego wpadce.

— Tak się składa, że mam trochę doświadczenia w tworzeniu profilu sprawcy — powiedział spokojnie.

Hutch parsknął. Major Hoflman spojrzała w jego kierunku, udał więc, że złapał go kaszel.

— Chciałabym usłyszeć, co detektyw Gould ma do powiedzenia. Na czas tej dyskusji załóżmy, że te zgony są wynikiem morderstw dokonanych przez jedną osobę.

David nie był zachwycony, że znalazł się w świade jupiterów. Z drugiej strony jednak znał się na swojej specjalności i nie bał się burzy mózgow i teoretyzowania.

— Na początek — powiedział, pochylając się do przodu na krześle — morderca jest egocentrykiem.

Starsky i Hutch spojrzeli na niego z rozdrażnieniem. David był pewien, że gdyby nie było tu tylu wyższych rangą, na pewno rzuciliby jakąś złośliwą uwagę w stylu: „Powiedz nam coś, czego nie wiemy”.

— Postrzega siebie niemal jako marionetkarza, kogoś, kto kontroluje przedstawienie — ciągnął David. — Wielu ludzi zabija z nienawiści do samych siebie i braku pewności. Ten ktoś zabija, bo uważa, że to jego prawo. Prawdopodobnie nawet nie uważa ofiar za ludzi.

— Czy może to robić dla zabawy? — zastanowiła się głośno Elise.

— Po prostu z nudy? No bo dlaczego nie zabija ich od razu? Nie rozumiem.

— Niektórzy czerpią przyjemność seksualną z tortur — podsunął ktoś.

— Ale gdzie przyjemność jeśli oni są w śpiączce? — zapytała Elise.

— Czy nie brałyby się raczej ze słuchania ich krzyków? Z oglądania cierpienia na ich twarzach? Ci ludzie nie mogą reagować w żaden sposób.

— On się podnieca właśnie ich niezdolnością do reakcji — powiedział David.

— To może być kluczem — rzuciła zamyślona Elise. — Być może doświadczył jakiegoś traumatycznego przeżycia i nie mógł się bronić.

— Jej spojrzenie nabierało ostrości w miarę kształtowania się idei. — Być może za sprawą jakiejś dorosłej osoby. — Pochyliła się do przodu.

— Pomyślcie, jak młodsze rodzeństwo dziedziczy po starszym różne okrutne dziecięce żarty.

— To coś więcej niż dziecięce złośliwości — wytknęła jej major Hoffinan.

— Oczywiście, ale zasada jest taka sama — powiedział David. — Stojąca za tym logika, czy też jej brak, jest taka sama. Przekazuje się grzech, który u każdego kolejnego spadkobiercy rośnie w siłę.

Jego komentarz skwitowało długie, ogólne milczenie.

— To się trzyma kupy — stwierdziła w końcu Elise.

— Jak myślisz, ile ma lat? Jakiej jest rasy? Czym się zajmuje? — Te pytania padły z ust Starsky'ego.

— Nie jestem pewny co do rasy, ale czuję, że jest bardzo inteligentny i dość dobrze wykształcony, choć mógł przerwać edukację tuż przed uzyskaniem dyplomu. Niewykluczone że odnosi sukcesy w swoim fachu. Wiek gdzieś między dwadzieścia a trzydzieści pięć lat. Prawdopodobnie od dawna kumulował w sobie nienawiść do rodzaju ludzkiego, być może od dzieciństwa.

— Nienawiść plus rozdęte ego to niebezpieczna kombinacja — stwierdziła Elise.

— Bardzo dziękujemy, detektywie Gould ~ powiedziała major Hoffman z łaskawym uśmiechem. — Moja babcia stwierdziłaby, że chował pan swoje zdolności pod korcem.

David poczuł ogromną satysfakcję z jej pochwały, wyrażonej w obecności Starsky'ego i Hutch'a.

— Chcę jak najszybciej widzieć kopię pańskiego profilu na swoim biurku — dodała pani major.

Co oznaczało, że będzie musiał go napisać. David nie cierpiał raportów. Nie cierpiał pisać.

— Detektywi Avery i Mason. — Starsky i Hutch spojrzeli na panią major.

— Przydzielam was dorywczo do sprawy TTX. Udzielicie wsparcia Sandburg i Gouldowi w takiej formie, jaką oni uznają za stosowną.

David spozjrzał na Elise z konsternacją. Starsky i Hutch zrobili to samo. Kurczę blade. Jedna wielka, szczęśliwa patologiczna rodzina.



## Rozdział 21

To duch nekromantów! — krzyczał z kazalnicy telewizyjny kaznodzieja. — Zawisł nad miastem Savannah! Duch, który modli się do zmarłych! Czci ich dusze! Klątwy wudu, rzucane przez sługi diabła! Tworzą ludzi bez myśli, których serca nie biją, którzy nie oddychają powietrzem, a jednak są żywi!

Na dole ekranu pojawił się napis: BRAT SAMUEL Z KOŚCIOŁA SAMUELA. Było późno, prawie północ, ale Elise nie przestawała myśleć o teoriach, które zostały sformułowane tego popołudnia na komendzie.

**—Klątwa, rzucona na nasze piękne miasto! — krzyczał wciąż mężczyzna w telewizji. — Musimy się modlić! Dzieci diabła. To demon, którego wpuściliśmy do naszych domów! Bo odrzuciliśmy wiarę! Powiadam wam, wystąpcie i błagajcie o wybaczenie, wypowiedzcie wojnę diabłu. Wypowiedzcie wojnę nekromantom!**

Kolejny komunikat na dole ekranu — numer konta, na które ludzie mogą przesyłać datki.

Elise wyłączyła telewizor, podniosła bezprzewodową słuchawkę telefonu i zadzwoniła do Davida.

Odebrał po pierwszym sygnale, zupełnie przytomny.

— Co wiesz o nekrofilii? — zapytała.

— Nekrofilia. Ładna nazwa dla naprawdę zбочzonego zбочzenia.

— Ciągłe zadaję sobie pytanie, po co zabójca miałby zatruwać kogoś tetrodotoksyną?

— Myślisz, że może być nekrofilem? Interesująca teoria. Ale nekrofilów podniecają trupy, nie zombi.

—Tyle że martwe ciało bardzo szybko zaczyna wycinać paskudne numery, szczególnie w tak gorącym, wilgotnym klimacie jak w Savannah — odparła.

—Więc on symuluje śmierć. A potem wykorzystuje ciało, dopóki ofiara naprawdę nie umrze.

—Wtedy się go pozbywa.

— Przyjemniaczek.

— Myślę, że powinniśmy sprawdzić miejscowe domy pogrzebowe i cmentarze. I kostnicę. Zdobyć listy pracowników. I sprawdzić, czy któryś z nich kiedykolwiek przejawiał szczególną słabość do zmarłych.

— Czytasz mi w myślach.

Oświetlone latarką karaluchy uciekały w mrok jak gigantyczna, czarna fala. Były ich miliony, upchane w każdą szczelinę i dziurę. Ściany tunelu o zaokrąglonym sklepieniu zbudowano z cegły. Wiele lat temu ktoś pomalował je na biało, ale teraz czerwień prześwitywała spod wapna, jak krew.

Tunele są pod całym Savannah. Niewiele się o nich mówi. Niektóre się zawaliły, inne zostały celowo zasypane. Dawno temu je zamknięto — niektóre wejścia zamurowano, w inne wstawiono kraty. Można je było jednak otworzyć, jeśli się wiedziało, gdzie szukać.

Ja wiedziałam. Dla chcącego nic trudnego.

Tunele są czarnym, zgniłym, robaczywym światem, który czai się tuż pod stopami džentelmenów uczęszczających do ekskluzywnego klubu Oglethorpe. Czasami idąc President Street i mijając kratkę ściekową, czułam powiew tego ciężkiego, zgniłego smrodu i wiedziałam, że rozkład jest blisko.

Łatwo było się wmieszać między bezdomnych.

A w Savannah jest mnóstwo bezdomnych. Lubią się kręcić po starym mieście i koczować na placu najbliższej Martin Luther King Boulevard.

Kiedy jest się bezdomnym, jest się niewidzialnym. Ludzie, nawet gliny, patrzą przez ciebie na wylot. Turyści w ogóle unikają patrzenia na siebie, ze strachu, że poprosisz ich o pieniądze albo powiesz coś zwariowanego...

W tej chwili znajdowałam się niedaleko starego Szpitala Candle-ra. To nie był już szpital, ale coś w rodzaju domu starców. Tu szybko mogłam się zorientować, gdzie jestem, bo tunel był zaśmiecony wyrzuconymi

i zapomnianymi szpitalnymi gratami, drewnianymi fotelami inwalidzkimi i zardzewiałymi szpitalnymi wózkami.

Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam mapę pochodzącą z 1800 roku, którą zwędziłam z Georgijskiego Towarzystwa Historycznego.

Odnajdywanie drogi w tunelach przypominało trochę grę w Monopoly, tyle że na większej planszy.

Powiodłam palcem po trasie prowadzącej do Domu Pogrzebowego Hartzell, Tate i Hartzell. W lewo, potem w prawo i znów w lewo.

Wsunęłam mapę z powrotem do kieszeni, złapałam szpitalny wózek i ruszyłam dalej.

Dom pogrzebowy mieścił się w starym dworku z przypominającą katakumby piwnicą, która wydawała się ciągnąć na całe kilometry od budynku. Jak wszędzie w tych tunelach, mur zagrządzający "wejście się rozpadał.

Przechodziłam już tędy.

Nie potrzebowałam wiele czasu, by rozebrać cegły i zrobić dziurę dość dużą, żebym mogła się przez nią przecisnąć — a nie należą do drobnych kobiet.

Ale kiedy już weszłam do środka, trochę się pogubiłam. Istny labirynt! Pomieszczenie za pomieszczeniem pełne sprzętu używanego przez balsamistów. Półki płynu do balsamowania. Pudła drenów i prawiół do formowania wyrazu twarzy. Dokładnie tak. Potrafili zmusić zmarłego nawet do uśmiechu. Ale przecież ja też to potrafiłam.

Bezszelestnie<sup>1</sup> weszłam po schodkach. Tutaj też bywałam już wcześniej, więc bez trudu odnalazłam chłodnię.

I mojego przyjaciela, pana Turello.

Wyglądał nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności. I na szczęście dla mnie był trochę podsuszony. O wiele lżejszy niż tamtej nocy, kiedy porzuciłam go na pustym placu przy Skidaway Road.

Mimo wszystko jednak ważył swoje.

Nie byłam pewna, dlaczego postanowiłam go zabrać. Po pierwsze, uznałam, że to może być zabawne. Namiesza w głowach glinom. Tej dwójce detektywów. Elise Sandburg i Davidowi Gouldowi.

David Gould. Prawdę mówiąc, był naprawdę seksowny. Widywałam go, jak biegał bez wytchnienia. Jakby ktoś go gonił. Albo coś.

Musiałam przewiesić sobie Turello przez ramię, by móc go nieść. Był sztywny, a jednocześnie podatny. Trochę jak tania skórzana kurtka, o której wiesz, że nigdy nie zmięknie, choćby ją nosić nie wiadomo jak długo.

Kiedy go porzuciłam — wtedy, za pierwszym razem — śmierdział. Obrzydliwie, jak zdechły szczur. Teraz pachniał... tajemniczo. Trochę słodkim aromatem płynu do balsamowania, ale też trochę jakby kompostem.

Na dole przeciągnęłam go przez dziurę i zatkałam ją ceglami. Wsadiłam Gary'ego na wózek i ruszyliśmy.

— Ktoś się cholernie zdziwi — powiedziałam mu, pchając wózek po nierównej powierzchni.

Każdy, kto kiedykolwiek siłował się z koszykiem na zakupy z zablokowanym kółkiem, zrozumie, jak męcząca potrafi być taka jazda. Nic przyjemnego. Ani trochę.

Ale w końcu zapomniałam o wysiłku i roześmiałam się cicho. Już sobie wyobrażałam to zamieszanie jutro rano, kiedy nie będą mogli znaleźć Gary'ego.

Psychiatrzy pewnie stwierdziliby, że staram się zwrócić na siebie uwagę. Że nie miałam jej dość jako dziecko.

I mieliby rację.

## Rozdział 22

Chwilę po północy balsamista Benjamin Ming przyszedł do pracy i otworzył wejście dla dostawców Domu Pogrzebowego Hartzell, Tate i Hartzell. Sięgnął za futrynę i "włączył" lampy sufitowe, pozwalając, by ciężkie drzwi same zatrzasnęły się za jego plecami.

Poszedł prosto do biurka, żeby sprawdzić zlecenia dla swojej zmiany. Stary Hartzell dzwonił już, by go poinstruować, ale Ben zawsze wolał sprawdzić.

Dwa ciała. Jedno zabalsamować, bez żadnych faramuszek, drugie tylko trochę ogarnąć.

Gary Turello. Ten ekshumowany gość.

Ben słyszał o nim w wiadomościach. Miał zostać na nowo pochowany, a Hartzell, Tate i Hartzell podarowali mu marmurowy nagrobek. Reklama, owszem, ale mimo wszystko miły gest, musiał to przyznać.

Do zabalsamowania była trzydziestodwuletnia kobieta, która zmarła na raka.

Ben wytoczył ją z chłodni i zaczął przygotowania. Rozebrał ciało, po czym łagodnie rozprostował i rozmasował członki, żeby je zmiękczyć. Po umyciu ciała otworzył tętnice w kroczu i na szyi. Kiedy krew zaczęła ściekać do odpływów w stole, Ben wrócił do chłodni po zwłoki Turello.

— Finch. Austin. Johnson — powiedział, sprawdzając tabliczki zawieszane na dużych palcach u nóg.

Wyprostował się, oparł ręce na biodrach i rozejrzał się po małym pomieszczeniu. Hm.

Jeszcze raz sprawdził tabliczki. Potem kolejno unióśł prześcieradła. Starsza pani. Kobieta w średnim wieku. Pięćdziesięcioparoletni dzen-telmen.

Wszyscy świeżutcy. Kobiety zostaną skremowane po nabożeństwach żałobnych; facet miał poczekać do jutra.

Gdzie jest Turello?

Serce Bena zaczęło łomotać w panice. Czyżby Dom Pogrzebowy Hartzell, Tate i Hartzell zgubił nieboszczyka?

Podeszwy sportowych butów Davida łomotały o chodnik, kiedy biegł znajomą trasą przez miasto.

Były trzy powody, dla których biegł o czwartej nad ranem. Po pierwsze, nie mógł spać. Po drugie, od paru dni nie miał okazji pobiegać. Po trzecie, pomyślał, że wczesna pora pomoże mu uniknąć Flory. Najwyraźniej uznała go za swoją własność, bo wmówiła sobie, że tamtej nocy uratowała mu życie.

Za często do niego wpadała. Zostawiała mu wiadomości na poczcie głosowej. David dobrze się czuł w jej towarzystwie. I z pewnością była to jakaś rozrywka... ale czy Flora była odpowiednią dziewczyną—

ną? I czy on nadawał się dla niej? A może raczej byli tylko dwójką inteligentnych, ale kompletnie pokreconych ludzi, którzy kurczowo trzymali się siebie, szukając pocieszenia?

Chyba tak.

Kiedy zbliżył się do Świętej Marii od Aniołków, zwolnił tempo do marszu i skręcił na lewo, schodząc z chodnika i kryjąc się w cieniu magnolii. Trzymając się skraj cienia, podkraść się do domu, wypatrując Flory.

Jakiś cień poruszył się pod okapem osłaniającym frontowe wejście.

Do diabła.

Spojrzał na budynek, na swoje okno. Paliło się w nim przyćmione światło. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wspiąć się po kamieniach i nie wejść przez okno do pokoju. Ale szybko — choć z zalem — porzucił ten pomysł. Był godny szczeniaka.

Wyszedł z cienia i zbliżył się do porośniętego dzikim winem budynku.

— Co mnie czeka? — zapytał. — Seks czy rozmowa?

Ktoś wyłonił się z wnęki. Ciemne, proste włosy. Jasna skóra. Elise.

— Zgaduję, że spodziewałaś się kogoś innego.

— Zapomnij. To takie stare, jankeskie powiedzonko. — Machnęła ręką. — W wolnym tłumaczeniu znaczy: kto tam?

Otarł przedramieniem spocone czoło.

— A skoro wiem już kto, może przejdźmy do tego, co tu robisz?

— Mamy kolejny interesujący przypadek. Chodź. — Wskazała budynek ruchem głowy. — Pogadamy w środku.

David otworzył drzwi ciężkim, wytartym od użycia kluczem. Ramię w ramię wbiegli po marmurowych schodach i przeszli korytarzem na drugim piętrze do drzwi jego mieszkania.

Kiedy już byli w środku, Elise obróciła się do niego z rękami założonymi na piersi.

— Pamiętasz, że Gary Turello miał zostać zabrany do domu pogrzebowego?

— Jeśli chcesz mi powiedzieć, że Turello obudził się w kostnicy, to będę wiedział, że cała ta sprawa to sen wariata, a Święta Maria od Aniołków to tak naprawdę szpital psychiatryczny.

Isobel wyszła dostojnym krokiem z sypialni, niby obojętna, a jednocześnie bardzo zainteresowana gościem.

— Turello się nie obudził. Za to jego ciało zniknęło z domu pogrzebowego.

David ściągnął przez głowę przepoconą koszulkę i wytarł nią kark i pierś.

— Myślisz, że mogli go niechący skremować?

— To się wydaje logiczne, nie sądzisz?

Isobel zaczęła okrażać nogi Elise, która schyliła się, żeby pogłaskać zwierzę. Złe to robiła. Isobel nie lubiła być gładzona po grzbiecie.

— A od kiedy cokolwiek w tej sprawie jest logiczne? — Ruszył pod prysznic. — Daj mi pięć minut — rzucił przez ramię. — Możesz zabawić Isobel. Lubi, jak się ją drapie po brzuszku.

— Jankeskie powiedzonko, terefere. — Elise skomentowała wcześniejsze zachowanie Davida, kiedy zostały same z Isobel.

Czy w sprawie drapania po brzuszku też kłamał? Elise trochę się bała spróbować. Wszystkie koty, jakie знаła, drapały jak dzikie bestie, kiedy próbowało się dotknąć ich brzucha. Podrapała Isobel pod brodą, spodobało się. Za uchem. To już nie bardzo. Po grzbiecie... Tego najwyraźniej nie cierpiała.

Po brzuchu.

Isobel zamruczała. Klapnęła ciężko na podłogę i wyciągnęła się, prosząc o jeszcze.

Ten kot był tak samo dziwny, jak jego właściciel.

— Nie jest bezpiecznie biegać w środku nocy — powiedziała do Da—vida, kiedy z mokrymi włosami wrócił spod prysznica. — To, że jesteś gliniarzem, nic nie znaczy. Samotny biegacz w nocy, facet czy kobieta, wystawia się na cel.

Zignorował jej słowa. Zapinając koszulkę, spojrzął w dół.

— A nie mówiłem? — Wskazał Isobel, która mruzczała jak wściekła. — Lubi po brzuszku.

Elise wyprostowała się, zostawiając kota.

— Savannah to portowe miasto. Ma długą historię ulicznych przestępstw, których ofiarami padają nieostrożni i głupi. To sięga jeszcze czasów piratów. Czy ty mnie słuchasz?

Wsadził koszulę w spodnie.

— Słucham.

— Nie chcę, żebyś więcej biegał w nocy. — To nie był rozkaz. To była prośba.

— Nie obiecuję ci tego.

— Dlaczego to robisz? Przecież na pewno wiesz, że to niebezpieczne. Kręci cię to w jakiś sposób? A może po prostu nie zależy ci na życiu?

Przez jedno mgnienie oka wydawało się, że opadła z niego jakaś zasłona. Elise zobaczyła w jego spojrzeniu pustkę i rozpacz. Ale potem wszystko zniknęło.

— Mam problemy ze spaniem — powiedział, siadając na kanapie, by włożyć skarpetki i buty. — Bieganie mi pomaga.

— Od jak dawna masz te problemy? Zawiązał buty i wstał.

— Od kiedy tu przyjechałem, ale ostatnio jest o wiele gorzej.

— Ile nocy w tygodniu?

— Wszystkie. — Wziął klucz od mieszkania i wsadził do kieszeni. Włożył czarną marynarkę. — Całe noce. — Zanim zdążyła odpowiedzieć, zakończył rozmowę. — Chodź — powiedział. — O tym możemy pogadać później.

Ulice były puste, więc dojazd do domu pogrzebowego zajął im tylko kilka minut. Kiedy przyjechali na miejsce, przed szerokim, sklepionym wejściem z zielonym daszkiem stały dwa policyjne wozy.

Drzwi pilnowała Eve Salazar.

— Jak to wygląda? — zapytała Elise.

— Gość, który się zajmuje balsamowaniem, przyszedł przygotować ciało do pogrzebu. Znaczący ubrać i takie tam. — Zaciśnęła wargi i pokręciła fatalistycznie głową. — I nie znalazł delikwenta.

— Jakież ślady włamania? — zapytał David.



— Nie. Budynek ma najnowocześniejszy system alarmowy, ale się nie uruchomił. Żadnych śladów. Żadnego bałaganu. Wszystko na swoim miejscu. Z wyjątkiem nieboszczyka.

— A co z ekipą dochodzeniową?

— Wstrzymaliśmy się z ich wzywaniem. — Pochyliła się bliżej. — Dopóki nie stwierdzicie, że mamy do czynienia z przestępstwem, a nie tylko ze zgubionym ciałem.

— Słusznie.

— Wszyscy pozostali są na dole, tam gdzie przechowuje się zwłoki. Funkcjonariuszka Salazar wskazała hol wyłożony grubym czerwonym dywanem.

— Zejdźcie po schodach do piwnicy. Potem w prawo. Nie da się nie trafić.

— Te przybytki mają swój zapaszek, co? — szepnął David, kiedy szli po schodach. — Jakiś taki ciężki, słodkawy.

— Jak wystawny deser zalatujący padliną? — zapytała Elise.

— Właśnie. ' W sali było trzech mundurowych, a także właściciel domu pogrzebowego i balsamista, który zawiadomił o zaginięciu ciała. Dyrektor, niejaki pan Simms, zdążył się nawet wbić w obowiązkowy ciemny garnitur.

David i Elise się przedstawili.

— Nie potrafię tego wyjaśnić. — Gorączkowe spojrzenie dyrektora biegało od Elise do Davida i z powrotem.

Dwójka detektywów obejrzała pomieszczenie.

— Zauważyliście coś podejrzanego? — zapytała Elise. — Nic.

Przesłuchali balsamistę, poważnego drobnego człowieczka. Nazywał się Benjamin Ming. Nie miał do powiedzenia niczego, czego by już nie wiedzieli.

Elise przeszła do przyległego krematorium. David i dyrektor poszli za nią. W pomieszczeniu było chłodno. Obejrzała wskaźniki temperatury na piecu.

— Ile czasu potrzeba, by piec ostygł po użyciu?

—Wiele godzin — odparł dyrektor. — Piec nie był używany od paru dni. Policjanci już mnie o to pytali. Dlaczego próbujecie zwalić winę na mnie? Od tamtej paskudnej sprawy z domem pogrzebowym, który miał nieskremowane ciała poupychane w każdym kącie, wszyscy jesteśmy podejrzeni. To oburzające. To ja tu jestem ofiarą. I biedny panTurello.

— Nikt nie próbuje pana o nic oskarżać — odparł David. — Musimy rozważyć każdą możliwość, żeby wiedzieć, co możemy wykluczyć. A kiedy wykluczmy przypadkową kremację, będziemy mogli się skupić na innych możliwych scenariuszach.

Dyrektor złapał chusteczkę ze stojącego na stoliku pudełka i otarł skronie i policzki.

— Przepraszam. Szczycimy się nieposzlakowaną reputacją. Moja rodzina prowadzi ten zakład od trzech pokoleń i nigdy nie przydarzyło nam się nic takiego. Nigdy.

Elise zrobiło się go żal. Zwykle to on pozostawał chłodny i opanowany, to on pocieszał zrozpaczonych klientów.

— Panie Simms — powiedziała łagodnym, poważnym tonem — czy kiedykolwiek miał pan pracownika, który wydawał się mieć szczególną... słabość do zmarłych?

Zmarszczył brwi.

— O czym pani mówi?

— Mówimy o nekrofilii — powiedział David. — Jako osoba związana z tym biznesem zapewne pan o niej słyszał.

— Oczywiście. — Dyrektor był wzburzony. "Wręcz zły. — Ale chcę panu z całą mocą powiedzieć, że nikt, powtarzam, nikt z mojego personelu nigdy nie... — Zabrakło mu słów. Wyraźnie nie był w stanie mówić dalej.

— Potrzebujemy listy wszystkich pańskich pracowników — powiedział David. — Obecnych i tych, którzy pracowali tu w ciągu ostatnich trzech lat. Sprzątaczy. Ogrodników. Wszystkich.

Elise wezwała ekipę dochodzeniową, żeby zabezpieczyła ślady, po czym przeszła do standardowych tradycyjnych pytań. Czy kręcił się tu ktoś podejrzany? Czy ktoś mógł to zrobić, by zepsuć opinię firmy Hartzell, Tate i Hartzell?

W końcu wymienili się wizytówkami i numerami telefonów.

— Proszę zadzwonić, jeśli pan sobie cokolwiek przypomni — poleciła Simmsowi. — My też będziemy w kontakcie.

—Wiesz, co ludzie będą o tym mówić, prawda? — zapytał David, kiedy wyszli na zewnątrz i mrużyli oczy jak wampiry w jasnym świetle słońca.

— Że Gary Turello wstał i wyszedł stamtąd sam? — zapytała Elise. —Właśnie.

— Musimy jeszcze raz porozmawiać ze Stratą Luną — odparła. — Dowiedzieć się, czy znała Turello. Założę się, że tak było.

— No to wio. Dzwoń do niej.— David wyjął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i włożył je. — Ale tym razem idę z tobą.

## Rozdział 23

Czy to jest logo waszego sklepu? Chłopak o zaniedbanych włosach stojący za kasą obejrzał płytę CD w ręce Elise. —Tak. Gould rozłożył kompaktki na szklanej ladzie.

— Zauważył pan coś dziwnego? — zapytał. Chłopak spojrzał na płyty.

—To jakiś test?

— Proszę się przyjrzeć uważniej — nalegał Gould. Sprzedawca zaczął się bawić włosami na podbródku.

— No więc... a, no tak. Kumam.To sami samobójcy! O to chodzi?

— O to — odparła Elise. — Ale ważniejsze jest to, że wszystkie te płyty mają waszą nalepkę. Czy pan albo któryś inny pracownik przypominacie sobie, żeby ktoś dokonywał takiego zakupu mniej więcej półtora roku temu?

— Rany. — Dzieciak podrapał się po głowie. — Mam problemy z przypomnieniem sobie, co było w zeszłym tygodniu.

Z zaplecza wyszedł drugi mężczyzna. Kolczyki nosił w każdym możliwym widocznym miejscu. Na nadgarstkach miał skórzane opaski z kolcami.

— Hej, Tobias. Chodź tu. — Chłopak przy ladzie spojrzął na detektywów. — Toby jest menedżerem. Pracuje tu od dawna. — Odwrócił się i krzyknął przez ramię. — Zerknij na to, co?

Zaspany młody człowiek podszedł bez pośpiechu. Sprzedawca wskazał kompakty.

— Pamiętasz, żeby ktoś to kupował?

— A wy kto? — Menedżer obrzucił Elise i Goulda podejrzliwym spojrzeniem. Błysnęli odznakami i przedstawili się. To go trochę usadziło.

— Nie pamiętam. Przykro mi.

— A czy byłoby możliwe, żeby pan sprawdził transakcje z tego okresu? — zapytała Elise. — Prawdopodobnie te płyty były kupione jednocześnie.

— No nie wiem...

— Może w dokumentach podatkowych? — podsunął Gould. — Na pewno przechowujecie taśmy z kasy.

— Tego jest strasznie dużo — odparł chłopak z powątpiewaniem. — I może zająć kupę czasu.

— To bardzo ważne — powiedziała Elise.

— Spróbuję, ale nie wiem...

Gould pokazał im zdjęcia Winslowa, Turello i Harrisom.

Nic.

Elise wręczyła menedżerowi swoją wizytówkę.

— Proszę zadzwonić, jeśli pan coś znajdzie albo sobie przypomni.

— Podziękowała im za pomoc, po czym oboje z Gouldem ruszyli na parking, mijając po drodze mały plac zabaw. Na środku boiska do koszykówki trzy dziewczynki skakały przez skakankę.

*Dzieciątka w łóżeczku,*

*Pani w czarnej sukni.*

*W czolo je całuje,*

*W ziemię kładzie trupki.*

— Cóż za nieoczekiwana podpowiedz. — Gould spojrzął na Elise nad dachem samochodu. — Czy to nie najwyższa pora, żeby zobaczyć się z kapłanką śmierci?

Elise udało się umówić kolejne spotkanie ze Stratą Luną, tym razem u niej w domu. Kiedy zapytała, czy może przyprowadzić ze sobą partnera, Strata Luna — o dziwo — zgodziła się.

Wsiadli do samochodu i pojechali do dzielnicy wiktoriańskiej, gdzie zaparkowali na ulicy i pieszo podeszli do dworku. Elise przedstawiła się przez domofon i czarna, żelazna brama otworzyła się szeroko przed nimi.

Dwójka detektywów weszła na teren posiadłości. Pod ich stopami zachrzęściły pokruszone muszle.

— Gdzie nie dotarł jeszcze żaden człowiek — powiedział Gould. — Widzę, że oglądało się *StarTreka*.

— Owszem, zdarzały się tam niezłe laski.

— Kosmitki z dużymi piersiami.

Gadali byle co, nie zwracając uwagi na sens. Przyglądali się luksusowemu otoczeniu, stojąc ramię w ramię na początku długiego, prostego podjazdu, obsadzonego dębami, których wygięte gałęzie tworzyły lukowate sklepienie. Na końcu alejki stał różowy, stary dworek z czarnymi wykończeniami.

Widok zapierał dech.

Brama za nimi zamknęła się z cichym trzaskiem.

— Złowróźbny dźwięk — mruknął Gould.

Wszehobecny Enrique przywitał ich przy drzwiach. Uśmiechnął się pogodnie i poprowadził ich ciemnym korytarzem do odosobnionego ogrodu, gdzie znaleźli Stratę Lunę siedzącą w cieniu, przy okrągłym stoliku. Miała na sobie obowiązkową czarną suknię, ale była bez kapełusza, woalki i rękawiczek.

Elise przedstawiła swojego partnera.

Wyglądało na to, że nie spodobali się sobie szczególnie.

— Mam nadzieję, że lubicie gorącą herbatę — powiedziała Strata Luna tuż po prezentacji, dając odczuć Gouldowi, że nie jest zbyt ważny. Najwyraźniej tolerowała go tylko dlatego, że przyszedł z Elise.

Na tacy pośrodku stolika stał porcelanowy czajnik, obok — talerz kruchych ciastek, cukier w kostkach, srebrne szczypczyki i śmietanka.

Zostali potraktowani jak goście, nie jak policja. Elise czuła się trochę nieswojo. Zerknęła na Goulda, zastanawiając się, czy on myśli to samo — że ta sytuacja ma posmak herbatki u Szalonego Kapelusznika.

Nie zauważył jej spojrzenia. Wpatrywał się w wielką, ozdobną fontannę, stojącą na drugim krańcu ogrodu.

Czy to w niej utonęła córka Straty Luny?

W centrum fontanny stała rzeźba dziewczynki. Elise słyszała, że gdzieś w posiadłości znajduje się naturalnej wielkości podobizna nieżyjącego dziecka.

Popijając ciemną egzotyczną herbatę, Elise wypytała Stratę Lunę o Gary'ego Turello. Gould wyciągnął zdjęcie zmarłego.

— Pracował dla mnie swego czasu, ale nie potrafię wam niczego o nim powiedzieć. — Kobieta oddała zdjęcie.

— Czy miał jakichś przyjaciół, z którymi moglibyśmy porozmawiać?

— zapytał Gould.

— Nie wiem, naprawdę. Mówicie, że kiedy umarł?

— Półtora roku temu.

Strata Luna zmarszczyła brwi. Wydawała się zdziwiona. I po raz pierwszy może trochę zaniepokojona.

— Myślicie, że jego śmierć ma coś wspólnego z tymi ostatnimi zgonami? To chyba nie ma sensu, prawda? Zmarł tak dawno temu.

— Wierzymy, że te zdarzenia są powiązane — odparła Elise. — Ale nie mamy jeszcze na to dowodów. Gould nie odrywał oczu od Straty Luny.

— Niepokoi to panią — stwierdził obcesowo.

— Oczywiście, że tak — odparła urażonym tonem. — Wszyscy w tym mieście są zaniepokojeni.

— Czy może nam pani podać nazwiska ludzi, z którymi mógł być związany? — zapytała Elise. — Albo którzy mogą o nim cokolwiek wiedzieć?

Strata Luna pokręciła głową.

— Nie wiem takich rzeczy, kochana. Nie utrzymuję kontaktów towarzyskich z pracownikami.

— A Enrique? — zapytała Elise, próbując ją podejść. — Z nim pani jest w dość bliskich stosunkach.

— To co innego. — Strata Luna machnęła dłonią. Miała długie zadbane paznokcie. — On jest bardziej jak rodzina.

— A Flora Martinez? — zapytał Gould z dziwną nutą w głosie.

— Traktuję ją jak córkę.

Zanim Elise zdążyła się zastanowić nad tym epizodem, Strata Luna mówiła dalej.

— Moglibyście porozmawiać z jednym człowiekiem. Przypomniałam sobie o nim parę dni temu. Nazywa się James LaRue. Przychodzi czasem do Czarnego Tupelo, węszy wokół moich dziewczyn, zadaje pytania.

— O co najczęściej wypytuje? — chciała wiedzieć Elise.

— O mnie.

— To chyba nic dziwnego. Ludzie są pani ciekawi.

— Ludzie z mediów, owszem. Reporterzy. Ale były naukowiec? Co on chce wiedzieć? Zaintrygowało mnie to i w końcu porozmawiałam z nim przez telefon.

— I? — zapytała Elise.

— Powiedział, że prowadzi badania nad tetrodotoksyną. Pisze książkę. Ale myślę, że szukał miejsca, gdzie mógłby kupić tę truciznę. Insynuował, że się nią narkotyzuje. — Wysunęła podbródek i spojrzała z góry. LaRue nie był jej wart. — Ludzie chcą się ze mną spotkać z wielu powodów. Niektórzy są ciekawi. Inni szukają tematu. Jeszcze inni chcą po prostu, żeby im powróżyć.

— Pani wróży? — zdziwiła się Elise.

— Kiedyś to robiłam. Wiele lat temu, kiedy byłam bardzo młoda. Dałam paru osobom dobre rady na temat giełdy i loterii. Ci, którzy słyszeli o moich sukcesach, oferowali mi dużo pieniędzy za podobne usługi. Ale już tego nie robię.

— Dlaczego pani przestała? — zapytał Gould. — Wróżbiarstwo byłoby chyba mniej nieprzyjemne niż... prowadzenie agencji towarzyskiej.

— Ludzie mają intuicję, ale niewielu z nich wie, jak nią pokierować. Włącznie ze mną. Nie potrafiłam przewidzieć śmierci moich wlas—

nych dzieci. Bezbłędnie wybierałam akcje i liczby na loterię, ale nie umiałam ocalić ludzi, którzy znaczyli dla mnie najwięcej.

Cała trójka umilkła. W końcu Strata Luna spojrzała przez stół na Goulda.

— To piękna fontanna, prawda?

Gould znów patrzył w tamtą stronę. Pytanie Straty Luny sprawiło, że filizanka wyśliznęła mu się z dłoni. Złapał ją, kiedy zagrzecotała o spodek.

— A pan ma dzieci, detektywie Gould? — zapytała Strata Luna tonem o tyleż niedbałym, co wyrachowanym. — Żywe czy zmarłe? Bo zawsze trzeba pamiętać o zmarłych.

Czy wszystkich wypytywała o dzieci? — zastanawiała się Elise. Gould oderwał oczy od rzeźby. Długo patrzył na Stratę Lunę. W końcu zamiast odpowiedzieć zaatakował:

— Pani straciła dwójkę, zgadza się? Dwie dziewczynki?

— Miałam dwie córki — odparła kobieta. — Obie nie żyją. Delilah utonęła, a Marie się powiesiła. — Zmierzyła go złym spojrzeniem. W jej głosie brzmiał gniew. — Ale pan to już przecież wie. Więc dla czego mnie pan o to pyta?

— Wykonuję swój zawód. — Gould nie dał się zastraszyć.

— Wiem, co mówią ludzie. Mówią, że je zabiłam. Pan też tak myśli? To jakaś insynuacja? Chce pan wyznania winy?

Gould zamrugał powiekami. Zorientował się widocznie, że posunął się za daleko.

— To pytanie było nie na miejscu. Przepraszam.

Jego słowa mogłyby zwieść każdego. Ale Strata Luna była spostrzegawczą kobietą. Wiedziała, że nie mówił szczerze.

— Czy matka zabiłaby własne dziecko? — zapytała.

— To się zdarza — odparł głucho Gould.

Nagle napięcie i wrogość między tą dwójką były wręcz namacalne. Elise zastanawiała się, czy powinna wkroczyć do akcji, czy też pozwolić, by scena rozgrywała się własnym torem.

— Nie ta matka. — Strata Luna dźgnęła się palcem w pierś. — Ta matka nigdy nie zabiłaby własnych dzieci.



— Przecież przeprosiłem.

— Słowa są realne. Nawet jeśli nie można ich zobaczyć ani wziąć w dłoń. Kiedy raz je pošlesz w świat, mają moc. Nigdy nie mów słów, które nie płyną z głębi serca.

Gould wpadł w pułapkę. Nie było odpowiedzi, która mogłaby udobruchać tę kobietę. Elise uznała, że czas interweniować, ale Strata Luna znów się odezwała.

— Musisz przestać niszczyć samego siebie — powiedziała do Goulda. Spuścił wzrok, nagle bardzo zainteresowany dnem swojej filiżanki.

— Czyżbym coś przegapił? Wyczytała pani coś z moich fusów herbacianych?

Zawsze wszystko obracał w żart.

— Próbuje pokazywać ludziom drogę — powiedziała Strata Luna.

— Próbuje leczyć ich z głupoty. Gould odstawił filiżankę na spodek.

— Dziękuję za radę. — Jego ton był wyważony, ale Elise nie przegapiła ukrytej nuty sarkazmu.

Gould wstał.

— Mam parę pytań do Enrique.

— Powinien być w domu, chyba że wyszedł do sklepu. — Strata Luna kiwnęła ręką za siebie, najwyraźniej zadowolona, że pozbywa się Goulda. — Może się pan rozejrzeć. Nie mam nic do ukrycia.

— Zaraz do ciebie dołączę — powiedziała Elise. Gould kiwnął głową i odszedł.

— Przydałoby mu się parę lekcji samokontroli — stwierdziła Strata Luna, kiedy zniknął im z oczu.

— Detektyw Gould jest w porządku — zapewniła Elise zdziwiona, że jej własne zdanie o nim zmieniło się na lepsze. Potrafił bronić swoich pozycji, a czasami detektyw musi zadawać trudne pytania, by uzyskać właściwe odpowiedzi. Jego taktyka była dobra, tylko w tym przypadku nietrafiona. — Dziękuję, że zgodziła się pani z nami spotkać — powiedziała, wstając od stolika.

Kobieta złapała ją za rękę. Jej palce zacisnęły się mocno.

— Siadaj.

Elise nie usłuchała.

— Proszę zabrać rękę. — Teraz przyszedł jej kolej na konfrontację ze Stratą Luną.

Zwolniła uścisk, zdając sobie widocznie sprawę, że apodyktyczność tu nie pomoże.

— Przypomniała sobie pani coś na temat Gary'ego Turello? — zapytała Elise obojętnym, zawodowym tonem.

— Nie.

Elise spojrzała na zegarek.

— Więc muszę już iść. Ma pani moją wizytówkę. Proszę zadzwonić, jeśli coś pani przyjdzie do głowy. — Ruszyła do drzwi.

Następne słowa zatrzymały ją w miejscu.

— Twoja matka była jedną z moich dziewczyn.

Elise poczuła ciężkie tąpnięcie w żołądku. Wciągnęła powietrze i obróciła się.

— Miała na imię Loralie — ciągnęła Strata Luna. — Była piękna. Egzotyczna. Rozchwytywana przez mężczyzn. Och, przepraszam. Pewnie nie to chciałybyś usłyszeć.

Elise czekała.

Kobieta w czerni wzięła ciastko i zaczęła obracać je na wszystkie strony.

— Wiedziałaś, że kiedy usłyszałam, iż cię porzucono na cmentarzu, zastanawiałam się, czy cię nie adoptować? Ale wiedziałam, że nie daliby dziecka komuś takiemu jak ja. Nawet dziecka z diabelskimi oczami.

Czy rozmyślnie była okrutna? — zastanawiała się Elise.

— Dlaczego się pani nie zgłosiła, kiedy policja prosiła obywateli o pomoc?

— A co dobrego by z tego przyszło? Twoja matka była prostytutką. Największe szanse na lepsze życie miałaś, pozostając podrzutkiem. A Jackson Sweet umierał...

— Gdzie ona teraz jest? — Serce Elise biło jak szalone. Dłonie jej się spociły. — Moja matka?

— Ma nowe życie. Już dawno odcięła się od tego, czym była kiedyś. Ale to nowe życie nie ma nic wspólnego z tobą.

Elise żywiłaby inne uczucia do swojej matki, gdyby została oddana do adopcji w normalny sposób. Świadomość, że pozostawiła ją na cmentarzu, była okrutnym dziedzictwem.

— Chcę jej pełne nazwisko.

— Nie mogę ci go podać. Najpierw muszę zapytać ją o zgodę. — Strata Luna niby od niechcenia upiła łyk herbaty, która musiała już być zimna. — Mam to dla ciebie zrobić?

To, w jaki sposób dobierała słowa, wytrąciło Elise z równowagi.

— O co tu chodzi? Czego pani ode mnie chce? Najpierw mówi mi pani o Jacksonie Sweecie. Teraz podaje pani imię kobiety, która rzekomo jest moją matką. Dlaczego właściwie zgodziła się pani na tę naszą wizytę?

Wyniosłość Straty Luny zniknęła.

— Moje córki umarły. — Spojrzała na Elise. W oczach miała łzy. — Ty jesteś łącznikiem z moją przeszłością. Z lepszymi czasami. Z czasami zanim zło przyszło do Savannah.

—Wiesz, co to jest? — Flora dotknęła krzaczastej rośliny, sterczącej na ponadpółmetrowej łodydze. Miała czerwone liście o zielonych powcinanych krawędziach.

David zerknął nerwowo przez ramię, w każdej chwili spodziewając się Elise. Wyszedł z tego miłego przyątka, by uciec od tej dziwnej kobiety i jej boleśnie przenikliwych pytań. Ale zamiast znaleźć Enrique, nadział się na Florę. Najwyraźniej czatowała na niego.

—To się nazywa koleus lizakowy — wyjaśniła Flora, choć o to nie prosił. Choć wcale go to nie interesowało. — Normalnie takie nie rosną.

— Rozumiem.

— Stracie Lunie zajęło rok wyhodowanie tej rośliny.

— Dziwaczne — powiedział David. — Trochę jak zTima Burtona.

— Kogo?

— Taki reżyser — odparł, widząc, że dziewczyna za nim nie nadąza.

— To się nazywa formowanie.

— Nie opowiadaj o mnie Stracie Lunie, dobrze? Nawet o najbardziej prozaicznych sprawach.

—Ja nie muszę jej niczego opowiadać. Ona po prostu wie. Prychnął z niedowierzaniem.

— Nie kłómy się. — Flora uśmiechnęła się i przysunęła bliżej, przypierając go do ściany. Położyła dłonie na jego biodrach i przylgnęła do niego.

David wyciągnął zdjęcie Gary'ego Turello i przytrzymał przed jej oczami. —Widziałas kiedyś tego gościa?

— Da—avid. — Roześmiała się.

— Mówię poważnie.

— To Gary Turello. A teraz to odłóż. — Wyrwała mu zdjęcie i rzuciła przez ramię.

— Znałaś go?

— Nie przyjaźniliśmy się ani nic z tych rzeczy. On wołał punkowe klimaty, co tydzień robił sobie nowy kolczyk.

— Pamiętasz coś jeszcze na jego temat?

— Nie przeszkadzały mu różne zbrodnie świństwa. Jeśli klient lubił dziwne rzeczy, typu bicie, wiązanie czy picie krwi, podsyłaliśmy mu Turello.

— Pamiętasz któregośkolwiek z tych klientów?

— Nigdy ich nie widziałam. W przeciwieństwie do ciebie, mój ty naiwniaku, tacy ludzie używają fałszywych nazwisk i ciągle zmieniają miejsca spotkań. Jednej nocy to może być opuszczony magazyn, następnej piwnica pustej kamienicy.

—Jeszcze coś?

— Mam dzisiaj wpaść do ciebie? — Kiedy nie odpowiedział, przesunęła dłonie w górę i połączyła je za jego głową. Wplotła mu palce we włosy. Przyciągnęła ku sobie jego twarz.

Z początku się opierał, ale potem pochylił głowę i przycisnął usta do jej ust. Całował się z Florą, kiedy pojawiła się Elise.

— Gould? Odskokczyli od siebie.

Flora posłała mu złośliwy uśmiezek.

— Lepiej już pójdę. — I uciekła, zostawiając partnerów samych.  
— Czy ty się obściskiwałeś z Florą Martinez? — zapytała zszokowana Elise.

David otarł usta i obejrzał rękę.

— Całowałem się — przyznał, wpatrując się w ślad czerwonej szminki na palcach.

— Rzuciła się na ciebie?

— My... mamy coś w rodzaju związku. Po tym oświadczeniu nastąpiła długa cisza.

— Chodzisz z prostytutką od Straty Luny? — Elise nie kryła zdziwienia.

— „Chodzę” to nie jest chyba właściwe słowo...

— A jakie będzie lepsze? „Płacę” za wykonane usługi?

— Spotykamy się. To by było bardziej trafne.

— Nie należę do ludzi, którzy mają coś przeciwko prostytucji, pod warunkiem że nie biorą w tym udziału dzieci — powiedziała Elise. — Bo w takich przypadkach optowałabym za wyrokiem śmierci, gdyby to było możliwe.

— Flora jest dobrą dziewczyną.

Elise podniosła zdjęcie Gary'ego Turello i podała je Davidowi.

— Odsuwając na bok moralną stronę tego związku, ona jest za blisko sprawy.

— To się po prostu stało. — Schował zdjęcie do kieszeni.

— Napaliła się na ciebie po naszej wizycie w Czarnym Tupelo? Wiadział, że byłaby w stanie zaakceptować taki rozwój wypadków.

— Zauważyłam, że jej się spodobałeś — powiedziała Elise.

— Zamówiłem ją. Przed wizytą w Czarnym Tupelo. — Co?

— Zamówiłem prostytutkę. — Jezu, Gould! Czyś ty zwariował?

— Być może. — Zastanowił się chwilę. — Prawdopodobnie.

— Jesteś gliną.

— Byłem pijany — Tak naprawdę to fiksował.

— To żadne usprawiedliwienie. Miała rację.

—Wiem. — Patrzył w ziemię. Gdziekolwiek, byle nie na Elise. — Czy to nie wspaniałe? — zapytał, chwytając między palce pofałdowany liść koleusa. — To się nazywa formowanie.

— Nie wiedziałam, że znasz się na ogrodnictwie.

— Nie sądzisz, że to trochę w stylu Tima Burtom?

— Sprzed *Jeźdźca bez głowy*? — zapytała.

— Od razu się narzuca, prawda?

Nie dawała się nabrać na zmianę tematu, ale mimo to grała w jego grę. To mu się w niej podobało. Wiedziała, kiedy nacisnąć, a kiedy przestać. Ale kiedy przyjrzał się jej uważniej, zrozumiał, że dręczy ją coś więcej niż tylko jego związek z Florą.

—Wszystko w porządku? — zapytał.

Wciągnęła głęboko powietrze.

—To po prostu jeden z tych dni, kiedy człowiek czuje się przytłoczony nadmiarem informacji.

## Rozdział 24

James LaRue wsunął rękę między podkoszulki i bieliznę w górnej szufladzie swojej komody, aż jego palce natrafiły na pudełeczko wielkości paczki papierosów. Podobno szuflada komody była jednym z pierwszych miejsc, w jakie zaglądali włamywacze, jeśli przyszli cię okraść. Gdyby znaleźli zapasik Jamesa, prawdopodobnie pomyśleliby, że to kokaina, niuchnęliby trochę i byłiby martwi po minucie.

Ostrożnie wydobyl pudełeczko z ukrycia i zaniósł do kuchni. Dopiero tutaj uniósł wieczko.

W gniazdku z bawełnianej wyściółki leżała mała, szklana fiolka wypełniona białym, krystalicznym proszkiem. Obok niej igła krawiecka. James wyjął szklany pojemniczek i uniósł na wysokość oczu.

Tetrodotoksyna. TTX. Mała fiolka mieściła jej dość, by wybić mieszkańców niewielkiego miasta.

Ostrożnie wyjął gumowy korek. Wsunął do fiołki ostry koniec igły, ostukał z niej proszek, który się osadził, i na powrót zatkał ampułkę. Zamieszał igłą w szklance z wodą, wytarł ją do czysta i razem z fiołką umieścił z powrotem w pudełku, które zostawił na kuchennej szafce.

Zwisający łańcuszek musnął jego skroń. LaRue pociągnął go, włączając sufitowy wiatrak.

Unióś szklanę, zachwycając się przejrzystością wody.

James nigdy nie był wielkim miłośnikiem ekstremalnych sportów. Kiedy dorastał, należał raczej do niewysportowanych kujonów. Nie kręciło go wspinanie się po skałach ani nurkowanie w jaskiniach. Ale znalazł sposób, by zrekompensować sobie tę nijaką przeszłość, kiedy to nie opuszczał własnego, wygodnego domu.

Największą wadą tetrodotoksyny był jej brak przewidywalności. Nie było dwóch kryształków, które byłyby do siebie podobne. Nie było dwóch kryształków, które zawierałyby taką samą dawkę trucizny. Dla Jamesa i garstki innych poszukiwaczy wrażeń właśnie to było najważniejszą częścią jej czaru. To natura sprawowała kontrolę. Nie człowiek. A próba odmierzenia odpowiedniej dawki, choćby najbardziej staranna, zawsze była strzałem na oślep.

James unióś szklanę do ust. Chłodna ciecz dotknęła jego warg. Jeden, dwa łyki.

Kiedyś wypił pięć i o mało się nie przekręcił. Od tamtej pory jego organizm wytworzył tolerancję. Po pięciu prawdopodobnie byłaby całkiem niezła jazda, ale w tej chwili James chciał tylko lekkiego kopa.

A poza tym pił cały dzień. Nie był pewien, jak podziała połączenie alkoholu i trucizny.

Wargi zaczęły go mrowić i znajome ciepło rozeszło się po żyłach. Powolnym, wymierzonym ruchem odstawił szklanę na szafkę. Fala potu oblała mu ciało, nagle zachciało mu się wymiotować.

Wszystko przeminie, powiedział sobie, ale nie mógł się roześmiać ze swego małego biblijnego żarciku.

Zaczęło mu dzwonić w uszach; oddech stał się przyspieszony i płytki. Nogi ugięły się pod nim, opadł, uderzając kolanami w podłogę. Składał się, jak dziecięca zabawka, aż legł płasko na plecach sparaliżowany.

Język wypełnił mu usta. James spróbował coś powiedzieć, ale nie potrafił zmusić swojego gardła nawet do najsłabszej wibracji. Leżał, gapiąc się na wiatrak, który obracał się powoli nad jego głową. Krawędzie wszystkich łopatek pokrywała gruba warstwa kurzu.

W kółko. I w kółko. I w kółko.

Jeśli skoncentrował się dość mocno, potrafił spowolnić w myśli ruch wiatraka, aż poszczególne łopatki stawały się widoczne. Albo mógł go puścić swobodnie, pozwolić, by stał się jednym zamazanym, ale zwartym przedmiotem, wgrzyzającym się w powietrze.

To popchnęło jego myśli w kierunku aerodynamiki, skrzydeł samolotów i zdumiewającego cudu latania. Był naukowcem, ale takie sprawy wciąż go zadziwiała.

Jego badania wzbudziły kontrowersje w środowisku naukowym. Na tyle poważne, że nie wygasły jeszcze mimo upływu lat. Połowa naukowców, których spotkał na swej drodze, potraktowała go jak pajaca. Kiedyś wierzył, że tetradotoksyna może zbawić świat. Wyobrażał sobie, że za jej pomocą będzie mógł spowalniać procesy chorobowe. Miał nadzieję zwalczyć silny, chroniczny ból i niepotrzebne ludzkie cierpienie. Miał nawet nadzieję, że TTX znajdzie kiedyś zastosowanie przy wprowadzaniu astronautów w stan anabiozy, by mogli przespać podróże w głęboki kosmos.

Teraz używał jej, żeby się naćpać.

Sen się skończył. Przeminał. Koniec, kropka. Jego życie poszło na marne.

Jak to zawsze mawiał: to, co cię nie zabije, uczyni cię zgorzkniałym.

Z jedną ręką na kierownicy Elise pozwoliła sobie na szybki rzut oka na mapę, leżącą na siedzeniu pasażera. Było późne przedpołudnie, dzień po wizycie u Straty Luni. Elise jechała sprawdzić Jamesa LaRue. Wyglądało na to, że nie miał telefonu, a w Internecie znalazła tylko kilka naukowych artykułów, bez adresu.

Poszukiwania przyniosły w końcu owoc w postaci pół hektara ziemi na wyspie Tybee, należącego do J.T. LaRue. Dlatego Elise tłukła



się po gruntowej, zarośniętej po obu stronach drodze. Wysokie juki i palmy sabalowe wystrzelały z kęp ostrokrzewu i mirtu. Ogromne wiecznie zielone dęby dusiły się w zwojach grubego pnącza zwanego dławiszem okrągłolistnym; przelewający się z gałęzi hiszpański mech tworzył kieszenie głębokiego cienia.

W tych kieszeniach polatywały świetliki niczym maleńkie błędne ognie, a zdeorientowane świerszcze cykały gorączkowo, biorąc dzień za noc. Ziemisty zapach stojącej wody wsączał się powoli przez klimatyzację samochodu, aż całe wnętrze zaczęło zalatywać bagnem.

Duża część wybrzeży Karoliny Południowej i Georgii była gęsto zabudowana. Wyspę Tybee w pewnym stopniu ominął ten los. W końcu ludzie ocknęli się i zrozumieli, że jeśli ktoś czegoś nie robi, całe hrabstwo Chatham zamieni się wkrótce w jedno wielkie pole golfowe. Mimo to ceny ziemi niebotycznie wzrosły w ostatnich latach, więc wyspę zamieszkiwali teraz wyłącznie bogacze albo długoletni rezydenci, jak LaRue.

Elise wymknęła się Gouldowi, nie mówiąc mu, dokąd się wybiera. Cała ta sprawa z Florą Martinez wciąż jeszcze trochę ją przerażała i Elise potrzebowała więcej czasu, żeby się z tym pogodzić. Choć mogło się okazać, że i to nie wystarczy. Poza tym nie było sensu ciągnąć ze sobą Goulda, który w tym czasie mógł się zająć czymś innym. Człowiek, którego szukała, miał im tylko udzielić kilku niezbędnych informacji na temat tetrodotoksyny. Był emerytowanym naukowcem, a nie przestępcą.

Dotarła do rozwidlenia, skręciła w prawą odnogę i przejechała jakiś kilometr. Droga wychodziła na dom, a raczej nędzną chałupę, i kończyła się. Fakt, biedne duszyczki ze stopniami doktorskimi nauk ścisłych często kończyły na dnie, ale biorąc pod uwagę nieprecyzyjne wskazówki, Elise zakładała raczej, że po prostu źle skręciła.

Wyłączyła silnik i weszła po spaczonych, drewnianych schodach. Zapukała w futrynę. Wewnętrzne drzwi były otwarte i przez siatkową osłonę widziała niewyraźne zarysy fotela i krawędź stołu. W powietrzu wisiał zapach pleśni i zgnilizny.

Elise wsunęła rękę do kieszeni. Palce natrafiły na szorstki materiał wanga, prezentu od Straty Luny. Czyżby sięgała po amulet, by dodać

sobie odwagi? Czy tylko po pistolet? Elise—policjantka powiedziała by, że po pistolet, ale córka szamana nie była pewna, jaka jest prawda.

Z wnętrza domu dobiegł odgłos upadku, a potem stłumione prze-kleństwo i kroki. Po drugiej stronie siatki ukazała się ludzka sylwetka. Drzwi otworzyły się, skrzecząc zawiasami.

Mężczyzna około trzydziestki. Bez koszuli i boso. Stare jak świat dzinsy wisiały na jego chudych biodrach. Bił od niego smród potu i alkoholu. Włosy miał ciemne, zapuszczone, rozczochrane. Mimo wyglądu emanował czymś —jakaś dziwną, pogardliwą godnością. Jeśli można mówić o godności przy takim braku higieny osobistej.

Był jednym z tych pięknych dzieł, które natura tworzy czasem z mieszanki ciemnej i jasnej krwi. Skórę miał złotą, oczy niebieskie. I przekrwione w tym momencie. Gapił się na Elise, kurczowo trzymając się drzwi. Spił się niemal do nieprzytomności.

Wyjęła odznakę, przedstawiła się, po czym złożyła i schowała do kieszeni skórzane etui.

— Szukam profesora LaRue — powiedziała. — Mieszka w tej okolicy, ale zdaje się, że źle skreśliłam. Czy pan przypadkiem nie wie, jak stąd dojechać do jego domu?

— LaRue? — zapytał mężczyzna. Grube, ciemne brwi zmarszczyły się ze zdziwieniem. Potarł dłonią nieogolony podbródek. — Nikt taki tu nie mieszka. — Pocił się obficie. Kropelki zbierały się nawet na końcach kosmyków jego włosów.

— Być może udzielono mi błędnych informacji. Z tego, co wiem, kiedy odszedł na emeryturę, osiadł w rodzinnej posiadłości na wyspie Tybee. James LaRue.

— LaRue. Brzmi znajomo, jak się zastanowić. Może zaraz coś wymyślimy.

Wykonał gest ręką, zapraszając ją do środka, po czym odwrócił się i poczłapał do ciemnego wnętrza. Szedł, jakby go bolał żołądek.

Narąbany jak świnia.

Elise przytrzymała siatkę, ale została w drzwiach. Intuicyjnie czuła, że powinna stąd odjechać jak najszybciej, ale logicznie rzecz biorąc, ten człowiek nie wydawał się niebezpieczny.

Biła od niego ciemność, która często otaczała narkomanów. Wrażenie obezwładniającej, koszarnej beznadziei. Człowiek przed nią był wrakiem. Znajdował się o wiele bliżej dna niż David Gould.

—To ekspert od tetrodotoksyny — wyjaśniła. — Może pan słyszał o zatruciach, które mieliśmy w Savannah.

Mówiąc, cały czas nadstawiała uszu, by wylapać ewentualne oznaki obecności drugiej osoby. Wzrokiem omiotła niewielkie pomieszczenie z wypraktykowaną swobodą i nonszalancją.

Zrobiła dwa kroki do środka i znalazła się w salonie połączonym z aneksem kuchennym. Dalej były otwarte drzwi, które, jak się wydawało, prowadziły do sypialni.

Czy były tu jeszcze inne pomieszczenia? Z zewnątrz trudno to było stwierdzić.

Gospodarz, szurając nogami, podszedł do drewnianego stołu zaśmieconego opakowaniami z jedzenia i odpadkami. Zatrzymał się i spojrzął przez ramię.

— Nie dostaję tu gazety i nie słucham wiadomości.

Tym razem Elise sięgnęła już nie po wanga, ale po pistolet. Facet w takim stanie wydawał się raczej nieszkodliwy, ale mogła niechcący natknąć się na fabryczkę narkotyków. Niejeden już zginął z tak głupiego powodu. A potem skończył jako kolacja aligatorów. Zaczynała żałować, że nie zabrała ze sobą Goulda.

—Ależ gorąco. — Mężczyzna, w sposób typowy dla kogoś pijanego czy naćpanego, stwierdził oczywistą rzecz tak, jakby dokonał jakiegoś odkrycia.

—Jeśli pan nie wie, gdzie mieszka LaRue, to ja już pójdę.

— Narysuję pani mapę.

—Więc pan wie, gdzie mogę go znaleźć?

— Proszę usiąść. — Wskazał stół.

— Dziękuję. Postoję.

Podszedł do zlewu i odkręcił wodę.

— Dlaczego pani szuka tego LaRue?

— Jest ekspertem od tetrodotoksyny. Nalał wody do szklanki i podał ją Elise.

— Pewnie chętnie się pani napije.

— Dzięki. — Wzięła szklanę. Naczynie wyglądało na czyste. Mężczyzna pokręcił się jeszcze trochę po kuchni, znalazł dzbanek do kawy, wyrzucił zawartość i napełnił go wodą z kranu. Wypijał i napełniał go dwa razy, aż wreszcie przyciągnął sobie krzesło do stołu.

Pogrzebał w śmieciach i oddarł róg szarej torby na zakupy. Zaczął szkicować na niej mapę.

— Bardzo łatwo się tu zgubić — wyjaśnił, rysując drogi grubymi, mocnymi kreskami. — Tu jest północ. — Wskazał górę skrawka. — Tu jest droga wzdłuż moczarów, którą pani przyjechała.

Wydawało się, że woda trochę go ożywiła. Jego ruchy nie były już tak niezborne, głos brzmiał jakby mocniej.

— Tu jest rozwidlenie, gdzie pani skręciła w prawo. Pamięta pani to miejsce?

— Powiedziano mi, że mam pojechać w prawo. Powinam była skręcić w lewo? — Elise uniosła szklanę do ust i wypła łyk. Potem drugi.

Facet patrzył na nią o wiele dłużej, niż pozwalały zasady dobrego wychowania.

— Nie — odparł w końcu.

— Nie? — Nie rozumiała.

I w tym momencie poczuła dziwne mrowienie na wargach, w ustach. To mrowienie przemieniło się w palącą falę gorąca, która spłynęła przetykiem aż do żołądka.

Pot buchnął z każdego poru jej skóry. Po chwili kropelka ciekła już po jej kręgosłupie, by wsiąknąć w pasek spodni.

Jakby z boku, z pozycji obserwatora, zobaczyła, że szklanka wyślizguje się z jej dłoni. Próbowwała zacisnąć palce mocniej, ale ciało jej nie usłuchało.

Szklanka roztrzaskała się na podłodze.

Elise ciężko było oddychać. Płuca nie chciały się rozprężyć.

Wyobraziła sobie, że unosi rękę do gardła, ale nie była w stanie tego zrobić.

Podłoga poruszyła się pod nią.

Pokój przechylił się. I przechylał dalej... aż jej twarz uderzyła o szorstkie drewno podłogi. Ciało, przyciśnięte do desek, zdawało się dziesięciokrotnie cięższe niż zwykle.

Oczy miała szeroko otwarte. Próbowwała mrugnąć powiekami, ale nie mogła.

LaRue — bo ten niechlujny facet przed nią to musiał być LaRue — ułożył się przy niej na podłodze, tak by móc patrzeć w jej otwarte oczy. Z twarzą kilka centymetrów od jej twarzy powiedział:

— Ja sam przekonałem się, że najlepszym sposobem na poznanie TTX jest osobiście doświadczyć jego działania.

Zrozumiała, że umrze.

Dziwne.

Z jakiegoś powodu cała ta sytuacja wydała jej się bardzo zabawna. Śmiałyby się, gdyby to było możliwe. A szkoda, bo przydałoby jej się porządnie pośmiać.

— Nie jestem tym, kogo się spodziewałaś, co? — zapytał LaRue. — Nie tak wyobrażałaś sobie absolwenta Harvardu? Nie szkodzi. Nie musi ci być głupio. Nigdy nie byłem taki, jakim chcieli mnie widzieć ludzie. Nie wezmę tego do siebie.

Wiedziała, że ludzie często przypominali kameleony — ciągle się zmieniali i stanowili tajemnicę nawet dla samych siebie. Miała ochotę przeprosić, wyjaśnić, że to nie wygląd czy warunki życia ją zmyliły, ale jego wiek. Spodziewała się kogoś o wiele starszego.

— Zamknij oczy — powiedział, wciąż leżąc na podłodze obok niej. Wyciągnął rękę i końcami palców na siłę zamknął jej powieki.

— Nie walcz z tym. Opór tylko pogarsza sprawę. Po prostu zamknij oczy i rozkoszuj się jazdą. Właśnie tak.— Jego głos był kojący, kierował nią, prowadził przez nowe obszary. Jej własny Timothy Leary. — No proszę. Tak lepiej, prawda? O wiele lepiej. Pierwszy raz jest najtrudniejszy, bo nie wiesz, czego się spodziewać, i zdychasz ze strachu. Trochę jak z seksem — stwierdził ze śmiechem. — Drugi raz będzie lepszy. Zobaczysz. Drugi raz?

Poczuła coś z boku twarzy. Nie umiała określić tego doznania, ale w końcu zrozumiała, że on głaszcze ją po zdrętwiałym policzku. Mamro-

tał do niej uspokajające bzdury, szeptał słowa, które miały ją ukoić, niemal zahipnotyzować — jakby próbował złagodzić złą jazdę po kwasie.

Podziałało. Zaczęła się odprężyć. Odpływała ze swojego ciała, w górę, pod sufit, skąd widziała siebie na podłodze, James LaRue leżał u jej boku, z jedną zgiętą ręką pod jej głową, głaszcząc ją po policzku.

— To jak zabawa w umieranie, prawda? — szepnęła uwodzicielsko. Patrzyła w dół, na nich oboje, ale jego słowa łaskotały ją w ucho, poruszały jej włosy.

— Tak blisko prawdziwej śmierci jak tylko może być żywy człowiek.

Był szalony. Kompletnie, totalnie szalony.

— Przestań walczyć — namawiał. — Musisz przestać walczyć. Przestała.

## Rozdział 25

Elise wierzgnęła nogami i przebiła się na powierzchnię czarnej, białej wody. Stęchły powiew musnął jej policzek. Hipnotyczne kumkanie żab dobiegało falami jej uszu.

Padła twarzą do góry na brzegu i leżała tak, dysząc ciężko. Łopatki wiatraka krążyły nad nią, przepychając z wysiłkiem ciężkie, zastałe powietrze.

Była tam, gdzie leżała przez cały czas. W kuchni, w chacie Jamesa LaRue, na drewnianej podłodze, gniotącej ją w łopatki.

Sprawdziła, jak sprawuje się jej ciało. Uniosła głowę na kilka centymetrów i opuściła ją z powrotem. Przesunęła ręką i usłyszała szuranie czegoś twardego. Mętnie przypomniała sobie stłuczoną szklanę.

LaRue. Gdzie on jest? Wciąż otumaniona automatycznie sięgnęła do pistoletu. Był na miejscu. Niezgrabnie wsunęła rękę pod żakiet.

Narkotyki powodował, że wciąż jeszcze jej ruchy były niezborne. Przez chwilę szamotała się z zatrząskiem skórzanej kabury, zanim

wreszcie uwolniła broń. Przekreśliła się na bok i z trudem usiadła, podpierając się jedną ręką.

Nagły ruch wywołał falę mdłości.

Wyteżyła słuch. W uszach jej dzwoniło. Z pistoletem w dłoni rozejrzała się wokół siebie i z trudem dźwignęła na nogi. Pistolet drżał w jej ręce.

— LaRue? — wychrypiała słabo.

Powoli obeszła chatę, upewniając się, że łazienka i sypialnia są puste; drzwi trzaskały, kiedy powłócząc nogami, przechodziła z jednego pomieszczenia do drugiego. Wróciła do kuchni i wyjrzała na dwór.

Jej samochód stał na miejscu.

Pomacała w kieszeni i wyczuła nierówną powierzchnię kluczyków.

Palce miała lepkie.

Uniosła rękę i zobaczyła odłamek szkła wbity w dłoń, między stawami dwóch palców. Wyjęła go i otrząsnęła szklane okruchy z zakietu. Na podłodze, w miejscu, gdzie leżała, widać było zaschniętą krew.

Dała się podejść temu ćpunowi.

Co za wstyd.

Chciała pojechać do domu, wziąć prysznic, wśliznąć się do łóżka. Zmusiła się jednak do jeszcze jednego obchodu po domu LaRue. Bez nakazu przeszukania nie mogła niczego dotykać. Musiała się powstrzymywać, żeby nie otworzyć książek na regałach pod ścianami i nie przeczytać jego e—maili.

Zadzwoiła jej komórka.

Wyjęła aparat i gapiła się na niego tępo przez nieokreślony moment, zanim wreszcie podniosła go do ucha.

Gould.

Sygnal był słaby, jego głos ginął co chwilę.

— Gdzie ty jesteś, do cholery? — zrozumiała w końcu.

— Tam, gdzie mieszkają gobliny... — Z jej ust wyszedł ochrypły szept.

— Co? Nie słyszę cię.

Zaczął mówić coś, że próbował ją złapać przez całe popołudnie. Spojrzała na zegarek. Straciła cztery godziny.

Wskaźnik sygnału spadł z jednej kreski do zera i telefon zamilkł.

Spróbowała oddzwonić do Goulda, ale nie mogła się połączyć. Zamknęła telefon i wrzuciła go do kieszeni.

Zmarnowała tyle czasu.

Wsunęła pistolet do kabury, zostawiając rozpięty pasek zabezpieczający i zakiet. Zanim wyszła z domu, zebrała kilka kawałków rozbitej szklanki i owinęła je w fałszywą mapę, którą narysował LaRue.

W końcu wyszła na ganek i przeszukała wzrokiem otoczenie. Czy on tam gdzie był? Obserwował ją? Czekał, aż odjedzie?

Opony były w porządku. Nie przeciął ich ani nie spuścił powietrza.

Z owiniętymi w papier odłamkami szkła wsiadła za kierownicę.

Robiło się późno.

Niedługo będzie ciemno.

Zablokowała drzwi i zmusiła się, by jechać przed siebie z rozsądną prędkością. Młodości minęły i wydawało jej się, że umysł ma jasny, aż nagle ocknęła się półprzytomna, z głową na kierownicy, na środku pustej drogi, nie mając bladego pojęcia, jak długo tu stoi.

Włączyła klimatyzację na maksimum, kierując wylot powietrza na twarz, i ruszyła dalej, do Savannah. W pewnej chwili zatrzymała samochód i wyjęła komórkę. Sygnał był silny. Odsłuchiwała chyba z dzieśnięć wiadomości od Goulda, zostawianych przez całe popołudnie. W ostatniej zawiadamił, że jedzie do domu, i prosił o kontakt, kiedy tylko odbierze wiadomość.

Zadzwoiła na jego komórkę, potem na stacjonarny, ale i tu, i tu odezwała się poczta głosowa.

Była w jego mieszkaniu tylko raz, ale Świętą Marię od Aniołków łatwo było znaleźć. Mieszkańcy Savannah znali ten dom. Tę ponurą, przemawiającą do wyobraźni budowlę z mroczną przeszłością, na samym skraju starego miasta.

Czas zachowywał się dziwnie; Elise wydawało się, że ledwie podjęła decyzję, by pojechać do Goulda, a już była na miejscu — wjeżdżała na parking przyległy do trzypiętrowego budynku.

Zapadła ciemność.

Nie było gwiazd.



Przy frontowych drzwiach Elise odszukała nazwisko Goulda na domofonie i zadzwoniła do jego mieszkania.

Żadnej odpowiedzi.

Oparła się o kamienną ścianę i zamknęła oczy. Nogi jej się trzęsły. Dlaczego tu przyjechała? Dlaczego nie pojechała na komendę?

Nie była w stanie myśleć.

Spać. Chciała tylko spać. Czy w ogóle zdoła dojść z powrotem do samochodu? Czy zdoła dojechać do domu?

Wcisnęła guzik jeszcze raz... i nie puszczała.

Z domofonu zaskrzeczał głos.

— Słucham. Gould. Wkurzony.

Elise pochyliła się do głośnika. — Wpuść mnie.

— Elise? — Jego rozdrażnienie zniknęło, ustępując miejsca zdziwieniu. — Byłem pod prysznicem. Wchodź na górę.

Drzwi zabrzczały i Elise wtoczyła się do środka. Wjechała windą na drugie piętro i ciemnym korytarzem, z wykładziną i kinkietami na ścianach, dotarła do drzwi z numerem 335. Nie były zamknięte na klucz.

Kiedy weszła do środka, usłyszała szum prysznica. Obok jej stóp na drewnianej podłodze widniała kałuża wody. Jedyne oświetlenie stanowiła lampka pod okapem kuchenki. Gdzieś niedaleko mrucał okienny klimatyzator.

Było to narożne mieszkanie, które w ciągu dnia pewnie byłoby jasne, gdyby okien nie zasłaniał bluszcz. Elise zauważyła pluszowy fotel na biegunach, ruszyła w jego stronę i zapadła się weń, z głębokim westchnieniem przechylając głowę do tyłu.

Coś wylądowało jej na kolanach. Zerknęła w dół i zobaczyła syjamską kotkę Goulda. Jak ona miała na imię?

Kotka zaczęła głośno mrużyć. Elise pogłaskała miękkie futerko i zamknęła oczy.

Cóż za urocze, spokojne miejsce...

David wytarł się, włożył koszulkę i džinsy, wrócił do salonu. Elise siedziała w ciemnym kącie; Isobel na jej kolanach mruzczała jak niewiedzona. W tej małej scenie było coś kojącego, wręcz domowego.

Otworzył lodówkę.

— Chcesz piwo? — zapytał przez ramię. Wymamrotała coś przecząco.

— Colę? Kolejna odmowa.

— Mam parę nowych wiadomości. — Wyjął dietetyczną colę, otworzył ją i napił się. — Były jeszcze cztery potwierdzone przypadki zatruc w ciągu ostatniego roku i wszystkie przypisano niezidentyfikowanym toksynom. Każdy miał miejsce pod inną jurysdykcją, więc nikt nie porównywał notatek.

Usiadł na stołku przy kuchennym blacie, z jedną bosą stopą opartą na poprzeczce. Od Elise dzieliła go cała długość niewielkiego mieszkania.

— Jeśli sprawa nie trafia do sądu, większość kostnic po pewnym czasie likwiduje próbki krwi i tkanek, ale poprosiłem, żeby to sprawdzili na wszelki wypadek. Jeśli znajdą coś, na przykład wycinek wątroby, sprawdzą go jeszcze raz pod kątem szerszego spektrum toksyn i dadzą nam znać.

Wypił kolejny łyk coli.

— Alkohol też może być zabójczy. Jeśli trafiał im się alkoholik z uszkodzoną wątrobą, najprawdopodobniej nie szukali dalej, zakładając, że umarł z powodu ostrego zatrucia alkoholowego.

Jego partnerka wydawała się kompletnie niezainteresowana tymi rewelacjami.

— Nie pamiętam imienia twojego kota.

— Isobel.

— Isobel. Ładne imię.

— Zapomnijmy na chwilę o kocie. Gdzie byłaś?

— Na spotkaniu z ekspertem od TTX.

— Beze mnie?

— Zły pomysł. Wiem.

— Pomoże nam? Podał ci jakieś informacje, które mają związek ze sprawą?

— Nie zdążyliśmy o tym porozmawiać.

David zmarszczył brwi. Czy ona nie zachowywała się trochę dziwnie? Trochę jakby nieprzytomnie? —Więc co się stało? Co powiedział?

— Dał mi się napić wody.

Bujała się i nie przestawała głasnąć kota.

— Z perspektywy widzę, jaka byłam głupia, przyjmując tę wodę, bo zdaje się, że zażyłam tetrodotoksynę.

Wszystko się zatrzymało. David powtórzył w głowie jej ostatnie zdanie. „Zdaje się, że zażyłam tetrodotoksynę”. Właśnie tak powiedziała. Dokładnie to.

Odstawił puszkę z colą i szedł ze stołka. Rzadko używał sufitowego światła, bo w jego oślepiającym i bezlitosnym blasku mieszkanie wyglądało łyso i wstrętnie. Teraz jednak zapalił lampę.

Elise uniosła rękę, by osłonić twarz.

— Możesz to zgasić?

Przeszedł przez pokój i kucnął przy niej, skoncentrowany do bólu.

— Powiedz mi, co się stało — powiedział spokojnie.

Kotka miauknęła cicho, zaniepokojona, zeskoczyła z kolan Elise i zniknęła w korytarzu.

— Przestraszyłeś Isobel — zbesztła go Elise.

Miała rozcięty grzbiet dłoni. Rana już nie krwawiła, ale wyglądała, jakby potrzebowała szwów.

— Dlaczego nic nie powiedziałaś? — Wziął ją za rękę. — Skąd to masz?

— Wypiłam tylko łyk. Upuściłam szklanekę. Rozbiła się. Upadłam na nią. To właśnie się ze mną działo, kiedy dzwoniłeś. Leżałam sparaliżowana.

—Jezu.

Ostre światło wciąż jej przeszkadzało. Mrużyła oczy od blasku.

David ujął jej podbródek, przyjrzał się jej twarzy i zajrzał w oczy. Policzki, otoczone ciemnymi włosami, były popielate. Nawet wargi nie miały koloru.

Wyrwała się.

— Masz rozszerzone źrenice.

— Mój organizm jest w prozku, ale nie jestem naćpana. Kiwnął głową. Wyglądała na przytomną. Wykończoną, ale przytomną.

— Powinnaś być w szpitalu.

— I pozwolić, żeby dziennikarze zwietrzyli tę historię? Nie, dziękuję. Nic mi nie jest.

Chciał jej wierzyć.

— Ta rana może potrzebować szwów. Spojrzała na swoją dłoń, obracając ją do swada.

— Myślisz?

— Złożyłaś raport?

— Jeszcze nie. — Pokręciła głową.

— Gdzie jest teraz LaRue?

— Nie wiem. Nie było go, kiedy narkotyk przestał działać po czterech godzinach.

Emocje Davida były wyłączone tak długo, że teraz, kiedy ogarnęła go fala rozpacz i gniewu, nie wiedział, jak sobie z nią poradzić.

Zerwał się na nogi i odwrócił, by ukryć twarz. To prawdziwe zderzenie z twardą rzeczywistością. Gdyby LaRue wszedł w tej chwili do pokoju, David by go zabił.

Intensywność tej reakcji przstraszyła go.

Weź się w garść, Gould. Skup się. Odłóż to na chwilę na bok i zrób, co musisz zrobić.

Odetchnął głęboko i odwrócił się do Elise.

— Elise... — Umilkł. Przełknął ślinę i zapytał: — Potrzebujesz zastawu dla ofiar gwałtu?

Zrobiła zaskoczoną minę, jakby jej to nie przyszło do głowy.

— N—nie.

— Jesteś pewna? Pamiętasz, co się działo przez te cztery godziny? Zawahała się przez chwilę. — Tak... i nie.

Wysilała się, by jakoś to wszystko uporządkować. David wiedział, że zastanawia się nad możliwymi oznakami gwałtu.

— Byłam tam i nie byłam. — Myślała intensywnie. — Nie — powiedziała w końcu. — Nie *doszło do tego*.

— Okej. Całe szczęście. — Odetchnął z ulgą i trochę się odprężył. — Muszę cię zawieźć na komendę. Złożysz zeznanie. Trzeba złapać tego gościa. Zamknąć go. Jezu. To pewnie on morduje tych wszystkich ludzi.

— No nie wiem. To się wydaje zbyt oczywiste.

— Nie każda zbrodnia musi być trudna do wykrycia. Szczególnie jeśli sprawca jest pieprzonym idiotą.

Elise zamknęła oczy i oparła się o fotel.

— Za dużo gniewu — powiedziała głosem słabym ze zmęczenia. — Nie mam ochoty na kłótnie.

— Jasne. Przepraszam. — David uniósł ręce, jakby chciał udusić kogoś niewidzianego przed sobą. — Jestem zdenerwowany. — Opuścił ręce.

Przeszedł przez pokój, złapał słuchawkę telefonu i zaczął wciskać guziki.

— Chcę wysłać ekipę dochodzeniową do domu Jamesa LaRue.

Niech przeczesa... — Przerwał w pół zdania, słuchając osoby po drugiej stronie. Po chwili wszystko było już ustalone.

— Powinieneś tam pojechać i nadzorować rewizję — powiedziała Elise, kiedy się rozłączył.

— Zabieram cię na komendę. — Znów podniósł słuchawkę. — Nocna wizyta w domu LaRue to w sam raz robota dla Starsky'ego i Hutch'a.

Kiedy przekazał już Starsky'emu skróconą wersję wydarzeń, zapakował Elise do samochodu i zawiózł ją na komendę.

Nigdy nie siedziała po drugiej stronie biurka, na miejscu ofiary. To było dziwne, trochę surrealistyczne uczucie. Resztki narkotyku w organizmie nadawały wszystkiemu posmak snu na jawie. Kiedy już podpisała wszystkie wymagane formularze, odesłali ją do laboratorium kryminalistycznego, gdzie pobrano jej sześć fiołek krwi.

Gould czekał w pokoju socjalnym. Laboranci pobrali w tym czasie wymazy i próbki osadów z wnętrza jej ust, z warg, dłoni i różnych przypadkowych miejsc na ciele. Potem Elise zapakowano na piętnaście minut pod prysznic na wypadek, gdyby jakaś resztką TTX pozostała na jej skórze. Kiedy było po wszystkim, dostała komplet czystej

laboratoryjnej odzieży ochronnej, bo jej własne ubranie zatrzymano jako dowód.

Ściągające plasterki wystarczyły do opatrzenia dłoni.

W drodze do domu Gould skręcił do chińskiej restauracji. Zaparkował pod drzwiami, nie gasząc silnika. Wbiegł do lokalu. Pojawił się z powrotem po dwóch minutach, z białą torbą w ręce.

— Zrobiłem wcześniej zamówienie — wyjaśnił, wsiadając do samochodu i podając torbę Elise.

Kiedy dotarli do jej domu, usiedli na podłodze w salonie i zjedli posiłek wprost z papierowych pojemników.

Elise pozostała w zielonym uniformie, który dostała w laboratorium; włosy wciąż miała wilgotne po prysznicu. Gould ubrany był w dżinsy i koszulkę, którą wrzucił na siebie w pośpiechu. Włosy mu wyschły i sterczały na wszystkie strony.

Elise otworzyła swoje ciasteczko z wróżbą.

A, pomyślała. Mądrość ludowa numer 75. Dobre uczynki będą wynagrodzone. Powinna pisać wróżby. Na pewno wymyśliłaby o wiele lepsze.

— Do diabła — powiedziała. — Szkoda, że nie przeczytałam tego wcześniej.

Pałeczki Goulda zawisły w powietrzu.

— Czego?

Elise udała, że czyta ze skrawka papieru.

— Pałace pragnienie prowadzi do nadmiaru wiedzy.

David odłożył papierowy pojemnik i pałeczki i otworzył swoje ciastko z wróżbą. Wrzucił połowę do ust, rozprostowując maleńki pasek papieru.

— Mądry człowiek nie bierze cukierków od obcych.

— Ha, ha. — Wyjęła karteczkę z jego palców. — Zawsze musisz mnie zagiąć. Co tu jest naprawdę napisane?

Próbował jej odebrać wróżbę, ale odwróciła się tyłem, przyciskając paperek do brzucha.

— Przeszłość nigdy nie jest do końca przeszłością — przeczytała.

— Hm — mruknął Gould. — Ciasteczko z wróżbą, które parafrazuje Faulknera. Zdaje się, że dosłowny cytat brzmi: „Przeszłość nie umarła. Ona nawet nie jest przeszłością”.

— Myślisz, że to prawda?

— Niestety tak.

Było późno. Po północy.

— Gdzie sypiasz? — zapytał Gould, rozglądając się.

— Na górze. Na drugim piętrze. A co?

— Nie zostawię cię samej z TTX w organizmie.

— Daj spokój. — Myśl o Gouldzie nocującym w jej domu byk trochę dziwna. Zbyt szybko przeszli od „ledwie cię znam” do „zostaję na noc”.

Odezwał się telefon. Dzwonił szef ekipy dochodzeniowej, Abe Chilton.

— Jestem w tej chwili w domu LaRue — wyjaśnił. — Prawie skończyliśmy zabezpieczać dowody.

— Znaleźliście coś, co mogłoby być tetrodotoksyną? — zapytała Elise.

— Na razie nie. — Jakiś ślad po LaRue?

— Nic. A ty jak się miewasz? Chcesz, żebym przyjechał? Potrzebujesz towarzystwa?

— Mój partner tu jest — odparła.

— Gould? — zapytał zdziwiony Chilton. — Miej na niego oko. Słyszałem różne rzeczy.

Nie mogła uwierzyć, że i on przyłączył się do spisku. — Jakie rzeczy?

— Po pierwsze, że jest cholernie niezrównoważony.

Elise spojrzała na Goulda. Zbierał puste pojemniki po jedzeniu i upychał je do torby. W tej chwili wydawał się zrównoważony i poukładany jak tatusiek ze starego sitcomu.

## Rozdział 26

Krawędzie snu Elise były ciemne i zamazane, jakby patrzyła przez biektyw kamery bez głębi ostrości. Szła uliczką wzdłuż cegła—

nego, pokrytego graffiti muru. Po ziemi płynęła woda. Elise weszła w dziurę i zapadła się po kolana.

Latarnie były wyłączone i cała sceneria miała mroczną, apokaliptyczną atmosferę.

Poczuła, że coś ociera się o jej kolano. Spojrzała w dół i ujrzała pływające ciało, łagodnie objijające się o jej nogę. Trup zahaczył się, oplatając ramionami jej kostkę. Elise uwolniła się od niego i ruszyła dalej ciemną ulicą.

Teraz zauważyła, że sylwetki, które brała za niezapalone latarnie, były tak naprawdę ludźmi.

Jak w jakimś układzie choreograficznym, kiedy ich mijala, ruszali wraz z nią równym krokiem — aż cała ulica wypełniła się ciemnymi postaciami podążającymi ku rzece.

Co to miało znaczyć? Czowała, że odpowiedź jest gdzieś tam, we śnie. Gdyby tylko zdołała dotrzeć do rzeki...

Obudziła się, nagle uświadamiając sobie swoje otoczenie — sypialnię, łóżko, otwarte drzwi. Poduszkę pod głową.

David leżał w ciemności, wsłuchując się w dom Elise.

Czyżby spał? Nie sądził, ale nie był pewien. Gdzieś tykał zegar i mruczał niewielki silnik.

W zakurzonych korytarzach jej mieszkania pełno było ścian ze skutym gipsem, spod którego wyglądał drewniany szkielet. Bardzo mało mebli. Parę dywaników tu i tam, ale nie dość, by uciszyć echo.

Remont w toku.

Wyteżył uszy, nasłuchując jej oddechu. Cisza.

— Elise? — szepnął.

Żadnej odpowiedzi.

Zrzucił lekki koc i przewrócił się na bok na dmuchanym materacu, który ułożyli dla niego w rogu jej pokoju. W nieprzeniknionej ciemności dotknął jej łóżka.

Puste.

W poświęcie niebieskich nocnych lampek pokonał korytarz i zszedł schodami z krętą poręczą na parter. Przez chwilę stał u ich stóp. Świa-



tło z ulicy wpadało przez wysokie okna bez zasłon. Poczul dym papierosowy. Kierując się jego zapachem, ruszył do małego saloniku od frontu domu.

—Wchodź — powiedziała Elise z głębi pokoju.

Usłyszał pomruk gdzieś pod stopami i chłodny powiew trafił go w twarz. Włączył się centralny klimatyzator.

Pokój był ciemny. Trochę światła sączyło się przez firanki, rzucając jaśniejszą plamę na wzorzysty dywanik. Koniec papierosa żarzył się czerwono. Kiedy się zaciągnęła, jej twarz pojawiła się i po chwili na powrót zginęła w ciemności.

— Nie wiedziałem, że palisz.

— Bo nie palę.

Strzepnęła popiół do popielniczki.

—W każdym razie nie za dobrze. Robię to okazjonalnie.

— Dla zabawy?

— Nie całkiem. Raczej wtedy, gdy uda mi się wykiwać kostuchę.

—Ja bym raczej powiedział, że to zaproszenie dla niej. Mogę zapalić światło?

—Wolałabym nie.

Było dość jasno, by dostrzegł, że siedziała na fotelu, z gołymi nogami przewieszonymi przez poręcz, i miała na sobie jakiś bezkształtny szlafrok. Meble były ciemne i nieokreślone, rozsiane po pokoju jak jakieś dziwne formacje skalne.

David pomacał wokół siebie, aż trafił na kanapę, stojącą naprzeciw fotela. Elise wydawała się odległa o kilometr, kiedy tak siedziała, paląc w milczeniu.

— Mam ten dom od pięciu lat — powiedziała, — Ten salon i sypialnia mojej córki to jedyne pomieszczenia, które zdołałam wykończyć.

— Remont to piekielna robota.

— Zapał straciłam w momencie, kiedy zdałam sobie sprawę, że Audrey nie chce tu przychodzić. Niezależnie od tego, czy jej pokój jest zrobiony, czy nie.

Klimatyzator wyłączył się i dom ucichł.

Elise przysunęła sobie bliżej popielniczkę, strzepnęła papierosa, zaciągnęła się, znów strzepnęła.

— Życie jest pełne niespodzianek — powiedziała. Jej głos brzmiał trochę ochryple i gorzko. — Nie sądzisz?

— Zdarzają się rzeczy, na które nie sposób się przygotować.

— Niektórzy powiedzieliby, że właśnie dlatego warto żyć.

— Mnie los przygotował kilka niespodzianek, których nikomu nie życzę — przyznał David niechętnie.

— Na przykład?

— Nie chcę o tym mówić.

— Naprawdę? Ja odkryłam, że ciemność pozwala mi mówić rzeczy, do których nie przyznałabym się w dziennym świetle.

— Ja jestem tym samym człowiekiem w dzień i w nocy.

— Więc nie jesteś zbyt tajemniczy.

Zgasiła papierosa. David widział, jak żar rozpada się na kilka mniejszych okruchów czerwieni i gaśnie.

Wzruszył ramionami, choć było zbyt ciemno, żeby mogła to zobaczyć.

— Jestem nudnym facetem.

Roześmiała się.

— Ty tylko chcesz, żeby ludzie tak myśleli.

Zachowywała się dziwnie. Ale niby czemu nie, po tym, co przeszła? I z tym, co wciąż krążyło w jej organizmie.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Nie mogłam spać. Dam ci małą radę, nigdy nie uczynaj sobie czterogodzinnej drzemki. Kompletnie rozwała człowieka.

Co ty powiesz. Sen nieczęsto pukał do jego drzwi.

— Należę do kółka analizy snów — powiedziała. — Spotykamy się dwa razy w miesiącu.

— Jak dla mnie to trochę za bardzo w stylu new age.

— Niektórzy uważają, że poprzez sny można zobaczyć przyszłość. Ja w to nie wierzę, ale myślę, że dzięki nim można dostać się do własnej podświadomości. Chciałabym umieć wykorzystywać sny do rozwiązywania problemów. Może nawet spraw kryminalnych.

— Jak chciałabyś to robić?

— Zanim idziesz spać, zadajesz sobie pytanie albo koncentrujesz się na zagadce. I czasami odpowiedź zjawia się podczas snu. Ale zawsze przychodzi z twojego wnętrza.

Kiwnął głową.

— To nawet do rzeczy. Próba okiełznania mocy swobodnie działającego umysłu.

Umilkła na chwilę. Zapalką przypaliła następnego papierosa i strzepnęła płomyk.

Naprawdę wolałby, żeby nie paliła.

Obserwował koniuszek jej papierosa. Nie mógł oderwać od niego oczu.

— Nie powinnaś palić. To ci szkodzi. Zaciągnęła się; żar na sekundę rozświetlił jej twarz.

— I ty to mówisz? Facet, który sam się niszczy? Co cię gryzie, Gould? Dlaczego odszedłeś z FBI?

David zrozumiał, że się ukrywał. Że to nowe życie — Savannah, komenda, Elise — przynosiło mu pociechę. Bo to nowe życie nie miało nic wspólnego ze starym.

A jednak. Wcześniej tego nie rozumiał. Wszystko łączyło się ze sobą.

Nagle zrozumiał, że chce jej o wszystkim powiedzieć. Nie dlatego, że było ciemno i to ułatwiało sprawę. Uważał, że powinna wiedzieć.

Mogę się rozplakać. Rozplakać jak dziecko. Co ona sobie o tym pomyśli?

Serce waliło mu w piersi tak mocno, że koszulka poruszała się w rytm jego uderzeń.

W końcu jednak powiedział. Bo to była jedyna metoda na radzenie sobie z takimi sprawami. Powiedział Elise o swojej byłej żonie. A potem wypowiedział słowa, które często słyszał w głowie, ale nigdy nie przekładał ich na dźwięki.

— Znalazłem mojego syna martwego. W wannie. Utopionego. Ona to zrobiła. Moja żona. Zamordowała go z premedytacją.

Przez długą chwilę Elise nie odpowiadała. Bo co można było powiedzieć? No co? Cisza była lepsza niż kłamstwa czy słowa, które nic nie znaczyły

Za oknem przejechała zamiatarka. Savannah miało najczystsze ulice w tym cholernym kraju — i najbrudniejsze brudy po kątach. Ha, ha, pomyślał David. Kto powiedział, że straciłem poczucie humoru?

— Dlaczego nigdy o tym nie słyszałam? — zapytała w końcu. Jej głos brzmiał normalnie.

Dzięki Bogu. Bo gdyby był zdławiony, gdyby mu powiedziała, jak jej przykro i że to straszna tragedia, rozkleiłby się kompletnie. A nie chciał tego.

—Wiesz jakie jest FBI. — Z trudem zdobył się na nonszalancki ton. — Nie chcieli, żeby cokolwiek rzuciło na nich złe światło, więc wszystko zakamuflowali. Beth używała panińskiego nazwiska. Moje nigdy nie trafiło do mediów. Nic się nie wydarzyło, a przynajmniej nie mnie.

I nikt nie musiał wiedzieć, że w ogóle miał syna.

— Dzięki, że mi powiedziałaś — rzuciła cicho.

— Nie chcę twojego współczucia. — Błagam, Boże. Tylko nie to. —  
Wiem.

Czyjeś głos się załamał? Tak odrobinę?

Nie rób tego. Potrafię wyć jak głupi, kiedy już raz zacznę. Potrafię ryczeć w nieskończoność.

— W pracy wszystko po staremu? — zaproponował z nadzieją.

— W pracy wszystko po staremu.

Elise słyszała, jak zamiatarka skręca za róg — dźwięk uspokajał, brzmiał jak równy oddech miasta, które w ciszy strzegło śpiących mieszkańców.

Ukrywanie przed wszystkimi tego, co się stało, nie mogło być zdrowe. Davidowi odmówiono prawa do żałoby. Jego skłonność do autodestrukcji nagle stała się zrozumiała. Aspołeczne zachowanie. Picie. Jego reakcje u Straty Luny. Rozmowa z kobietą, która też znalazła ciało swojego utopionego dziecka.

Elise mogła teraz nawet zrozumieć, dlaczego wynajął prostytutkę. To było nawet szlachetne, na swój pokręcony sposób. David tęsknił do

kontakty z ludzką istotą, ale wiedział, że nie może dać niczego z siebie — więc wezwał kogoś, kto niczego nie oczekiwał. Tyle tylko, że jego plan nie wypalił. Bo Florę Martinez przyciągnęły jego smutek i rozpacz. Kobiety, nawet prostytutki, szukały mężczyzny, którego mogłyby niańczyć i leczyć.

— Człowiek cały czas próbuje to sobie jakoś poukładać — powiedział zdławionym głosem. — Ciągłe szuka czegoś, co nadałoby temu choć trochę sensu, ale niczego takiego nie ma.

Elise pomyślała o tym, co powiedziała Strata Luna tamtego popołudnia na cmentarzu. O złu, które nie potrzebuje powodu do istnienia. To była prawda.

— Zamordowanie dziecka nigdy nie będzie miało sensu — odparła. Musiał wyczuć współczucie w jej tonie.

— Nie użalaj się nade mną — powiedział cicho. — Nie chcę, żebyś się nade mną użalała.

— Nie będę — skłamała. Zastanawiała się, jaki był przedtem.

— Kiedyś byłem inny — powiedział. — Zabawny.

— Cały czas jesteś zabawny.

— Mnie nie chodzi o „zabawnie dziwny”.

— Mnie też nie.

— Ta historia z Florą. Powiem jej, że nie mogę się z nią więcej spotykać. Może to był dla niego punkt zwrotny.

— Nie byłem zbyt dobrym partnerem — przyznał smutno.

— Byłeś w porządku. — Mówiła szczerze.

— Na przykład ta twoja samotna wycieczka do LaRue. To się nie powinno zdarzyć.

— Już po wszystkim. Przeżyłam. A poza tym to była moja decyzja.

— Zaczę się bardziej starać — obiecał. — Od tej chwili. Przyrzekam. — Umilkł na chwilę, zastanawiając się nad czymś. — Będziemy dobrym zespołem — powiedział z nagłym entuzjazmem. — Skopujemy tyłki Starsky'emu i Hutchowi.

## Rozdział 27

Jak się czujesz? — zapytał David. Siedział przed swoim laptopem, przy stole w kuchni, gdzie oboje z Elise spędzili długie godziny przed świtem, urządzając sobie burzę mózgów.

Elise stała oparta biodrami o porcelanowy zlew. Odstawiła kubek z kawą na blat z niebieskich kafelków i posłała mu pełen determinacji uśmiech, który najwyraźniej miał uciąć jego wszelkie ewentualne protesty. Bo prawdę mówiąc, wyglądała koszmarnie. Ale nie koszmarnie w złym sensie, raczej jak Virginia Woolf.

Zawsze pociągały go kobiety z podkrążonymi oczami.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zadzwoniła jego komórka.

— Właśnie się dowiedziałam — powiedziała major Hoffman z troską w głosie. — Jak się czuje detektyw Sandburg?

— Proszę, niech pani sama z nią porozmawia. — David podał telefon Elise.

Podśłuchiwał, kiedy zapewniała przełożoną, że czuje się dobrze i nie potrzebuje wolnego dnia. Po długiej chwili milczenia i przewracania oczami się rozłączyła.

— Kłopoty?

— „Poranne Wiadomości z Savannah” chcą dziś rano zrobić wywiad z detektywem prowadzącym sprawę TTX.

— Dlaczego rzeczniczka prasowa nie może się tym zająć? To jej praca.

Elise oddała mu telefon.

— Nie mam nic przeciwko temu. W ten sposób będę mogła kontrolować informacje, które ujawnimy opinii publicznej.

David zamknął komputer.

— Nie ma to jak spotkanie z dziennikarzami na dobry początek dnia.

Elise poszła na górę, żeby się przebrać. David usiłował doprowadzić się do porządku w łazience na parterze. Niezbyt mu się to udało.

Ochlapał twarz wodą. Przetarł pachy myjką. Potrzebował prysznic i maszynki do golenia.

Tęsknie — i trochę podejrzliwie — spojrzął na dwie szczoteczki do zębów w kubku na umywalce. Jedna była czerwona. Druga miała rączkę w kształcie aligatora. Po chwili namysłu otworzył drzwi łazienki. Nabrał oddechu, by krzyknąć do niej z zapytaniem o szczoteczkę, ale nagle Elise pojawiła się tuż przed nim.

— Masz zapasową szczoteczkę? — spytał normalnym tonem. Prze-cisnęła się obok niego, otworzyła szufladę i wręczyła mu nową szczoteczkę w opakowaniu. — Jestem twoim dożywotnim dłużnikiem.

— Oczywiście.

Dwie minuty później wychodzili z domu. Mieli jeszcze wstąpić do Świętej Marii. David chciał włożyć jakieś czyste rzeczy, a Elise za-brać swój samochód.

Właśnie otwierała drzwi, gdy zobaczyła coś, co sprawiło, że stanęła jak wryta. David wpadł na nią i spojrzął nad czubkiem jej głowy.

Na schodku stał schludny mężczyzna w spodniach khaki i białej ko-szulce polo. Obok niego — dziewczynka, mniej więcej trzynastolet-nia, ze słuchawkami na szyi, plecakiem w kształcie pandy, pluszowym słoniem pod pachą i discmanem w dłoni.

Audrey, córka Elise. David spotkał ją raz. Nie, dwa razy. Matka i córka wyglądały teraz bardzo podobnie. Obie miały ten sam podejrz-lywy wyraz twarzy.

David miał na sobie pomiętą koszulkę, stare džinsy i był nieogolony. Ojciec i córka wyglądali, jakby właśnie zeszli z reklamy sklepu z odzieżą. Ich ubrania były świeżutkie i nowe. Strategicznie powyciera-ne džinsy Audrey były drogie, a jej oślepiająco białe buty do biegania nigdy nie były używane do tego celu.

Elise zachłysnęła się, jak ktoś, kto tuż po starcie samolotu przypo-mniał sobie, że nie zgasił gazu.

— Audrey! — Chwyliła powietrze. — Thomas.

Spojrzenie mężczyzny przesunęło się z niej na Davida. I tak już po-zostało.

— Zapomniałaś, że Audrey dzisiaj przyjeżdża? — zapytał zakłopotanym tonem, ze zmarszczonymi pytająco brwiami. Z trudem zmusił się, by oderwać oczy od Goulda i spojrzeć na Elise.

David był zafascynowany. Więc to jest były mąż Elise. Boże. Nic dziwnego, że go zostawiła. Nasuwało się raczej pytanie, co w ogóle kiedykolwiek w nim widziała?

David nie mógł przestać się gapić.

Facet był niemal ładny, ale Elise nie wyglądała na taką, która polecałaby na ładną buźkę.

No i Audrey...

Trzyście lat. David szybko to sobie wyliczył — Elise musiała ją urodzić, kiedy miała jakieś siedemnaście, osiemnaście lat. Niebezpieczny wiek. Głupi. Wiedział coś na ten temat.

— Nie zapomniałam — zapewniła. — Oczywiście, że nie zapomniałam. Spojrzenie Thomasa wciąż ześlizgiwało się na Davida.

On myśli, że ze sobą sypiamy, zorientował się David. To było cholernie zabawne. Gdyby nie było tu córki Elise, trochę by go podkręcił. Ale w tej sytuacji wyjaśnił wszystko jasno i zwięźle.

— To — wskazał palcem na siebie i na Elise — to wyłącznie zawodowe sprawy.

Jego partnerka była zbyt wytrącona z równowagi faktem, że zapomniała o wizycie córki, by zauważyć reakcję Thomasa na widok Davida. Teraz pospiesznie go przedstawiła.

— Ale nie ma jeszcze siódmej — wytknął im Thomas, wciąż pełen podejrzeń. — I gdzie jest twój samochód? Nie widziałem go, kiedy parkowałem. Chyba go nie ukradli? Mówiłem ci, że to fatalna dzielnica. Za każdym razem kiedy patrzę na mapę przestępczości w „Porannych Wiadomościach z Savannah”, stare miasto aż się roi od włamań i napadów.

— Mój samochód ma się świetnie.

Powie im, co się stało? — zastanawiał się David. Wyjasni im, dlaczego tu się znalazł i dlaczego jej samochód jest u niego?

— Pracowaliśmy nad sprawą... — powiedziała Elise. Thomas zmarszczył brwi, uważnie przyglądając się jej twarzy. — Wyglądasz na wykończoną. Myślałem, że miałaś trochę zwolnić.



—Wiem, wiem. Tylko że mamy taką... sytuację...

— Zawsze jest jakaś sprawa. Zawsze jest jakaś sytuacja. Dezaproba-  
ta i podejrzliwość zniknęły. Została tylko troska. Kurczę, ten facet ją  
ciągle kocha, stwierdził David. Nie rozumie jej, ale ją kocha. Jego  
zdanie o Thomasie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni.

— Co ci się stało w rękę? — zapytał Thomas.

— Skaleczyłam się. — Elise schowała dłoń za siebie. — To dro-  
biazg.

— To ta sprawa z wudu i zombi? — zapytała Audrey z okrągłymi  
oczami.

— Nie chodzi o wudu — odparła Elise. — I nie ma żadnych zombi.

— Dzieciaki w szkole mówią, że ktoś zamienia ludzi w zombi. — To  
nieprawda.

— Absolutnie nieprawda. — David, kręcąc głową, wtrącił swoje trzy  
grosze, by ją wesprzeć.

— Wczoraj jedna dziewczyna zemdląła na WF—ie i wszyscy zaczęli  
świrować. Powiedzieli, że zamieniła się w zombi. A chłopaki chodzą  
po szkole, trzymając się za nadgarstki, i wrzeszczą: „Nie mam pulsu!  
Nie mam pulsu!”

— Dość tego, Audrey — przerwał jej Thomas. — Pamiętaj, co ci  
mówiłem.

Chwilowe ożywienie dziewczynki zniknęło.

— Przepraszam, tato — powiedziała. Ramiona jej się przygarbiły.

— Dokąd się teraz wybierasz? — zapytał Thomas Elise.

— Na komendę.

Audrey wydała niski jęk pod tytułem „już się nudzę”.

— Możesz pojechać z nami — powiedziała Elise z tym sztucznym  
entuzjazmem, którego używają matki, kiedy wiedzą, że dziecko nie  
ma najmniejszej ochoty na to, co mu się proponuje. — Kupimy po  
drodze chrupiące kremówki. Uwielbiasz je. Urządzimy sobie piknik  
na cmentarzu.

Cały czas stali na ganku i dolatywał ich wstrętny zapach z wytwórni  
drzewnej pulpy. David miał wrażenie, że smród na stałe zadomowił  
się w jego zatokach. Słyszał, że wiele lat temu opary dosłownie zżera-  
ły

lakier z samochodów. Jeszcze jedna z uroczych plotek o Savannah, której jakoś nikt nie potrafił poprzeć dowodami.

— Nie chcę jechać na komendę.—Audrey spojrzała błagalnie na ojca. — Muszę?

— Audrey...

—Tato. —Wykręciła stopy i stanęła na zewnętrznych krawędziach butów. — Proszę.

Wpatrywała się w niego, jakby próbowała się z nim porozumieć telepatycznie. Kiedy jej się to nie udało, musiała wypowiedzieć słowa na głos, szepcząc przez zaciśnięte zęby:

— Pamiętasz, co mi mówiłeś w domu?

Nagle stało się żenująco jasne, że w ogóle nie chce odwiedzać matki. Przyjechała tylko dlatego, że ojciec jej kazał.

David stał tuż za Elise, trochę po prawej. Nie widział jej twarzy, ale czuł, jak zeszywniała.

Położył rękę na jej ramieniu.Thomas dostrzegł ten ruch i zagapił się na jego dłoń. David opuścił rękę.

— Może innym razem — powiedział Thomas. — Kiedy będziesz mniej zajęta.

Audrey odprężyła się, twarz jej pojaśniała. Spojrzała na ojca z wdzięcznością.

— Pewnie masz rację — odparła Elise drewnianym głosem. — Kiedy będę mniej zajęta.

— Zadzwońię do ciebie. — Thomas wyciągnął rękę do Audrey. — Chodź, kochanie. Mama musi iść do pracy.

Audrey obróciła się na pięcie i ruszyła do samochodu. Plecak w kształcie misia pandy podskakiwał w rytm jej kroków. Byli w połowie chodnika, kiedy Thomas pochylił się do niej i coś powiedział. Audrey odwróciła się i pomachała do nich.

— Cześć, mamó. Do widzenia, panie Gould!

Dogoniła ojca, a potem minęła go, pędząc do białego suva zaparkowanego przy krawężniku. Elise patrzyła za odjeżdżającym samochodem.

— Odroczenie egzekucji.

— Pewnie umówiła się z kolegami — powiedział David, szukając czegoś, co mogłoby ją pocieszyć. — W tym wieku koledzy są ważniejsi niż rodzina. Rodzina się w ogóle nie liczy.

Elise nie odpowiedziała. Odwróciła się tylko i zamknęła drzwi na klucz. Miał nadzieję, że się nie rozplacze.

Nie cierpiał, kiedy kobiety płakały. Czuł się wtedy bezużyteczny. I cierpiał. A nie lubił cierpieć.

— Och, cholera, cholera, cholera! — krzyknęła, kiedy dotarła do ulicy i zobaczyła jego samochód.

Okno od strony kierowcy było wybite. David zajął do środka. Odtwarzacz CD zniknął.

— Cholera, cholera, cholera!

Tupiąc ze złości, zatoczył koło, po czym wrócił do samochodu. Nie. Nie wyobraził sobie wybitego okna.

— Do cholery, co jest z włamaniami w tym mieście? Thomas miał rację. Macie tu problem, ludzie. Prawdziwy problem. I to pod oknem policjantki. To dopiero bezczelność!

— Rób to, co ja — odparła spokojnie Elise, jakby takie rzeczy zdarzały się każdego ranka. Może się zresztą zdarzały?

— To znaczy?

— Nie kupuj nowego odtwarzacza i przestań zamykać samochód. Dzięki temu nie tłuką okien.

— Mam podporządkować swoje życie wygodzie przestępców? To wariactwo.

— Ale skuteczne.

— Jeszcze dzisiaj zadzwonię do mojej ubezpieczalni. Każę wstawić nowe okno i odtwarzacz. I alarm. Spojrzała na niego sceptycznie.

— Och, domyślałam się, że wycie alarmów samochodowych brzmi tu jak kołysanka.

— Chciałam powiedzieć, że jak cykanie świerszczy.

Strzepał z siedzenia pokruszone szkło i przykrył fotel ręcznikiem wygrzebanym z bagażnika. Po dwóch minutach jechali już do jego mieszkania.

David odruchowo sięgnął do radia i pogroził pięścią czarnej dziurze, gapiącej się na niego z deski rozdzielczej. Lubił posłuchać lokalnej stacji w drodze do pracy, by zorientować się, co się dzieje w mieście.

— Musiałaś wyjść za mąż, tak? — zapytał, odrywając oczy od zatłoczonej ulicy, by zerknąć szybko na profil Elise.

— Musiałam wyjść za mąż? Z jakiej epoki ty tu trafiłeś? Dziś nikt już nie musi wychodzić za mąż.

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Bawi cię to?

— Jestem zaskoczony, nie rozbawiony. Robisz wrażenie osoby, która dokładnie wie, czego chce. I która nie popełnia błędów.

— Audrey nie była błędem.

— Nie mówię o Audrey. Mówię o Thomasie.

— Nie trywializuj mojego życia.

— Nie robię tego.

— Robisz.

Zatrzymał się na czerwonym. — Jak długo byliście małżeństwem?

— Rok.

— Kochałaś go kiedykolwiek czy to było tylko nastoletnie zauroczenie?

— Nie twoja sprawa.

— Chyba jednak moja. Jesteś moją partnerką.

— Kiedy ci to wreszcie zaświtało? — zapytała, ciesząc się w duchu, że nareszcie to zauważył. I dobrze. Sprawy szły naprzód. Otworzył się przed nią ostatniej nocy i ona była gotowa odwzajemnić się tym samym.

— Myślałam, że go kocham — przyznała. — Byłam zdezorientowana.

— Sama byłaś właściwie dzieckiem.

— Siedemnaście lat.

— To głupi wiek.

Nie żeby teraz życie było choć trochę prostsze. Światło zmieniło się na zielone. David rozejrzał się i przejechał przez skrzyżowanie.

— Słyszałem o tobie różne interesujące rzeczy — powiedział od niechcienia. Stanowczo zrobił to zbyt lekko.

— Na przykład?

— Że jesteś jakąś kapłanką wudu czy czymś. Roześmiała się z przymusem.

— Kto ci powiedział coś takiego?

— Ludzie gadają.

— No więc gadają bzdury. Powinieneś wiedzieć, że komenda jest jak ekscentryczna ciotka. Ma mnóstwo opowieści w zanadru, w większości nieprawdziwych.

— To bardzo romantyczny sposób na stwierdzenie faktu, że roi się w nim od plotkarzy — odparł David.

— Wy, Jankesi, jesteście tacy obcesowi. Czym byłoby Savannah bez romantyzmu? Po prostu kolejnym biednym miastem.

— A wiesz, że niektórzy nawet się ciebie trochę boją? — zapytał.

— A ty się mnie boisz? — Nie.

— A bałeś się? Na początku?

— Oczywiście, że nie.

Przyszła pora powiedzieć wszystko.

— Dziwię się, że nie znasz jeszcze całej historii. — Podejrzała, że usłyszał od kogoś mocno podbarwioną opowieść. Jak w przypadku wszelkich policyjnych plotek, najlepiej było sprostować wszystko raz na zawsze.

— Zostałaś porzucona jako dziecko. Na cmentarzu. I jesteś córką jakiegoś sławnego znachora.

— Poprawny termin to szaman, ale większość ludzi mówi czarownik albo znachor. Nikt nie wie dokładnie, gdzie zostałaś znaleziona. Na cmentarzu? Owszem. Na grobie? Być może. Na którym grobie? Nie wiadomo.

— To podniecające.

— Podniecające? Jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś tak to nazwał.

Dziwne. Niesamowite. Koszmarne. Takie słowa zwykle słyszę.

— Więc ktoś cię adoptował? — zapytał.

— Historia szybko staje się nudna — przyznała Elise. — Zostałam adoptowana przez miłą, religijną rodzinę i wychowałam się w tradycyjnym domu. Mój ojciec pracował jako księgowy aż do emerytury, a matka była gospodynią domową.

Nie powiedziała tylko, że ludzie bali się jej jak samego diabła. Tamta rodzina zaadoptowała ją, bo nikt inny jej nie chciał. Po prostu zdecydowali się na to, bo uważali, że tak będzie po chrześcijańsku, a nie dlatego, że pragnęli kolejnego dziecka. I choć rodzice byli dobrzy i tolerancyjni, mimo wszystko była dzieckiem wziętym z łaski, nigdy prawdziwym członkiem rodziny.

— Bracia? Siostry? — David dojechał do Whitaker i skręcił w lewo.

— Dwie siostry i dużo starszy brat. Wszyscy już mają rodziny i wyprowadzili się z tej okolicy. Rodzice przeszli na emeryturę. Sprzedali dom i wynieśli się do Tucson. — Byli w kontakcie, przesyłali sobie kartki na Boże Narodzenie. Czasem do siebie dzwonili. — Ale nie jesteśmy jakoś przesadnie blisko.

Kolejny skręt w lewo. Okrążali Park Forsytha.

— Nigdy nie czułaś, że pasujesz do tej rodziny, co?

— Zgadza się. Moja adopcja nie była tajemnicą, ale nie znałam szczegółów. Kiedy miałam siedem lat, pokłóciłam się z moją siostrą, Maddie. Powiedziała mi wtedy, że znaleziono mnie na cmentarzu, na grobie. Na początku jej nie uwierzyłam, ale Maddie nigdy nie miała bujnej wyobraźni, a cała ta historia wydawała się szalona. W końcu zapytałam matki i ona potwierdziła mi, że to prawda.

David skręcił na parking koło Świętej Marii od Aniołków, wjechał na miejsce koło samochodu Elise i wyłączył silnik.

— A ten czarownik?

— Nazywał się Jackson Sweet. Kiedy usłyszałam, że mógł być moim ojcem, obsesyjnie zaczęłam szukać wszelkich informacji na jego temat. Nagle okazało się, że mam jakąś przeszłość, i to cholernie interesującą. W średniej szkole znałam już mnóstwo zaklęć, których nauczyłam się od starej kobiety mieszkającej na naszej ulicy.

Kiedy jej siostry zajmowały się odrabianiem prac domowych, Elise zgłębiała wiedzę, która jak wtedy myślała, była jej życiowym powołaniem.

Staruszka nie miała żadnych żyjących krewnych, więc z radością uczyła Elise wszystkiego, co sama wiedziała. Schorowana kobieta szukała uczennicy, której mogłaby „przekazać moc”.

Futriny drzwi i okien swojej chałupy pomalowała na niebiesko, by odpędzić złe duchy. Elise nigdy nie poznała jej prawdziwego imienia i nazwiska. Wszyscy mówili na nią Miętowa, z powodu miętowych pałeczek, które zawsze miała w ustach.

Umiejętność rzucania zaklęć, skutecznych czy nie, była najlepszą obroną przed rodzeństwem. Wystarczyło, że zaczynała zbierać jakieś ingrediencje, a wszyscy *troje* robili się nagle *grzeczni* i kochający.

— Użyłam Barbie, a właściwie Skipper, młodszej siostry Barbie, do mojego pierwszego prawdziwego zaklęcia.

David się roześmiał.

— Zaklęcia to poważna sprawa. Zaklęcia są prawdziwe. Przynajmniej niektóre.

Odwrócił się twarzą do niej, z lewą ręką przewieszoną przez kierownicę.

— Jak możesz mówić coś takiego? Jesteś policjantką. Detektywem. Twój zawód opiera się na logice.

— Nie wszystko na tym świecie jest logiczne. Nie wszystko da się wyjaśnić. Nasze oczy i pamięć wciąż nas zwodzą. Dobry detektyw o tym wie.

— Rzuciłaś kiedyś zaklęcie, które podziałało? — zapytał, wciąż się uśmiechając. Wciąż pełen niewiary. To właśnie była wielka różnica między człowiekiem z Północy a południowcem. Południowiec by uwierzył.

Elise była siedemnastoletnią, zakochaną na zabój dziewczyną, bawiącą się w czarownicę. Thomas mijał ją raz po raz, nie patrząc na nią. Ale kiedy rzuciła czar, spojrział w jej stronę... i od tej pory wciąż na nią spoglądał, jakby nie mógł się powstrzymać, jakby nie mógł oderwać od niej oczu.

I tak zdobyła Thomasa, i wplątała ich oboje w katastrofalne małżeństwo, do którego nigdy nie powinno było dojść. Po tym wszystkim pozbyła się swoich notesów i ziół. Każdego skrawka papieru, któ—

ry miał coś wspólnego z czarami, choćby najbardziej niewinnymi. I próbowała sobie wmówić, że nie ma niczego takiego jak szamanizm i rzucanie zaklęć, a Thomas zauważył ją, bo gapiała się na niego płonącymi, zakochanymi oczami.

— Nie chodzi mi o jakieś mętne czary—mary, jak sprawienie, że komuś minął ból głowy — powiedział David. — No. Mnie możesz szczerze powiedzieć, czy rzuciłaś kiedyś naprawdę skuteczne zaklęcie. Coś, czego możesz być pewna na sto procent.

— Tak.

— Na kogo?

— Na Thomasa.

— I co zrobiłaś temu biedakowi?

— Sprawiałam, że się we mnie zakochał.

## Rozdział 28

David wyglądał przez okno gabinetu, wychodzące na cmentarz Colonial Park. Interesujące miejsce. Tablica przy wejściu opisywała epidemię żółtej febry. Spora część nagrobków była jej żniwem. Wielu zmarłych zapewne hospitalizowano wcześniej w Świętej Marii od Aniołków.

Zobaczył Elise i fotografa z „Porannych Wiadomości z Savannah”. Zdjęcie ilustrujące artykuł o sprawie TTX oczywiście musiało być zrobione na cmentarzu.

— To jest właśnie Savannah — powiedziała Elise z uśmiechem, namawiając go, by pozował wraz z nią. — Gdzież indziej mogliby zrobić zdjęcie?

Nieopodal grupka dzieci skakała przez skakankę. Nie słyszał, co śpiewały, ale był pewien, że było to coś w rodzaju:

*Dzieciątka w łóżeczku,*

*Pani w czarnej sukni.*



*W czoło je całuje,  
W ziemię kładzie trupki.*

Drzwi gabinetu się otworzyły. David odwrócił się i zobaczył, jak Elise rzuca stos papierzysek na swoje biurko.

— Gorąco dzisiaj — powiedziała.

Wyrzał z powrotem przez okno, na cmentarz, na wpeł spodziewając się, że tam też ją zobaczy.

Czyżby zaczynał wariować? Czasami tak się czuł. Jakby jego umysł wymykał się spod kontroli.

— Jak poszło? — zapytał, patrząc na grupę starych, omszałych nagrobków.

— Chyba dobrze. Wiesz, jak to jest z gazetami. Podałam reporterce informacje. Ona ma je tylko przepisać, ale jestem pewna, że jutro przeczytam jakąś bzdurę, której nie powiedziałam.

— Zawsze wszystko pokręca. I chyba tak ma być. To należy do ich obowiązków.

Elise pogrzebała w torbie, wyjęła zdjęcie z polaroida i podała je Davidowi.

— Próbne ujęcie.

Stała na tle nagrobka. Gdzieś nad jej ramieniem, jakby zawieszony w powietrzu, widniało imię Christian.

Za dużo tego wszystkiego. Ten cmentarz, imię. I to tuż po tym, jak wyznał wszystko Elise.

Christian został pochowany na małym cmentarzu w Ohio, w specjalnej sekcji przeznaczonej tylko dla dzieci. Kraina Wiecznej Zabawy czy inny tego typu horror. To wszystko działo się tak cholernie szybko, że David nie wiedział, co robić. Jego matka proponowała jakieś inne miejsce, ale nic nie wydawało się odpowiednie.

David chciał mieć go blisko, nawet jeśli nie był w stanie zmusić się do odwiedzenia grobu. Ale Kraina Wiecznej Zabawy była kompletnie nietrafiona. Teraz to rozumiał. Zbyt fry wolna. Zbyt naiwna.

Przypiął zdjęcie do tablicy ogłoszeniowej, obok fotografii jego i Elise, zrobionej jego pierwszego dnia w pracy.

No więc miał parę spraw, z którymi się nie uporał. Czasami w życiu człowieka miały miejsce zdarzenia, z którymi nie można się było pogodzić.

Wiedział, że nigdy nie pogodzi się ze śmiercią syna. Nie chciał tego zrobić. Ale rozumiał też, że musi znaleźć jakiś sposób i połączyć przeszłość z teraźniejszym życiem. Musi wydobyć ją z ukrycia, by jego dziecko, żywe czy martwe, mogło być częścią tego, kim był teraz.

Na razie jego metodą na radzenie sobie z tym problemem było za-  
trzaśnięcie drzwi. W efekcie odmówił sobie emocji, które przynosiło mu życie. I skazywał się na ból. Bo ilekroć był zmuszony przypomnieć sobie tamte wydarzenia albo kiedy jego umysł, błędząc swobodnie, zabierał go na powrót do tamtych dni, cierpiał podwójnie.

Atak z zaskoczenia. Tak to właśnie wyglądało. Niespodziewany atak bólu mógł zdziesiątkować jego siły.

Na co dzień miał do czynienia z morderstwami, a nie potrafił sobie poradzić ze śmiercią własnego dziecka.

— Dobrze się czujesz? — zapytała Elise.

— Głowa mnie boli.

— Pewnie z gorąca. Chcesz advil?

— Poproszę.

Niedługo po pogrzebie, kiedy nie było go w domu, jego siostra i matka spakowały wszystkie rzeczy Christiana. Zabawki. Ubrania. Książki.

Wszystko po prostu zniknęło.

Gdzie były teraz te rzeczy? Na półce jakiegoś sklepu ze starzyzną? Na wysypisku? Na tę myśl zbierało mu się na wymioty.

Podłoga się przechyliła.

Wyrzucał sobie tyle spraw.

Czerń zaczęła się zakradać w pole jego widzenia. Nie zwrócił na nią uwagi, zaskoczony nagłym przypiływem rozpacz.

— David?

Głos Elise dobiegał z końca długiego tunelu.

Nagle zdał sobie sprawę, że leci na podłogę, ale nic nie mógł na to poradzić. Usłyszał przestraszony okrzyk i mętnie zdał sobie sprawę, że Elise biegnie do niego.

A potem leżał na podłodze, patrząc w sufit.

Kajdanki, które nosił przy pasku, ugniatyły mu kręgosłup. Kabura z pistoletem wciskała mu się w żebra.

— Mam wezwać pogotowie?

Wydawała się przerażona. Chłodna, opanowana Elise. Była gliną, detektywem, nie powinna się tak przestraszyć. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie świetnie. Po prostu cudownie, pomyślał.

Nie odpowiedział, więc podjęła decyzję za niego.

— Dzwonię po karetkę.

— Nie! — Złapał ją za rękę, może trochę za mocno. Puścił. — Nie. Nic mi nie jest.

— Czujesz dziwne mrowienie w ustach i na wargach? — zapytała bez tchu. — Masz problemy z oddychaniem?

Nic dziwnego, że wpadła w taką panikę. Myślała, że to tetrodotoksyna. A tak naprawdę po prostu zemdłał. — To nie jest TTX — powiedział powoli. — Nic z tych rzeczy.

— Więc co to jest? Czujesz ból? W ramieniu? W piersi?

— Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że zwyczajnie... — Nie mógł się zmusić do wypowiedzenia słowa „zemdlałem”. — Zakręciło mi się w głowie, zamazał mi się wzrok...

Wyprostowała się, przysiadając na piętach.

— Gould, chcesz mi powiedzieć, że zemdlałeś?

— Nazwijmy to może „chwilową utratą przytomności”, okej? — szepnął słabo.

Jeden z jego prześladowców, Hutch, stanął w otwartych drzwiach.

— Hej, posłaliście nas do straszego chlewu. — Był cały nakręcony. — Ten LaRue ma być rzekomo jakimś wypasionym naukowcem po Harvardzie, a żyje jak zwierzę.

David zamknął oczy.

Detektyw wreszcie zauważył go na podłodze.

— Na litość boską, Gould, uciąłeś sobie drzemkę?

## Rozdział 29

Szedł w moją stronę. Cień pośród cieni. Zawsze przychodził do mnie w nocy. Słodki chłopiec. Słodki, słodki chłopiec. Taka śliczna buzia. Nie widział mnie, bo się schowałam. Nikt mnie nigdy nie widział. Byłam niewidzialna.

Łatwo było zwiabić Enrique do fontanny. Był przyzwyczajony do takich spotkań i niczego nie podejrzewał. Zawsze robił to, co mu kazałam.

— Tych dwoje detektywów — gorączkował się. — Boję się, że mogą zacząć zadawać pytania, a ja nie będę wiedział, co odpowiedzieć.

— Za bardzo się martwisz.

— Nie zabiłaś ich, prawda? Gary' ego Turello i Jordana Kempa?

— Oczywiście, że nie. Jak mogłeś w ogóle tak pomyśleć?

— Przepraszam.

— Nie jestem na ciebie zła. Powinnam być, ale nie jestem.

Uśmiechnął się. Enrique ze śliczną buzią. Miał takie ładne zęby. Zawsze robił, co mu kazałam, ale był słaby. Gdyby policja zabrała go na przesłuchanie, zaczęłby gadać. W ostatecznym rozrachunku byłby lojalny wyłącznie wobec siebie.

— Już nigdy nie poproszę cię, żebyś zrobił coś, czego nie chcesz — powiedziałam.

Kiedyś udawałam, że coś we mnie wstąpiło. Że czar, klątwa zamieniła mnie w coś innego w jakiś nowy gatunek. Ale potem zrozumiałam. Właśnie tak się objawia bycie człowiekiem. Tak się objawia życie.

Cudowne zapachy. Głód. Pragnienia.

Tyle czasu zmarnowałam.

— Chodź się ze mną pobawić — szepnęłam. — Wejdz ze mną do fontanny.

Uśmiech zawisł w kąciu jego ust, ale się nie ruszył. Cembrowina z brunatnej cegły była szeroka. Pobiegłam i wskoczyłam na nią, cicha i sprawną jak kot, a potem bezszelestnie ześliznęłam się do wody. Wiedziałam, że za mną pójdzie.

Usłyszałam za sobą chlupnięcie i uśmiechnęłam się do siebie. Woda nie była głęboka. Niecały metr. Opadłam na kolana, a potem przekreśliłam się na plecy i swobodnie uniosłam na wodzie. Coś musnęło moją rękę; ryba.

Gwiazdy. Na czarnym aksamitnym niebie.

— Nikomu nie powiedziałem — usłyszałam głos Enrique. — I nie powiem. Nigdy. Wiesz o tym, prawda? Twój sekret jest bezpieczny.

— Cśśś — szepnęłam. — Popatrz na gwiazdy. Popatrz na nie.

— Piękne — szepnął. Przekreśliłam się na brzuch.

— Patrz na gwiazdy. — Odepchnęłam się stopami od dna sadzawki i podpłynęłam do Enrique. — Nie przestawaj patrzeć.

Zawsze robił, co mu kazałam.

Widziałam jego oczy i gwiazdy w jego oczach. Oczy w jego ślicznej, ślicznej twarzy. Wyjęłam nóż.

— Patrzysz na gwiazdy? — zapytałam.

— Patrzę.

Słyszałam echo uśmiechu w jego głosie, kiedy podcinałam mu gardło.

Twój sekret jest bezpieczny.

Gorąca krew pociekła mi po palcach. Lepka. Pachniała jednocześnie słodko, gorzko i metalicznie.

Planowałam tę chwilę od wielu dni, więc wiedziałam, co robić. Sumiennie wykonałam plan i wkrótce wszystko zaczęło wyglądać tak, jak widziałam to w myślach. Nappełniłam jego ubranie kamieniami, by zatonał. By nie znaleziono go przynajmniej przez parę dni.

Kiedy skończyłam, wyszłam z fontanny. Woda ciekła z mojego ubrania. Byłam rozpalona i podniecona. Zakończenia moich nerwów śpiewały. Czułam zapach dżdżownic w ziemi pod moimi stopami. Czułam smak soli w powietrzu, niosący się od bagnisk oddalonych o wiele kilometrów. Słyszałam ludzi pieprzących się w swoich bezpiecznych domach, w swoich łózkach.

Zacząłam się pieścić przez mokre ubranie i pomyślałam o detektywie Gouldzie.

Sól w powietrzu stała się smakiem jego skóry; szepty zmieniły się w jego ciche zachęty i jęki seksualnego spełnienia.

Pobiegłam przez ciemność. Gdy byłam już u siebie, zdjęłam mokre rzeczy i wsunęłam się do łóżka, pod narzutę. Objęłam pana Turello i przytuliłam do siebie, szepcząc mu do ucha słodkie opowieści o śmierci.

## Rozdział 30

James LaRue był zbiegiem. Podobało mu się to określenie. Sprawiało, że czuł się ważny.

Jego gorączkowa ucieczka z Savannah była koszmarem doświadczeniem. Wszędzie byli policjanci i wszyscy podejrzliwie patrzyli na jego samochód. Po godzinie od chwili, kiedy zwał w panice, kierując się do Nowego Orleanu, zjechał z autostrady 95 i resztę trasy pokonał bocznymi drogami.

Ekscytujące. Jak w kinie albo w telewizji.

James LaRue, czarny charakter. W uszach kogoś, kogo wyśmiewano i upokarzano przez całe życie, brzmiało to całkiem miło.

Nie żeby zawsze był porządnym obywatelem. O nie. Już jako jedenastoletek urządzał sobie wycieczki na ciemną stronę. Był dzieckiem ciekawym świata i nigdy nie przepuszczał okazji, by dostać coś za darmo. Któregoś dnia, grzebiąc w śmieciach za domem pogrzebowym, natrafił na istną kopalnię zdjęć z polaroida.

Zdjęć zmarłych.

Rodzinna firma pogrzebowa zwiłaja żagle i opróżniła swoje archiwa. Dla jednego śmieci, dla innego skarb. Zdjął bluzę z kapturem, nappełnił ją zdjęciami i porządnie związał rękawy. Popędził na rowerze do domu, wrzucił skarb do szafy w swoim pokoju i wrócił w nocy z workami na śmieci po resztę łupu.

Zdjęcia były prawdziwym hitem wśród jego szkolnych kolegów.

Mógł je spokojnie sprzedawać po pięć dolców za sztukę. Ale on zatrzymał wszystkie, co do jednego. Wypełniały cztery pudełka po butach, schowane na dnie szafy. Jego ulubione przedstawiało nagą nastolatkę; twarz miała zmiażdżoną, ale ciało pozostało bez skazy.

Czasami pozwalał kumplom zerknąć na swoją prywatną kolekcję, ale boleśnie przekonał się, że nie powinien był tego robić.

Nigdy nie dopuszczaj nikogo do swoich sekretów, bo przestaną być sekretami.

Jeden z chłopaków, Shawn Hill, miał od tych zdjęć koszmary i w końcu powiedział swojemu tacie o kolekcji w szafie. I narobiło się. Życie Jamesa od tej chwili nie było już takie samo.

A wszystko przez jakieś fotki, które ktoś wyrzucił do kosza. Śmieci to śmieci. Własność publiczna, jeśli ktokolwiek miał na nie ochotę. James nie zrobił niczego złego.

Jego ojciec był zszokowany. Zdegustowany. Zmieszany. Zawstydzony.

Staruszek czytał akurat najnowszy podręcznik dla rodziców, napisany przez samozwańczego eksperta od wychowania dzieci. W rozdziale *Karanie zbląkanego dziecka* autor sugerował, że kara powinna zawsze być powiązana z występkiem. Na przykład jeśli twój pies zagryzł kota, powinieneś zbić psa martwym kotem.

W ramach kary James został na dwa tygodnie zamknięty w szafie — ze zdjęciami.

Zmyślne. I chore.

Ojciec Jamesa nie był złym człowiekiem. On tylko pobił. Skąd miał wiedzieć, że autor tej książki o wychowaniu wylądował w więzieniu za dziecięcą pornografię?

Dla dorosłego dwa tygodnie to niewiele. Dla dziecka to całe życie. W tej szafie wszystko się pomieszało. Choć było ciemno, James widział zdjęcia oczami duszy. Widział zmarłych ludzi. Stali się jego przyjaciółmi. Jego pociechą. Kiedy wyszedł, już nic nie było takie samo. On już nie był taki sam.

Co niekoniecznie było złe.

Psychiatra powiedziałby pewnie, że te dwa tygodnie spędzone w szafie go wypaczyły, może nawet dokonały trwałych szkód w jego psychice. Ale to nie była prawda. Dały mu jasność myśli. Dały mu siłę. I może leciutką obsesję śmierci.

Ale jedno się nie zmieniło. Chęć sprawiania przyjemności tacie. Potrzeba zadowalania go.

James miałby o wiele większą frajdę ze swojego obecnego statusu zbiegłego przestępcy, gdyby nie tata. Wciąż wyobrażał go sobie siedzącego w salonie przed telewizorem. Nagle twarz Jamesa wypełnia ekran. Serce taty bije żywiej z radości, bo od dawna spodziewał się, że James zwróci na siebie oczy całego kraju jako sławny naukowiec, jako człowiek, który wykorzystuje swoją wiedzę, by ulepszyć świat. Nie jako ścigany przestępca.

James się starał. Naprawdę, naprawdę się starał.

Wiedział, że powinien zadzwonić do taty i powiedzieć mu, że wszystko jest w porządku, ale gliny na pewno będą pilnować domu. Pomyślał, że to będzie pierwsze miejsce, do którego się uda. Będą też obserwować byłych współpracowników i członków społeczności naukowej. Przyjaciół —jeślijakichkolwiek miał.

Dziwne uczucie być wygnańcem. Nie móc nawet wrócić do swoich.

Musiał to zrobić sam. Musiał zniknąć. Nowy Orlean idealnie się do tego nadawał. James myślał, że kiedy sprawa trochę przycichnie, wsiądzie w samolot na Bahamy, a potem na Haiti. Kiedy już tam dotrze, zadzwoni do taty. Powie mu, że ma się dobrze. Spróbuje go przekonać, że tak naprawdę nie zrobił niczego złego.

Nie powinien był tego robić. Poniewczasie widział, że to był zły pomysł. Ale w tamtej chwili trochę nie był sobą. A kiedy nie był sobą, robił nieprzewidywalne rzeczy. Szalone i głupie.

Czasami, kiedy sięgał pamięcią wstecz po szczególnie dziwnej „imprezie”, nie mógł sobie przypomnieć, co robił, gdzie był. Nawet tego kim był.

Kiedy dotarł do Nowego Orleanu, potraktował oglądane kiedyś filmy jako wzorzec. Nie używał karty kredytowej. Ostrzygł włosy i ufarbował je na blond. Przestał się golić. Nosił ciemne okulary i inne ciuchy.



Całkiem nowa osobowość. To było przyjemne. Fajnie tak było wy-  
myślić siebie na nowo. Wejść w nowe życie...

Ale po kilku dniach urok życia zbiega zaczął znikać. Jamesa coraz  
bardziej męczyło wynajdowanie miejsc do spania, bycie brudnym i  
błąkanie się po ulicach Nowego Orleanu.

A potem go obrobili.

Ostatnia kropla. Ostatnia, pieprzona kropla.

— Nie wydawajcie wszystkiego naraz! — krzyknął za trzema za-  
srańcami, kiedy pędzili uliczką z jego portfelem.

Dość. Poszedł na policję.

— Jestem James LaRue — oznajmił funkcjonariuszce w dyżurce.

Jego kamuflaż widocznie był niezły, bo policjantce nic nie zaświtało  
na jego widok. Gapiła się na niego pustym wzrokiem, czekając, aż  
powie, z czym przyszedł.

— Jeśli pani sprawdzi moje nazwisko w komputerze, przekona się  
pani, że jestem poszukiwany za ciężkie przestępstwo w Savannah w  
Georgii.

Zadzwoiła po obstawę.

Przyszło dwóch funkcjonariuszy — wielki czarny facet i biały, który  
wyglądał, jakby każdą wolną chwilę spędzał na siłowni.

— James LaRue — potwierdziła kobieta, wyszukawszy coś w kom-  
puterze. Spojrzała na niego, potem na ekran. — Ale pan nie przypo-  
mina człowieka z naszej bazy danych.

Podszedł jeszcze jeden funkcjonariusz, zerknął na ekran i znów na  
Jamesa.

— To może być on. Co z odciskami palców?

— Nie ma w bazie. Nigdy wcześniej nie był notowany.

— Ma pan jakiś dokument tożsamości? — zapytał czarny policjant.  
James poklepał się po kieszeniach workowatych, beżowych szortów,  
które kupił w sklepie z tanią odzieżą, i rozłożył ręce.

— Zostałem okradziony.

— Zgłosił to pan?

— Teraz zgłaszam. Ale czy nie schodzimy odrobinę z tematu?

— Chyba powinniśmy ściągnąć tu któregoś z naszych specjalistów  
od identyfikacji twarzy — powiedział czarny mężczyzna.

— Dlaczego miałbym się podawać za kogoś, kim nie jestem? — zapytał James. — A szczególnie za poszukiwanego przestępcę?

— To się zdarza bez przerwy — odparła kobieta. — Może pan być Jasiem Winowajcą, szukającym uwagi, której rodzice nie poświęcali panu w dzieciństwie. Albo może pan po prostu szukać okazji do darmowej przejażdżki do Savannah.

Genialne. Wkroczył w całkiem nowy, chory świat.

— Mógł pan się gdzieś natknąć na tego LaRue. Może się pan podzrywać pod niego, bo jest pan z nim w zмовie.

Do momentu ostatecznego potwierdzenia jego tożsamości umieścili go w areszcie tymczasowym, nakarmili, dali mu poduszkę i koc. Po tym, co przeszedł, czuł się jak w pięciogwiazdkowym hotelu.

## Rozdział 31

Elise złożyła gazetę i rzuciła ją na biurko. Zdjęcie na cmentarzu było trochę kiczowate, ale reporterka przyłożyła się do artykułu o sprawie TTX, rzetelnie przekazując fakty. Na pierwszej stronie dużym drukiem podano numer telefonu, pod który można było zadzwonić, jeśli miało się jakieś informacje, które pomogą w rozwiązaniu sprawy. Zza okna gabinetu dobiegały odgłosy uderzeń. Elise wyjrzała i zobaczyła Davida i Audrey na cmentarzu, przerzucających się piłką do softballa. Schowała laptopa do zasuwanej torby i zeszła do nich na dół.

— Miotaczka ma kontuzję ręki — oznajmiła Audrey — Więc ja będę rzucać przez kilka meczów. Fajnie, no nie?

— Czy miotacz to nie jest niebezpieczna pozycja? — zapytała Elise. — Czy ktoś nie złamał nosa w zeszłym sezonie?

— Muszę ćwiczyć. — Audrey ułożyła palce na piłce. — Dużo ćwiczyć. — Rzuciła piłkę Davidowi, który kucał nieopodal w białej koszuli z krótkimi rękawami. Jego marynarka i krawat wisiały przerzucone przez nagrobek.

Złapał piłkę i wstał, potrząsając gołą dłonią.

— Bez rękawicy mam dość.

— Mamo, poćwiczysz ze mną? Może jutro albo pojutrze? Elise nigdy w życiu nie rzucała piłki.

— Jak ona miała na imię? Ta dziewczyna ze złamanym nosem? Camille? Nie powiedzieli jej, że gdyby dostała trochę mocniej, nos wbiłby się jej do mózgu i mogłaby umrzeć?

— Mamo! — Audrey roześmiała się z bezsilną irytacją. — Poćwiczysz czy nie?

— Okej. — Elise pomyślała, że skoro jej życie nie ma sensu, to przynajmniej urozmaici je złamanym nosem.

Zerknęła na swojego partnera. Najwyraźniej sporo wiedział o rękawicach i piłkach.

— Zabierzesz się z nami? Podwiozę cię do domu — powiedziała. Jego samochód jeszcze stał w warsztacie.

— Z przyjemnością. — Wziął marynarkę i krawat.

Było późne popołudnie i na trasach z centrum do przedmieść był olbrzymi ruch. Zaliczyli wszystkie czerwone światła i nawdychali się tyle tlenu węgla, że można by nim wytruć wszystkie kanarki w stanie Georgia. Audrey, wciąż podekscytowana swoją pozycją miotaczki, paplała przez całą drogę i wyskoczyła z samochodu jak strzała, kiedy Elise zaparkowała przy krawężniku pod domem Thomasa.

— Będę miotaczką! — krzyknęła, rzucając rękawicę na trawę i biegnąc do Vivian, która spacerowała po ogródku z dzieckiem na każdym biodrze.

Vivian przekazała Toby'ego Audrey i podeszła do samochodu. Usiadła po turecku na trawie, by móc rozmawiać z Davidem przez otwarte okno. Kawalek dalej Audrey przyłożyła usta do brzuszka Toby'ego i zrobiła mu pierdzioszka. Malec złapał dwie pełne piąstki jej włosów i się roześmiał.

— Za dwa tygodnie urządzamy sąsiedzką imprezę z grillem — powiedziała Vivian, podrzucając małego Tylera na kolanie i robiąc do niego miny. — Przyjdźcie, proszę. Oboje. Potrzebujesz trochę rozrywki, Elise — dodała, jakby spodziewając się sprzeciwów.

— Och, ależ ja mam rozrywki — mruknęła Elise. — Mnóstwo rozrywek. Sąsiedzka impreza. Oznaczało to bandę nieznamych, snujących się bez sensu i z trudem szukających wspólnych tematów. Elise nie pasowała do takiego świata. Wszyscy tam udawali, że złe rzeczy nigdy się nie zdarzają. Ale z drugiej strony czyjej świat był bardziej realny? Świat, w którym koszmary były na porządku dziennym? Vivian spróbowała nowej taktyki.

— Przekonaj ją, żeby zrobiła sobie wolne — zaczęła błagać Davida. — Namów, żeby przyszła.

David siedział rozwalony na fotelu pasażera, z oczami zmrużonymi od blasku zachodzącego słońca i ręką przewieszoną przez okienko.

— Zapowiada się sympatycznie — rzucił przyjaznym tonem. — Ale ja nie mam na nią żadnego wpływu.

Nagle wszystko zaczęło się robić takie słodkie, że Elise zebrało się na wymioty.

— Postaramy się przyjść — skłamała.

Po długim machaniu i nadmiarze dzieciennego gaworzenia Elise i David odjechali, kierując się z powrotem ku cywilizacji i rejonom o podwyższonej przestępczości.

— Nie masz zamiaru się tam pokazać, co? — zapytał David.

— Nie wiem... może pójdę. Zależy, co się będzie działo w pracy. — Jasne. — Wydał dźwięk, świadczący, że nie dał się nabrać. Czyżby z wiekiem robiła się bardziej przejrzysta?

— Uwielbiam Vivian — powiedziała — ale nie potrafię paplać o niczym. Nie cierpię tego.

— Tak naprawdę zwyczajnie się boisz.

— Nie do wiary, że mnie pouczasz. Ty, Pan Aspołeczny.

— Pójdę, jeśli i ty pójdiesz. W ten sposób będziemy mogli gadać o robocie, jeśli zrobi się zbyt niezręcznie.

— Och, to będzie prawdziwy przebój. Może powinniśmy przynieść parę zdjęć z miejsc zbrodni i puścić w obieg.

— Kolorowe, duży format, na błyszczącym papierze. Już to widzę. Elise skreśliła w lewo i wjechała na parking pod sklepem sportowym.

— Potrzebuję rękawicy — rzuciła w odpowiedzi na pytające spojrzenie Davida.

Weszli do środka. David zacisnął mocno pięść i walnął w środek skórzanej rękawicy bejsbolowej.

— Ta wygląda przyzwoicie. — Zdjął ją z ręki. — Masz. Przymierz. Elise wcisnęła palce w rękawicę. Jej dłoń ładnie się goiła. Ściągające plastry zniknęły zastąpione dwoma zwykłymi małymi plasterkami.

— Nie wchodzi do końca.

— I nie powinna.

— Jest sztywna.

— Zmięknie. Musisz jej używać. Nie kupuj za miękkiej, bo zaczniesz się fałdować. Jak się w niej czujesz?

Elise zwinęła pięść i uderzyła w wyścielany środek rękawicy.

— Nie wiem. A jak się mam czuć?

— O rany. — Zwiesił ramiona, aż ręce mu się zakołysały. — Mogę zrozumieć, że nigdy nie grałaś w softball, ale na pewno bawiłaś się w łapanie piłki.

Elise wzięła piłkę i znów walnęła w rękawicę.

— Nie. — Piłka przyjemnie wpasowywała się w zagłębienie. Elise obróciła ją w dłoni, przyciskając palce do szwów.

— A co robiłaś zamiast tego? Nie mów mi, że naprawdę bawiłaś się lalkami.

Elise przypomniała sobie, jak próbowała rzucić czar milczenia na swoją siostrę. Znalazła lalkę z brązowymi włosami. Obciąła je tak, by przypominały fryzurę Maddie. Klejem Super Glue przykleiła jej na usta X z czarnej przędzy, spaliła trochę ziół i odczytała zaklęcie, którego nauczyła ją stara czarownica. Była to jedna z jej wielu wczesnych porażek.

— Tak — powiedziała Davidowi. — Bawiłam się lalkami.

— Hm. — Zmrużył oczy i przyjrzał się jej uważnie. — Czegoś mi nie mówisz.

— Myślisz, że ta rękawica jest okej? — Zdjęła ją z ręki i wsadziła pod pachę. — A ta? — Zdjęła z wieszaka czerwoną rękawicę. — Ta mi się nawet podoba. A co powiesz o tej ślicznej, niebieskiej?

— Ta brązowa jest lepsza.

— Jest droższa.

— Jeśli chodzi o rękawice, cena przekłada się na jakość.

Elise odwiesiła z powrotem czerwoną rękawicę i wzięła piłkę.

— To jest twarda piłka. Ty potrzebujesz miękkiej, do softballa.

Masz. — Wyłowił dwie z drucianego kosza. — I jeszcze jedno... —

Rozejrzał się po półce, aż znalazł małą, brązową butelkę. — Oliwka do rękawicy. Musisz nią natrzeć rękawicę, ułożyć piłkę w zagłębieniu, a potem mocno związać, żeby się dobrze dopasowała.

— Jakim cudem to się tak skomplikowało? — Elise zdumiona pokręciła głową. — Przecież my mamy tylko poćwiczyć rzuty. To ma być zabawa.

— Zabawa wymaga trochę wysiłku.

David też wybrał rękawicę dla siebie. Zajął mu to więcej czasu, bo był przy tym jeszcze bardziej skrupulatny niż przy wybieraniu rękawicy dla Elise.

— Stój tam, gdzie jesteś. Posłał jej wolną, leniwą piłkę.

Nie miała wyboru — musiała ją złapać. Ledwie ją chwyciła górną krawędzią rękawicy. Nie odrzuciła piłki z powrotem.

— Zakładam, że sporo grałeś, więc dlaczego nie masz rękawicy, która już jest dopasowana do twojej ręki? — zapytała Elise, kiedy szli do kasy.

— Gdzieś mam. Pewnie leży u mojej matki w Ohio albo w magazynie w Wirginii.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, że moje życie mogłoby być tak rozsypane.

— To tylko rzeczy. Przedmioty. — Rzucił piłkę prosto do góry i złapał ją w rękawicę. — Nie wyglądasz na materialistkę.

— Nie, ale przywiązuję się do swoich rzeczy emocjonalnie. Na przykład mój samochód. Ma ponad dwieście czterdzieści tysięcy kilometrów na liczniku. Wiem, że powinnam kupić nowy, ale nie jestem gotowa. Nie mogę się z nim rozstać. Mam go od tak dawna, że jest częścią mnie.

David ustawił się w kolejce i położył rękawicę na taśmie. — Twój samochód to kupa gówna.

— Ale to moja własna kupa gówna. — Przemysłała to, co właśnie powiedziała. — Mówiąc przenośnie.

— Oczywiście.

— Prawdopodobnie przywiążę się do tej rękawicy, jeśli będę używać jej dość długo. Szczególnie kiedy w końcu nabierze kształtu mojej dłoni. I tylko mojej.

Już czuła, że lubi tę rękawicę. Szczególnie podobał jej się zapach. Ich zakupy zostały oddzielnie nabite na kasę.

— Niektórzy uważają, że przedmioty wchłaniają energię swoich właścicieli — powiedziała Elise, kiedy już zapłaciła i zabrała zakupy. — A kiedy wchłoną odpowiednią ilość, zaczynają ją oddawać.

David zatrzymał się przed automatycznymi drzwiami.

—Więc to znaczy, że część mnie leży upchnięta w jakimś pudle, w ogrodowej szopie mojej matki, razem z moimi matchboksami i mikroskopem?

Obraz, który nakreślił, nappełnił Elise dziwnym smutkiem.

— Myślę, że powinieneś znaleźć tę rękawicę. Roześmiał się.

—Ja nie żartuję. —Wiem.

Zadzwoił telefon Elise.

Komenda. Ich krótka wycieczka w normalność dobiegła końca. James LaRue został złapany i przewożono go właśnie pod eskortą do Savannah.

## Rozdział 32

Pańscy goście przyszli. James LaRue wystawił ręce przez małe, prostokątne okienko w drzwiach celi, by strażniczka mogła zapiąć mu kajdanki na nadgarstkach. Ciężkie drzwi otworzyły się z głuchym szcękaniem metalu.

LaRue wyszedł z celi, szurając nogami. Jego klapki wydawały śmieszny dźwięk, trąc o cementową podłogę. Poprowadzono go przez serię zamykanych drzwi do małego, jasno oświetlonego pomieszczenia. Na trzech ścianach wysoko umieszczono kamery, czwartą stanowiło weneckie lustro ze wzmacnianego szkła.

Przy stole siedziała detektyw Elise Sandburg. Był z nią jakiś facet o ciemnych włosach i gniewnej twarzy. Oboje byli ubrani jak na pogrzeb.

Znak?

James usiadł naprzeciw nich, z irytacją odkrywając, że trudno zgrabnie wsunąć się na krzesło przypięte do podłogi krótkim łańcuchem.

Więc proszę. Oto i ona. Kobieta, której podał narkotyki. Miała bardzo dziwne oczy, wielokolorowe, z ciemnymi liniami przecinającymi tęczę.

Atrakcyjna. Nie pamiętał tego, bo kiedy spotkali się po raz pierwszy — był strasznie nawalony. Wydawała się bardzo opanowana, pozbierana. Idealny detektyw, tylko ładniejszy.

Facet... nie był już taki poukładany. Wyglądał jak ktoś, kto bardzo potrzebuje drinka albo działki. A może wystarczyłyby jakieś lekarstwa, zapisane przez doktora, który lubił, kiedy jego pacjenci byli zadowoleni.

LaRue poczuł przyływ paniki. Ostatnio ciągle mu się to zdarzało. Trudno było zrobić coś głupszego. Idiotyczny, durny pomysł. Ale w tamtej chwili wszystko wydawało się logiczne. Zabawne, jak to się czasem kręci. Ten facet — on by go zrozumiał. Na pewno zdarzało mu się robić głupie rzeczy, kiedy coś łyknął. A teraz była spora szansa, że on, LaRue, wyląduje w więzieniu z mordercami. Z pedofilami. W miejscu, gdzie wytatuowane bestie z ogolonymi łbami gwałcą takich jak on.

Spojrzał kolejno na kobietę i na faceta, mając nadzieję, że nie widać, jak bardzo jest zdenerwowany.

— Hej... — Zerknął na strażniczkę. Była duża, groźnie wyglądającą kobietą, od której parę razy zdołał wyludzić uśmiech. — Czy mógłbym dostać coś do picia? — zapytał. Zwracając się do swoich gości, dodał:

— A państwo coś chcą? Colę? Ja stawiam.

Detektyw Sandburg pokręciła głową i krzywiąc usta, odparła:



—Ja dziękuję.

LaRue wzdrygnął się z zażenowaniem. Cholera. Kiedy ostatnio zaproponował jej coś do picia, woda była przyprawiona tetrodotoksyną.

— Ja też — zawtórował facet.

Była wkurzona, to oczywiste. Oboje byli wściekli. To całkiem naturalne. Ale przecież jej nie zabił. Nie chciał jej zrobić krzywdy.

— Okej.

Machnął nerwowo w powietrzu skutymi rękami, jakby chciał odgonić swój zły pomysł i czas, który już zmarnował. To byli ważni ludzie. Zajęci.

— Nie marnuj naszego czasu, LaRue. Rany. Facet widocznie czytał w myślach.

— Przepraszam. A pan to...?

— Detektyw Gould.

— Miło mi. — Podał rękę po stole, brzęcząc kajdankami. Gould odchylił się na krześle.

— Nie ściskam rąk ludziom, którzy trują moją partnerkę. Jasna cholera.

— Nie wiem, o czym pan mówi. — LaRue zabrał rękę.

— Nie pamiętasz, jak podałeś jej szklankę wody zaprawionej TTX? LaRue pokręcił głową.

— Ale podobno jesteś ekspertem od tetrodotoksyny? — zapytał Gould.

— No, tak.

— Nie mieszasz jej czasem w domu?

— Nic nie poradzę, jeśli jakimś cudem natknęła się na odrobinę, wieszając po moim domu.

— Chcesz powiedzieć, że szklanka z zatrutą wodą przypadkiem wpadła jej na twarz? Nie dałeś jej się napić? Nie podałeś jej tej szklanki?

Było źle. Bardzo źle. LaRue za wszelką cenę musiał sprawić, by jego wersja wyglądała przekonująco. Od tego mogła zależeć reszta jego życia...

— Nie macie żadnych dowodów.

— Zebrałam kawałki stłuczonej szklanki — powiedziała Elise. — Oddałam je do laboratorium. Zgadnij, co znaleźli?

LaRue wypuścił z sykiem powietrze. Cholera, cholera, cholera.

— Tetrodotoksynę — powiedziała. — Na szklance z twojego domu. Na szklance, którą mi podałeś.

— Nie kłam — dodał Gould — bo my już znamy odpowiedzi.

— Nie wszystkie. Nie możecie wiedzieć wszystkiego.

— To się jeszcze okaże.

Przesłuchiwali go przez trzy godziny. Dzięki Bogu żadne z nich nie paliło. Pomieszczenie było tak małe, że dym mógłby wywołać u niego atak astmy.

Przesłuchanie toczyło się tak, jak można się było spodziewać. Zastraszała go. Szczególnie ten facet. LaRue czuł buchającą od niego nienawiść. Pytali go co, gdzie, jak i kto. W miarę upływu godzin wyczuwał ich narastającą frustrację. Weszli do tego pokoju z nadzieją udowodnienia mu, że jest winny tych wszystkich morderstw, a on nie dał im nic, co mogłoby poprzeć tę teorię. Byli zawiedzeni. Przykro mi, że was rozczarowałem, ptaszki.

Nagle przesłuchanie zmieniło bieg.

— Co możesz nam powiedzieć o tetrodotoksynie? — zapytała Sandburg.

LaRue założyłby ręce na piersi, gdyby to było możliwe. A tak tylko rozparł się na krześle i położył dłonie na kolanach. — Nic.

— Nic? — zapytał Gould z udawanym zdziwieniem.

— Nie chcę mówić o tetrodotoksynie. Facet zeszywniał. Pochylił się do przodu.

— To czy chcesz, czy nie, nie jest ważne.

— Nie będę mówił o tetrodotoksynie — powtórzył LaRue, wzruszając ramionami.

— Co musiałbym zrobić, żeby cię do tego nakłonić? — zapytał Gould.

— Czy to jest groźba?

— Oczywiście, że nie — skłamał Gould, zerkając na kamerę w rogu.  
— Nigdy nie groziłbym komuś, kto chciał otruć moją partnerkę.  
— Moja konsultacja ma swoją cenę — odparł LaRue. Gould sapnął ze zniecierpliwienia.

— Nikt w tym kraju nie wie o tetrodotoksynie więcej niż ja — powiedział gładko LaRue. — A wy powinniście wykorzystać tak obszerną wiedzę. Moja edukacja nie była tania. To są Stany Zjednoczone. Mamy tu kapitalizm. Ja mam produkt i go sprzedaję. Wy kupujecie.

— Chcesz pieniędzy? — zapytał Gould, nie wierząc własnym uszom.

— Ludzie giną, a ty chcesz pieniędzy?

— Och, a pan zapewne jest detektywem—społecznikiem. Elise założyła ręce na piersi.

— On chce wycofania zarzutów.

LaRue uśmiechnął się do niej. Była kochana. Po prostu urocza.

—Twoje ego jest godne podziwu — powiedział Gould. — Ale nie jesteś jedynym ekspertem w tym kraju. Sądziś, że nie skontaktowaliśmy się z innymi specjalistami? Nie masz żadnej karty przetargowej. Nic do zaoferowania. Nie możesz nam powiedzieć niczego, czego już nie wiemy albo nie moglibyśmy się dowiedzieć od kogoś innego.

Blefował. Albo był źle poinformowany. Nikt nie wiedział o tetrodotoksynie tyle co LaRue. Spojrzał na Goulda przez rzęsy.

— Nie wiecie nic o TTX. Nic. Myślicie, że wiecie, ale tak nie jest. Istnieje sekretna społeczność, ogromna sieć ludzi uzależnionych od TTX.

—Dlaczego ktoś miałby zażywać truciznę dla zabawy? — zapytała Sandburg.

— Po pierwsze chodzi o dreszczyk. Trochę tak jak ze skokami bez otwierania spadochronu albo ze zbyt szybką jazdą samochodem. Ale oprócz tego...

Obliznął wargi i skarcił się w duchu. Jeszcze sobie pomyślą, że chce wyjść, bo sam jest uzależniony.

— To nie jest fizyczne uzależnienie — odparł szybko. — Wyłącznie psychiczne. To jest odlot jak żaden inny, bo ociera się o śmierć. Ja to rozumiem. Ja znam wszystkie słodkie niespodzianki, wszystkie stadia, przez które prowadzi człowieka TTX.

Poprawił się na śliskim krześle.

— Ty wiesz jak to jest. Wiesz, o czym mówię — powiedział, patrząc na kobietę. — Nie czujesz się jakbyś oszukała śmierć? Jakbyś ją okiełznała? Nie daje ci to poczucia władzy w świecie, gdzie tak wiele spraw jest poza naszą kontrolą?

— Widzi pan, panie LaRue, ja bym tego nie opisała jako przyjemne doświadczenie. Może dlatego, że nie zdecydowałam się na nie z własnej woli.

Czy ona kiedykolwiek sobie odpuści?

— Byłem tamtego dnia w proszku. W kompletnym proszku.

— To żadna wymówka — odparła detektyw. Tracił ich.

— Mam pomysł — odezwał się Gould. — Może zostawimy cię tutaj, żebyśmy wiedzieli, gdzie cię szukać, jeśli będziemy potrzebowali pomocy?

To nie działało. Nie działało! Łzy strachu i frustracji wezbrały w jego oczach, wszystko się zamazało. Nie mógł wylądować w więzieniu, z koszmarnymi typkami, patrzącymi na niego jak na smaczny kąsek, którego jeszcze nie spróbowali. Albo co gorsza, spróbowali. Dlaczego się zgłosił na policję? Dlaczego nie pomyślał, do czego to doprowadzi? Boże, był naiwny jak dziesięciolatek.

Pochylił się nad stołem i zaczął szeptać, patrząc prosto w oczy Sandburg. Czuł, że tylko u niej może liczyć na odrobinę współczucia.

— Wiesz, czym będzie dla mnie odsiadka? Życie w zoo, w którym rządzą zwierzęta? Spójrz na mnie! Jestem naukowcem! Nie potrafię walczyć.

Chcieli, żeby ich błagał? W tym momencie nie miał już dumy. Będzie błagał, jeśli tego chcą. Pieprzone gliny. Ciekło mu z nosa. Nie miał wyjścia; musiał unieść skute ręce i otrzeć smarki pomarańczowym rękawem kombinezonu.

Posługując się jakąś przerażającą, milczącą formą komunikacji, dwójka detektywów kiwnęła sobie głowami i wstała.

Detektyw Sandburg pochyliła się, opierając ręce na stole.

— Nasza propozycja jest taka — powiedziała. — Jeśli będziesz z nami współpracował, jeśli odpowiesz na wszystkie pytania, zastanowię się

nad wycofaniem zarzutów. — Odepchnęła się od stołu. — Zostawi-  
my cię samego na parę minut. Żebyś mógł przemyśleć sprawę.

— Mimo wszystko on może być zamieszany w te zabójstwa —  
stwierdziła Elise, kiedy wyszli na korytarz, a drzwi pokoju przesłu-  
chań zamknęły się za nimi. — Może nawet z kimś współpracować.

— To nie jest wykluczone — przyznał David.

— Możemy go wypuścić i przydzielić mu ogon — zaproponowała  
Elise. — Jeśli jest w coś zamieszany, szybko się tego dowiemy, a przy  
okazji doprowadzi nas do współników. Jeśli nie ma z tym nic wspólnego,  
może nam naprawdę pomóc w śledztwie.

— Zapomniałaś już, co ci zrobił?

— Chyba warto podjąć ryzyko. Jestem skłonna wycofać zarzuty, że-  
by się dowiedzieć, co on kombinuje.

— Może nie będziesz musiała. — David odwrócił się do drzwi.—  
Może ten gnojek jest gotów wszystko powiedzieć.

LaRue siedział tam, gdzie go zostawili.

— Możemy kontynuować naszą pogawędkę? — zapytała Elise. Ga-  
pił się w milczeniu w błyszczącą powierzchnię stołu.

Elise i David zajęli swoje krzesła. Zamiast zapytać, czy podjął decy-  
zję, Elise zdecydowała się na mniej upokarzające podejście.

— Może zaczniemy od początku? — zaproponowała przyjacielskim  
tonem.

Nie odpowiedział. Mimo to zaczęła mu zadawać pytania. Zwykle  
pytania o zwykłe sprawy, żeby się odprężyć. Gdzie się urodził? Jak  
przebiegała jego edukacja? Gdzie zdobył stopnie naukowe?

Ego to zdumiewająca i zagadkowa rzecz. Elise zawsze zaskakiwało  
odkrycie, jak bardzo ludzie lubią mówić o sobie, nawet kiedy prze-  
słuchuje ich policja. Zwykle był taki moment, kiedy coś jakby zaska-  
kiwało. I nagle przesłuchanie nabierało własnego życia. Kiedy tylko  
dotarli do tematu badań, LaRue wpadł weń głową naprzód, zupełnie  
jakby zapomniał, z kim rozmawia.

Elise dwa razy widziała, jak mordercy osiągnęli taki punkt i własna  
historia pochłonęła ich do tego stopnia, że przyznali się, nawet o tym  
nie wiedząc.

— Spodziewałem się, że do tej pory już będę sławny — powiedział LaRue. — Tetrodotoksyna miała być nową, lepszą morfiną, odpowiedzią na silny ból. Nowym sposobem na narkozę. A nawet środkiem pozwalającym wysłać astronautów w głęboki kosmos w stanie zawieszenia funkcji życiowych.

— I co się stało? — zapytał David.

— Cięcia budżetowe. Moje fundusze z Uniwersytetu Karoliny Północnej zostały cofnięte.

—Auć.

— To było trzy lata temu. Nie mogę uwierzyć, że od tamtej pory praktycznie nic nie robiłem. Westchnął ciężko. — Badania były moim życiem. Nie widziałem nic poza nimi. Ale nie zdawałem sobie sprawy, jak są dla mnie ważne, dopóki ich nie straciłem. Przechodzę kryzys osobowościowy. Jeśli nie jestem już tamtym naukowcem, to kim jestem? Macie pojęcie, jak to jest poświęcić całe lata na dążenie do celu. Koncentrować się wyłącznie na nim, mając pewność, że jeśli tylko będzie się pracować wystarczająco ciężko, w końcu się go osiągnie... i nagle to wszystko zostaje wam zabrane? To może złamać człowiekowi serce, cholera. To jest pieprzona tragedia.

— A tetrodotoksyna? — spytała Elise. — Co może nam pan o niej powiedzieć oprócz tego, co oczywiste?

— Ludzie boją się tego, czego nie rozumieją. Bali się też tetrodotok—syny. To dlatego cofnięto mi fundusze. Zwalili to na brak środków, ale to się działo za szybko.

— Może nie podobało im się, że pan się nią narkotyzował — zasugerował cierpko David.

LaRue spojrział na niego spod zmarszczonych brwi.

— Przyznaję, że wtedy też ją brałem, ale nie byłem w stanie ustabilizować jej wystarczająco, by prowadzić testy na ludziach. A nie mogłem prosić moich studentów, żeby robili za króliki doświadczalne. Moi koledzy wciąż twierdzili, że nigdy nie uda się kontrolować jej na tyle, by móc stosować ją u ludzi. Musiałem udowodnić, że się mylą.

— Będziemy potrzebowali nazwisk wszystkich znanych panu ludzi, którzy są zamieszani w ten podziemny obrót TTX. Co do jednego.

—Większość z nich to studenci z college'ow. Nieszkodliwe dzieciaki. Wycofywał się, nie chcąc kogokolwiek wydać. W gruncie rzeczy był to godny podziwu rys charakteru.

— Chcemy z nimi tylko porozmawiać — powiedziała Elise. Przesuwała po stole kartkę i pióro. — Proszę zapisać wszystkie nazwiska, jakie pan sobie przypomniał.

Zajął to jakieś pięć minut. Kiedy oddał kartkę, było na niej sześć nazwisk.

— To wszyscy? — zapytała Elise.

—Wszyscy, którzy przyszli mi w tej chwili do głowy. David zeszytniał. Elise widziała, że był gotów wycisnąć z więźnia więcej. Złożyła kartkę.

— Będziemy mieli od czego zacząć.

Potem zaczął opowiadać o tetrodotoksynie. Część z tych rzeczy wiedzieli, inne były dla nich zupełnie nowe.

—Trucizna atakuje osłonięte, obwodowe nerwy, ale nie przedostaje się z krwi do mózgu, co oznacza, że psychiczne funkcje ofiary pozostają nietknięte. W nieodpowiednich rękach TTX może być idealnym narzędziem tortur. Wyobraźcie sobie, że możecie mówić i robić wszystko osobie, która pozostaje w pełni przytomna i świadoma.

— Może to dlatego cofnięto panu fundusze.

— Tetrodotoksyna jest wszędzie. Każdy może ją dostać. Każdy może ją produkować. Ja robiłem coś wartościowego, próbowałem ją okiełznać.

Elise otworzyła teczkę, wyjęła zdjęcie Trumana Harrisona i położyła je na stole przed LaRue.

— Rozpoznaje pan tę osobę?

—Widziałem jego zdjęcie w gazecie.

— Spotkał go pan kiedykolwiek?

—Nie.

Dalej poszła czarno—biała fotka Jordana Kempa, zrobiona na cmentarzu.

— O kurczę. To jakaś mocno nefajna sprawa. — Wskazał zdjęcie.

—Chyba nie myślicie, że miałem z tym coś wspólnego?

— Znał go pan? — zapytał David.

— Czy to jedna z osób, którym sprzedał pan TTX? — Pytanie padło z zaskoczenia. Elise podejrzewała, że LaRue handluje trucizną, i miała nadzieję, że się zdradzi.

— Nigdy nikomu nie sprzedałem TTX. Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze.

— Znał pan Jordana Kempa?

— Widziałem go parę razy.

— Gdzie?

— W Czarnym Tupelo.

— Chodzi pan do Czarnego Tupelo? — zapytał David.

— Z innych powodów, niż sądzicie.

— A Strata Luna? — naciskała Elise. — Poznał ją pan?

— Nie.

— Na pewno?

— Próbowałem. Chciałem ją poznać. Kto by nie chciał? W końcu przekonałem tego chłopaka, Enrique, żeby do niej zadzwonił w mojej sprawie.

— Więc rozmawiał pan z nią przez telefon. — Tak.

— O czym?

— Słyszałem plotki, że ona umie zamieniać ludzi w zombi. To pewnie kompletna bzdura, ale sądziłem, że ona wie o tetrodotoksynie coś, o czym ja nie mam pojęcia. TTX może być mieszane z różnymi składnikami. Zależnie od mieszanki zmienia swoje właściwości. Bardzo trudno jest precyzyjnie dawkować czyste TTX, bo jest piekielnie silne. Ale użyte zawsze robi jedną z trzech rzeczy: daje szumek w głowie, paraliżuje albo zabija.

— Więc jaka jest pańska profesjonalna opinia o przypadkach z Savannah?

— To nie jest czyste TTX. Czyste TTX paraliżuje, owszem, ale nie na wiele dni. Po zażyciu tetrodotoksyny człowiek budzi się po kilku godzinach albo umiera.

Elise zauważyła moment, kiedy zdał sobie sprawę, że sam się wko-  
pał. Przed kamerami. W obecności trzech osób.



Spojrzała na swojego partnera. Uśmiechał się.

Elise poczuła lekki niepokój, kiedy zdała sobie sprawę, jak bliska śmierci była tamtego dnia, w domu LaRue.

— To na razie wiemy już chyba wszystko, nie uważasz? — zapytał Gould.

— Wiedziałem, ile tetrodotoksyny wypić! — LaRue wyraźnie panikował. — Taka dawka nikogo by nie zabiła!

— To brzmi jak przyznanie się do winy — stwierdził Gould z drwiną w głosie. — Może zawołamy tu parę osób, żeby mógł pan złożyć zeznanie pod przysięgą?

— Myślałem, że wycofacie zarzuty.

— Powiedziałaam, że się nad tym zastanowimy — odparła Elise.

— Powiedziałem wam wszystko, co chcieliście wiedzieć.

— Tak, ale przyznał się pan też, że o mało mnie pan nie zabił. Jest pan inteligentnym człowiekiem. Chyba się pan nie spodziewa, że tak po prostu wypuścimy kogoś obciążonego takim zarzutem.

— Zarzutem usiłowania zabójstwa — dodał Gould.

— Potrzebujecie mnie! — powiedział LaRue. — Wiecie, że jestem wam potrzebny! — Spojrzał na strażniczkę i znów na Sandburg. — To jeszcze nie koniec, co? Wróćcie tu, prawda? Pomogłem wam dzisiaj. Mogę jeszcze pomóc.

— Przemyslimy to i damy panu znać. LaRue zerwał się z krzesła.

Gould zrobił to samo, gotów mu przyłożyć, jeśli tylko nadarzy się okazja. Strażniczka podeszła i stanęła z lewej strony aresztanta.

— Kiedy? — zapytał, wodząc wzrokiem od Goulda do Sandburg. — Kiedy dacie mi znać?

— Trudno powiedzieć — odparła Elise. LaRue spojrzał na nią wściekle. Suka!

Miała z tego frajdę. Umyślnie trzymała go w nieświadomości, bawiła się nim. Jego gniew obrócił się przeciwko Gouldowi. Co ten śmieć mógł wiedzieć? — pomyślał LaRue z nienawiścią. Nigdy nie był napaństwony, nikt nigdy nie śmiał mu się w twarz, nie robił z niego pośmiewiska.

Jakby na jakiś telepatyczny znak, Sandburg i Gould odwrócili się i ruszyli do drzwi. LaRue wyciągnął skute dłonie w stronę ich oddalających się pleców. — Oni będą mnie walić w dupę! — zaszlochał.

## Rozdział 33

Wieczorem, po przesłuchaniu LaRue, Elise odebrała Audrey ze szkoły. W ogródku za domem upiekły sobie na grillu szaszłyki z grzybów, tom i mango, a po kolacji poszły do pobliskiej kafejki na mrożony jogurt. Potem Elise ćwiczyła z Audrey rzuty na Pulaski Square.

W drodze powrotnej minęły handlarzkę sprzedającą dziecięce sukienki na ramiączkach z rysunkiem przekreślonej najeżki, ryby z rodziny kolcobrzuchowatych.

Nawet całkiem ładne, pomyślała Elise.

Ten biało—czerwony znaczek pojawił się jakby znikąd. Można go było zobaczyć na witrynach i drzwiach każdej restauracji w mieście, nawet w McDonalddie. Przypominał zakaz palenia, tyle że zamiast papierosa przedstawiał trującą rybę przekreśloną czerwoną, skośną linią. Pod spodem widniał napis: NIE PODAJEMY EGZOTYCZNYCH RYB. Wiele restauracji w ogóle usunęło owoce morza z menu.

— Kurczę, ale fajne. — Audrey podniosła koszulkę, sprawdzając rozmiar. Widniał na niej napis: ODWIEDŹ SAVANNAH, JEŚLI SIĘ ODWAŻYSZ.

Jakim cudem te rzeczy pojawiły się tak szybko? — dziwiła się Elise. Czy gdzieś w Stanach była sekretna fabryka, gotowa wpompować na rynek gadżety z okazji każdej zdarzającej się katastrofy?

Jeszcze większym hitem była lateksowa rękawiczka. Jako że sposób wchłonięcia TTX przez ofiary nie został jeszcze ustalony, ludzi ostrzeżano, by starannie i często myli ręce oraz osłaniali wszelkie skażenia. Zaopatrzenie się w jednorazowe rękawiczki było już oddolną inicjatywą społeczną.

Według ostatnich informacji Elise rękawiczki stały się krzykiem mody, a najbardziej wypadalo się pokazywać w fioletowych i czerwonych. Lokalne zapasy zostały mocno uszczuplone, nawet tych nudnych, cielistych rękawiczek. Ludzie z innych stanów, czasem też z zagranicy, wystawiali paczki rękawiczek na aukcje internetowe, a wylicytowana cena za pudełko potrafiła sięgnąć pięćdziesięciu dolarów. Co było dowodem, że za styl i zdrowie ludzie potrafią zapłacić każdą cenę.

— Ile? — zapytała Elise handlarki. — Trzydzieści dolarów.

— Trzydzieści? Za koszulkę?

— Dwadzieścia.

Wyciągnęła portfel i wyjęła kilka banknotów.

— A co pani powie na piętnaście?

Kobieta szybko schowała pieniądze do kieszeni, zanim napatoczył się jakiś turysta.

— Mamy też amulety, do kompletu z koszulkami — powiedziała, zataczając półkole ręką.

W koszyku w rogu leżały wanga. Audrey, z białą koszulką przewieszoną przez rękę, podniosła amulet, powąchała go i cofnęła głowę.

— Faj. — Podstawiła wanga pod nos Elise.

Siarła. Elise dobrze znała siarkę — główny składnik większości szamańskich rekwizytów.

Widywała na rogach ulic ludzi sprzedających wanga o wiele taniej, ale trzeba było uważać. Te rzekome amulety mogły być napełnione liśćmi i trawą z ogródka. Nie były prawdziwe, nie miały ochronnej mocy. Noszenie fałszywego wanga byłoby jak jeżdżenie z niesprawnym pasem bezpieczeństwa albo uszkodzoną poduszką powietrzną. Niestety, zawsze trafiły się sępy gotowe zarobić na cudzym nieszczęściu.

— Jak ludzie mogą to nosić? — Audrey się skrzywiła. — To śmierdzi.

— Warto się pomęczyć, jeśli dzięki temu czujesz się bezpieczna.

— Tata mówi, że takie zabobony żywią się ludzkim strachem.

— Nie zawsze jest źle, jeśli ludzie wierzą, że woreczek z ziołami ich ochroni — odparła Elise. — To daje im poczucie kontroli w sytuacjach, w których jej nie mają.

Audrey wrzuciła amulet z powrotem do kosza.

— Dzięki za koszulkę, mamó. — Włożyła T—shirt z rysunkiem na-  
jeżki na koszulkę na ramiączkach i poszły dalej.

Elise sięgnęła do kieszeni i wyjęła wanga, które nosiła od kilku dni.  
Audrey zagapiła się na woreczek.

— Skąd to masz?

— Strata Luna zrobiła to dla mnie.

— Naprawdę?

— Chcesz?

Elise nagle zdała sobie sprawę, że może poczułaby się lepiej, gdyby  
Audrey miała amulet. Mógł ją choć trochę ochronić. Audrey wzięła  
wanga i powąchała.

— Przynajmniej nie pachnie tak paskudnie.

— Zioła, których użyła, maskują zapach siarki. Audrey oddała jej  
woreczek.

— Nie, dziękuję.

Fakt, że jej matka nosiła wanga, najwyraźniej wprawił ją w zażeno-  
wanie. Co sobie pomyśli, kiedy dowie się o Jacksonie Sweecie?

Przypomniała jej się ostatnia wizyta u Straty Luny. Czy rzeczywiście  
poda jej nazwisko jej biologicznej matki? A jeśli tak, co powinna  
zrobić z tą informacją?

Jeszcze trzy przecznice i dotarły do domu.

Chociaż ich wspólny wieczór można było uznać za udany, to od-  
wożąc córkę na przedmieścia, Elise rozmyślała o reakcji Audrey na  
wanga i znów zdała sobie sprawę z różnic między nimi dwiema. Nie  
spodziewała się, że jej córka będzie taka jak ona. To byłoby egoistycz-  
ne i bezsensowne. Audrey żyła w pragmatycznym świecie, podczas  
gdy Elise wciąż stała pomiędzy dwiema kulturami, nie mogąc znaleźć  
dla siebie miejsca. Mogła sobie mówić, że nie wierzy w czary i amule-  
ty, ale w głębi duszy darzyła je zaufaniem. Rozumiała też potęgę mi-  
tów — siłę, której nie wolno było nie doceniać.

Podrzuciła Audrey i ruszyła z powrotem do siebie ciemnymi, ci-  
chymi ulicami. Kiedy dojechała do domu, znalazła w drzwiach szarą  
kopertę z logo Czarnego Tupelo. W środku — pojedyncza kartka z  
imieniem Loralie i adresem Zakonu Sióstr Karmelitanek w Savannah  
wypisanym czarnymi, drukowanymi literami.

## Rozdział 34

W środku nocy Elise obudził telefon. Dzwoniła dyspozytorka.

—Wiem, że to pani wolna noc — powiedziała — ale mam tu żółtą karteczkę z informacją, że trzeba panią powiadomić, jeśli pojawi się jakiś trup.

Elise zanotowała informację, podziękowała i się rozłączyła. Zadzwoiła do Goulda. Jego samochód wciąż był w warsztacie, ale mogła go zabrać po drodze.

—Wpadnę po ciebie — powiedziała.

Kiedy podjechała, Gould stał na schodkach od frontu. Podbiegł do samochodu i zajął miejsce z przodu, obok niej. Elise ruszyła dalej.

Kierując się pod adres podany przez dyspozytorke, przekazała mu tych kilka informacji, jakie miała.

— Ciało znaleziono w ogrodzie pensjonatu Tajemniczy Ogród; teraz jest opustoszały z powodu remontu.

— Płeć?

— Mężczyzna.

—Wiek?

— Nie podali.

Jeszcze zanim dojechali na miejsce, Elise wiedziała, że są blisko. Koguty radiowozów migły w ciszy. Ulice były zablokowane, ruch skierowano inną drogą.

Elise i David zaparkowali dwie przecznice od zamkniętej strefy i wyskoczyli z samochodu z latarkami w rękach, trzaskając drzwiami. Odgłosy ich kroków na cementowym chodniku rozlegały się głucho po ulicy, kiedy szybko szli w stronę światła.

Choć był środek nocy, ludzie wylegli z domów, by popatrzeć. Stali grupkami na chodnikach i na jezdni. Urywki ich rozmów dobiegały uszu Elise i Davida.

—Widziałas coś? — pytał młody, żeński głos.

— Słyszałam, że ktoś znalazł ciało.

— A ja słyszałem, że ma odrąbaną głowę.

— Podobno ktoś brodził w sadzawce i się potknął.

— O rany. To chore! Naprawdę chore!

— Nie o głowę, głupku. O ciało. — To też chore.

Dla kogoś spoza policji sceneria mogła wyglądać na kompletny bałagan, ale Elise od razu zauważyła barierki oddzielające świadków i trzymające ich w kupie, dopóki nie zostaną zebrane zeznania. Policja w Savannah stosowała tak zwaną metodę dwóch barier. Zewnętrzny kordon był dla dziennikarzy i gapiów, wewnętrzny dla tych paru osób, które miały pozwolenie na wejście. Detektywi i mundurowi z notkami w rękach przesłuchiwali świadków.

Jedna z policjantek dostrzegła Elise i Goulda.

— Cholernie dziwne to wszystko — szepnęła. — "W ogrodzie było ciemno, bramy pozamykane, ale jakieś dzieciaki wśliznęły się do środka i poszły się pluskać w fontannie. Jeden z nich potknął się o ciało i pomyślał, że to któryś kolega stroi sobie żarty, ale za długo nie wypływał. Okazało się, że ciało było obciążone kamieniami.

— Bez głowy? — zapytała Elise.

— Nie, ale ma poderżnięte gardło.

Elise spojrzała na Davida. To nie nasz ptaszek, pomyśleli oboje.

— Macie jakieś światło? — zapytał Gould. Zaparkowane były jak policyjne wozy miały zapalone szperacze, ale to było zbyt mało, by odpowiednio oświetlić miejsce zbrodni.

— Właśnie ustawiają generator.

— Gdzie teraz jest ciało? — zapytała Elise.

— Ciągłe w fontannie — odparła policjantka. — Chociaż może raczej powinnam to nazwać sadzawką. Jest ogromna, tyle wiem. Na środku ma coś w rodzaju wyspy z kamienną ławką. Zaciągnęłam go tam. — Skierowała latarkę na siebie. — Popatrzcie na mnie.

Jej spodnie były mokre aż po uda. Kiedy przestąpiła z nogi na nogę, skórzane buty skrzeknęły i pociekła z nich woda.

— Te buty będą już do niczego. Szkoda, że nie wiedziałam, że to trup. Nie zadawałabym sobie tyle trudu. A teraz ciągle czuję jego zapach. Nie wiem, czy to moje zatoki, czy ubranie.

Detektywi podziękowali jej i ruszyli ceglany chodniczkiem. Kiedy minęli żelazną, bramę udekorowaną cherubinami, Elise włączyła latarkę.

— Zawsze uwielbiałam to miejsce. — Była tu kilka razy, urządzając sobie doroczny, wiosenny rajd po ogrodach. — Normalnie zapiera dech.

Ale nie teraz...

Najpierw uderzył ich słodki zapach magnolii, przemieszany ze smrodem śmierci. Woda ciurkała po mokrych, porośniętych paprociami murach. Były tu bukszpany i powojniki, żabiściek i hibiskusy. Wśród krzewów i drzew kryły się najróżniejsze rzeźby, od aniołów po żaby.

David omiół teren promieniem latarki.

— Rany — powiedział, zatrzymując się, żeby obejrzeć powyginany pień parkinsonii. Gdzieś w oddali kumkały żaby i delikatnie pobrzękiwały chińskie dzwonki.

Elise odetchnęła z ulgą, widząc, że Abe Chilton jest na służbie. Niektórym specem od kryminalistyki musiała tłumaczyć, co mają zabezpieczać. Abe wiedział, co robi.

Przyjechali tak szybko, że trwały jeszcze wstępne czynności. To nie była zmiana Elise i Davida, ale jako że Mason i Avery jeszcze się nie zjawili, tymczasowo objęli dowodzenie.

— Gotowi na słońeczko? — krzyknął ktoś.

Buczenie generatora zagłuszyło świerszcze i dzwonki. Wszyscy odwrócili się tyłem. Sekundę później oślepiające światło zaalało cały teren.

Dwóch sanitariuszy stało pośrodku fontanny, gapiąc się na ciało u swoich stóp. Unieśli głowy, kiedy zabłyśły reflektory, skrzywili się i rękami osłonili oczy od blasku.

— Woda — mruknął Chilton. — Nie cierpię wody.

Woda niszczyła ślady.

— Właśnie próbowaliśmy zdecydować, czyja powinienem pójść tam, czy oni przyjść tutaj — powiedział Chilton.

— Lepiej iść do ciała — odparła Elise.

Jako że ofiara już wcześniej została wyciągnięta z wody, pewnie nie miało to znaczenia, ale Elise zawsze uważała, że lepiej mieć za dużo informacji niż za mało.

— Bardzo proszę, tu są.

Do Chiltona podbiegł stażysta, radosny jak szczeniak, z parą wodę—  
rów w dłoni. Chilton złapał je i uniósł w powietrze.

— Będziemy ciągnąć o nie zapalki?

Elise odwróciła się, słysząc plusk, i zobaczyła, że Gould brnie ku  
wysepce na środku fontanny. Woda sięgała mu powyżej kolan. Tam,  
gdzie zmoczyła spodnie, zrobiły się ciemniejsze.

— Tyje włóż — powiedziała.

Chilton miał na sobie garnitur i eleganckie półbuty; Elise była w pla-  
stikowych sandałach i bawełnianych spodniach wiązanych na sznurek,  
które pasowałyby raczej nastolatce. W zasadzie można było to uznać  
za strój kąpielowy.

Przerzuciła nogi przez cembrowinę i weszła do wody.

— Kochana jesteś — powiedział Chilton.

Z zadowolonym westchnieniem włożył wodery sięgające bioder. Po  
chwili usiadł na murku otaczającym fontannę, przerzucił nogi i zaczął  
hałaśliwie brnąć przez wodę, niosąc dużą, szarą skrzynkę, przypomi-  
nającą pudełko na sprzęt wędkarski.

— Potrzebuję więcej światła — stwierdził Chilton, kiedy dotarł do  
wysepki. Liście były gęste i reflektor ustawiony niedaleko kutej bramy  
nie mógł się przez nie przebić. Ciało natychmiast oświetliły potężne  
latarki.

Mężczyzna. Tuż przed albo tuż po dwudziestce. Tors oplatany był  
mchem. Lilia wodna przyłgnęła do ręki.

— Mamy tu dość daleko posunięty rozkład. — Chilton delikatnie  
odgarnął śmieci i rośliny dłonią w rękawiczce. — Nasz kolega nie jest  
świeżą rybką.

Ale z drugiej strony, w ciepławej, płytkiej wodzie, przy takim upale,  
ciało na pewno rozkładało się dość szybko.

— Czy on się ruszył? — zapytał ktoś. — Czy ktoś jeszcze to wi-  
dział? Bo mnie się zdawało, że się poruszył.

Jeden z sanitariuszy odskoczył do tyłu i upadł, z głośnym pluskiem  
rozpryskując wodę.

Po tym wszystkim, co wydarzyło się ostatnio, nikogo nie dziwiło, że  
ludzie są nerwowi i podejrzliwi wobec martwych ciał. Ale jeśli zmarły



miał poderżnięte gardło i leżał pod wodą... nie było zbyt wiele miejsca na wątpliwości.

Sanitariusz wyszedł z chlupotem z sadzawki.

— On się nigdzie nie wybiera — powiedział Gould. — Popatrzcie. — Szybko pomachał latarką w poprzek ciała ofiary. Przesuwający się promień mamił oczy, dając złudzenie, że się poruszyło.

Świado i cień. Ktoś odetchnął z ulgą.

Nie Elise. Skierowała własną latarkę na ofiarę. Choć twarz była spuchnięta, wiedziała, że spotkała już wcześniej ofiarę. I to całkiem niedawno.

Enrique Xavier.

## Rozdział 35

Bywały chwile, kiedy zabytkowy, ceglany budynek mieszczący komendę zdawał się oddychać. Zdawał się mieć własny rytm i puls. Po jakimś czasie człowiek się do tego przyzwyczajał, ale kiedy rytm został zaburzony, zauważało się to. Trochę jak wtedy, kiedy stado kosów nagle przestawało jazgotać. Albo kiedy na monitorze akcji serca pokazywała się płaska linia.

Zmiana przyciągała uwagę.

Elise siedziała w swoim gabinecie ze słuchawką przy uchu, mając nadzieję, że za trzecim razem wreszcie się uda i Strata Luna odbierze telefon. Nie odebrała. Czy będą musieli wystąpić o nakaz sądowy, by ściągnąć ją na przesłuchanie?

I nagle zauważyła martwość, wiszącą w powietrzu. Odłożyła słuchawkę i siedziała, nasłuchując.

Przypominało jej to ciszę, która zapadała, kiedy nad miastem przesuwało się oko huraganu. Po godzinach nieustającego hałasu, po godzinach jęków wiatru pod okapem dachu, gwizdania w szparach okiennych, łomotania każdym nieumocowanym przedmiotem — cisza.

W takiej chwili człowiekowi wydawało się, że może otworzyć drzwi i wybiec w tę głuchą, pozbawioną echa pustkę.

Elise otworzyła drzwi gabinetu. Korytarze były ciche i puste. Ruszył silnik windy. Z niższych pięter zaczął narastać pomruk rozbudzonego ula. Ludzie gadali. Szeptali coś gorliwie.

Winda zatrzymała się na drugim piętrze. Drzwi otworzyły się i wyszła z nich Strata Luna.

— Elise Sandburg. — Głos, dobiegający zza czarnej woalki, zdradzał zdenerwowanie. Kobieta ruszyła ku niej pospiesznie. Suknia unosiła się wokół niej. — Musisz coś zrobić. Musisz złapać tego, kto popełnił tę straszną zbrodnię. Morderca Enrique nie może się dłużej cieszyć nawet chwilą wolności.

To załatwiało sprawę nakazu.

— Robimy wszystko, co w naszej mocy — powiedziała Elise, wiedząc, że jej słowa nie uspokoją zdenerwowanej kobiety. Czekali na wyniki z laboratorium i oczywiście szukali TTX, ale w tym momencie wszyscy zainteresowani traktowali zabójstwo Xaviera jako przypadek niezwiązany ze sprawą.

David Gould wyszedł zza rogu i zjawił się na końcu długiego korytarza. Na widok Straty Luny zatrzymał się, z kubkiem kawy zastygłym w połowie drogi do ust.

Hałas na dole narastał. Jeszcze chwila i ludzie zaczną przychodzić na drugie piętro gnani nagłą potrzebą skorzystania z kopiarki.

— Wejdźmy do mojego gabinetu — powiedziała Elise.

Kiedy wszyscy troje byli już w środku, David zamknął drzwi i przysunął krzesło dla gościa. Jarzeniówki nad głowami oświetlały ich zielonkawym, migotliwym blaskiem.

Strata Luna usiadła i uniosła woalkę. Jej twarz — jak można się było spodziewać — była blada i pełna smutku.

— Pozwoli pani, że spiszemy zeznanie? — zapytała Elise.

— Po to tu przyszłam.

Odbieranie zeznań w prywatnym gabinecie nie było powszechną praktyką, ale biorąc pod uwagę okoliczności i fakt, że Strata Luna była tak znaną postacią, Elise uznała, że lepiej będzie zostać w pokoju.

Nie mieli sprzętu wideo, David zadzwonił więc na dół i udało mu się ściągnąć stenotypistę, by zeznanie zostało uznane przed sądem. Pięć minut później już ją przesłuchiwali; młody stenotypista klepał zawzięcie w klawiaturę, a dyktafon ustawiony na biurku przed Stratą Luną nagrywał jej słowa.

Przesłuchanie zaczęło się od standardowych pytań o nazwisko, wiek, adres i numer telefonu.

Potem Elise przeszła do pytań mających związek ze sprawą.

— Czy Enrique Xavier pracował u pani? — zapytała.

— Oczywiście, że tak.

— Czy zna pani kogoś, kto mógł chcieć go skrzywdzić?

Strata Luna wyciągnęła chusteczkę z głębokiej kieszeni swojej czarnej sukni.

— Sama wciąż zadaję sobie to pytanie. — Łza pocięła jej po policzku. — Czy to może być ktoś, kogo on znał? — Otarła łzę drżącą ręką. — Czy potraficie ustalić coś takiego? Na podstawie wyglądu i miejsca znalezienia ciała?

— Chodzi pani o to, czy to była zbrodnia w afekcie? — zapytał David. — Tak.

— Trochę za wcześnie na takie spekulacje — odparła Elise.

— Ktoś przychodzi pani na myśl? — David wyjął długopis i mały notes z kieszonki koszuli. — Kto według pani mógł być zdolny do takiego czynu?

Pojawienie się notesu jakby otrzeźwiło Stratę Lunę. Łzy zniknęły, kobieta wzięła się w garść.

— Nie wiem.

— Kiedy pani zauważyła, że Enrique zniknął? — zapytała Elise, wracając do standardowych pytań.

— Trzy dni temu.

— Trzy dni? — zapytał David z przesadnym zaskoczeniem.

— I nie zgłosiła pani tego na policję? — zawtórowała mu Elise.

— Niezbyt wierzę w skuteczność tutejszej policji.

— Więc co pani tutaj robi? — zapytał David.

— Enrique nie żyje!

—Wróćmy do naszego pytania — powiedziała Elise, mając nadzieję trochę ją uspokoić. — Powiedziała pani, że nie było go od trzech dni. Nie wydało się to pani dziwne?

— Czasami znika. Ale zawsze do mnie wraca.

— Wyjeżdża, nie zawiadamiając pani?

Strata Luna schowała chusteczkę do kieszeni i przyznała:

— Pokłóciliśmy się.

— To była awantura? — wtrącił się David.

— Kłótnia wynikła z namiętności.

David odnalazł wzrok Elise. Wyglądał, jakby chciał powiedzieć:

Okej. Tego się nie spodziewałem.

— Przyznaje pani, że Enrique był kimś więcej niż tylko pracownikiem? — zapytała Elise.

— Tak.

— Był pani chłopakiem? — pytała dalej Elise.

— Cóż za głupie słowo.

— No dobrze, więc kochankiem. Był pani kochankiem?

— Tego słowa nie cierpię prawie tak samo. Czasami uprawialiśmy seks. — Wzruszyła ramionami. — Tylko tyle.

— Straciła pani dwoje dzieci, prawda? — zapytał David powoli, jakby zastanawiając się i zbierając do następnego pytania.

— Już panu to mówiłam — odparła Strata Luna.

— I jedno z tych dzieci zostało znalezione w fontannie, utopione... zgadza się? — ciągnął David.

Strata Luna zmarszczyła brwi. Zaczęła się irytować, zapominając o tym, że postanowiła z godnością nosić swoją żalobę.

— Zgadza się.

— A teraz pani kochanek został znaleziony martwy, w fontannie.

Nie sądzi pani, że to raczej dziwny zbieg okoliczności?

David nie ufał tej kobiecie. Wszystko w niej było grą, krzykliwością i na pokaz, od czarnej sukni po woalkę, która miała sugerować, że Strata Luna głęboko przeżywa swój smutek. Sztuczka magika, mająca odwracać uwagę. Patrz tutaj, kiedy gdzie indziej dzieje się coś ważnego.

Żałujcie mnie. Miałam takie ciężkie życie.

Czy zabiła swoje dzieci? Może tak, a może nie. David wiedział tylko, że była pozerką. Wiedział też, co to rozpacz. Rozumiał ją. Ale rozpaczy nie nosi się ze sobą jak jakiegoś cholernego sztandaru.

Strata Luna wpatrywała się w niego wyzywająco. Łzy dawno zniknęły. Czy one też były częścią przedstawienia?

— Mnie nic nie wydaje się dziwne — powiedziała zimno. — A zbiegi okoliczności nie istnieją.

Flora powiedziała mu kiedyś to samo. Boże. Ta dziewczyna przeszła pranie mózgu.

— Sama pani przyznała, że się pokłóciliście — powiedział David. — Klótnia kochanków, z braku lepszej nazwy. Jest pani pewna, że Enrique nie chciał pani porzucić? — To z pewnością mocno by wkurzyło kobietę taką jak Strata Luna.

— Enrique nigdy by mnie nie zostawił. Cóż za ego.

— Przychodzi mi do głowy tylko jeden sposób zyskania takiej pewności — stwierdził.

Kątem oka widział, że Elise próbuje przyciągnąć jego uwagę, skłonić go, żeby trochę przystopował. Zignorował ją.

— Czy pan sugeruje, że zabiłam Enrique? — Strata Luna zerwała się na równe nogi, z głową odrzuconą do tyłu, ze sztywnymi plecami, pełna oburzenia.

Teatryk?

Pochyliła się ku niemu i przez sekundę David myślał, że go uderzy. Ale ona tylko przejechała ręką po jego biurku, zrzucając papiery, pisarki, teczki i kawę na podłogę.

Elise krzyknęła zaskoczona.

— Jest pan głupcem. — Górna warga kobiety podwinęła się w wyrazie obrzydzenia i pogardy. — Ale w końcu wszyscy mężczyźni są głupcami.

Nie wstając z krzesła, czując, jak letnia kawa wsiąka mu w spodnie i koszulę, David zapytał:

— Pani nie lubi mężczyzn, prawda? Tak naprawdę Enrique wcale pani nie obchodził. Było po prostu wygodnie korzystać z jego usług.

— Pan chyba coś wie o wygodnym korzystaniu z usług.

Ach, Flora. Więc Strata Luna знаła szczegóły ich dziwnego związku. Żadna niespodzianka. Stercząc nad nim jak góra, potężna Gullah wzięła głęboki wdech.

— Detektywie Gould — jej następne słowa zostały wypowiedziane bardzo wyraźnie — przeklinam cię.

Stukanie klawiszy ucichło.

Stenotypista siedział sztywno, z otwartymi ustami, patrząc, jak Strata Luna zasłania twarz woalką i wychodzi z gabinetu. Po chwili David wyciągnął rękę i wyłączył dyktafon.

Siedząca za kierownicą licolna continental Flora wydmuchała nos i rzuciła chusteczkę na podłogę, gdzie uzbierała się już spora kupka podobnych. Nie chciała się tu dzisiaj pokazywać, ale Strata Luna potrzebowała kogoś, kto zawiózłby ją na komendę. A potem kazała jej czekać w samochodzie. Pewnie tak było lepiej, bo Flora nie mogła przestać płakać. Za każdym razem, kiedy myślała, że uspokoi się przynajmniej na kilka minut, zaczynała od nowa. Od płaczu bolała ją głowa. Twarz ją bolała. Nie mogła oddychać przez nos.

Sięgnęła do góry i obejrzała swoje odbicie we wstecznym lusterku. Makijaż miała rozmazany, twarz spuchniętą. Choć David zakazał jej do siebie przychodzić, rozpaczliwie chciała się z nim zobaczyć — ale nie kiedy wyglądała tak okropnie.

Drzwi z tyłu otworzyły się z impetem i do samochodu wsiadła Strata Luna.

Flora wyciągnęła się nad siedzeniem i zaczęła zgarniać mokre, zmięte chusteczki.

— Jedź — rozkazała Strata Luna. — Po prostu jedź. Na Bonaventure. Muszę odwiedzić moje dzieci.

Flora wyprostowała się, zostawiając chustki, i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

— Widziała pani Davida? — zapytała, odbijając od krawężnika.

— Widziałam.

— I?

— Chyba pora, żebyś sobie znalazła nowego chłopaka.

Chwilę po tym, jak Strata Luna wypadła z budynku, zadzwonił telefon Elise.

— Mam coś dla pani — powiedziała Cassandra Vince, naczelny patolog. — Stosując spektrometrię masową, zidentyfikowaliśmy śladowe ilości tetrodotoksyny w wątrobie Gary'ego Turello.

Była to informacja, której potrzebowali, by połączyć dawne zgony z nowymi. A to oznaczało, że ktoś zabijał ludzi za pomocą tetrodotoksyny przynajmniej od półtora roku.

## Rozdział 36

Choć David nigdy nie miał problemu z przypomnieniem sobie dnia, w którym przyszedł na świat jego syn, większość urodzin różnych ludzi i rozmaitych rocznic jakoś mu umykała. Wiedział natomiast, że nigdy nie zapomni dnia śmierci Christiana.

Teraz, siedząc sam w mieszkaniu, musiał przyznać, że podświadomie czuł, iż zbliża się rocznica, nawet jeśli nie powiedział sobie tego wprost. Nie zaznaczył tego dnia na żadnym kalendarzu. Nawet w duszy nie odliczał kolejnych dni, w miarę jak się zbliżał.

Może tak by było lepiej. Może wtedy byłyby w stanie stawić czoło wspomnieniom, kiedy już zapukały do jego drzwi. A w ten sposób, unikając myśli o nadchodzącej rocznicy śmierci syna, pozostał zupełnie bezbronny.

Minęły niecałe dwa dni od wizyty Straty Luny na komendzie i od klątwy, którą na niego rzuciła. Przez ten czas przeczesywali miasto w poszukiwaniu Flory, mając nadzieję ją przesłuchać, ale dziewczyna była nieuchwytna. Zawsze wyprzedzała ich o krok.

No i była jeszcze Elise. Tak cholernie przejęta klątwą. Dla Davida jej troska i niepokój miały mniej więcej tyle samo sensu, co strach przed inwazją kosmitów. A jeśli nawet klątwy były realne? Jego przekłęto wiele lat temu. Co mu tam jedna klątwa więcej?

Do dziewiątej wieczorem ogarnęło go silne przeczucie nadchodzącej katastrofy. Miażdżąca klaustrofobia, która nie pochodziła z zewnątrz i nie miała nic wspólnego z jego mieszkaniem.

To on był klatką. To on był karcerem.

O wpół do dziesiątej ruszyła lawina emocji. I pociągnęła go w dół. Jasne włosy, unoszące się w wannie. Jasnowłosy chłopiec. Jasnowłose dziecko.

Wyciągnij go. Odwróć! Sine wargi. Sine ręce. Małe, sine rączki.

David poczuł ściskanie w gardle. Oczy go zapiekły.

Tak świetnie sobie radził, ale to było oszustwo. Teraz to rozumiał. Po prostu to zakopał. Odłożył do ciemnego kąta, bo nie był w stanie się z tym uporać. Jego psychiatra miała rację. Teraz odwrócił się na chwilę i kiedy spojrzał znowu, wspomnienia przywędrowały z powrotem. Jak na dłoni. Były na wprost niego.

Jasne włosy unoszące się w wodzie. Jego życie. Jego popieprzone, skopane życie. Jak człowiek może znieść tyle bólu? To się wydawało niemożliwe.

Nie powinienem żyć.

Chciałbym wybuchnąć albo sprawić, że serce po prostu przestanie bić.

Muszę się stąd wydostać.

Pragnął się wydostać z własnej głowy, uciec od własnych myśli, bo bał się, że jeśli tego nie zrobi, może w nich utknąć na zawsze. I ból nigdy nie minie. Musiał biec. Uciekać. Serce mu łomotało. Ręce mu się trzęsły, kiedy przebierał się w granatowe szorty i szarą koszulkę. Ciemne ulice zapraszały go. Pachnące. Wilgotne.

Upał dnia przyłgnął do asfaltu. To było coś znajomego. Coś, co mógł zrobić. Biec i zapomnieć.

Rytmiczne klaskanie sportowych butów o asfalt stopniowo go uspokajało. Rozluźniało i koilo. Wprowadzało w trans.

Jak daleko mógł biec? Aż dobiegnie do jutra. I pojutrze. I kolejnego dnia. Wyobraził sobie, że biegnie po powierzchni gigantycznego globusa. Że obiega w kółko cały świat. Nigdzie się nie zatrzymuje. Nie potrzebuje wody ani snu.



Był maszyną. A maszyny nie myślą ani nie czują. Jego stopy uderzały o ulicę. Dwunasty maja. Dwunasty maja. Dwunasty maja. Nie myśl. Nie myśl. Nie myśl.

*Wiedzmi proszek do łóżeczka*

*Sypie twoja kochaneczka.*

*Łóżko się zamieni w grób,*

*Będzie z ciebie śliczny trup.*

Dwunasty maja. Dwunasty maja. Dwunasty maja.

Obserwuję go. Ze swojej kryjówki widzę, jak się zbliża. Biegnie środkiem ulicy. Zatacza się. Dyszy. Jego koszulka jest przesiąknięta potem, pot kapie mu z włosów. "Wygląda na zamyślonego, zdezorientowanego. Może nawet trochę traci rozum. Ale to nic złego.

Biedny David. Moje biedne kochanie, ja cię wyleczę. Sprawię, że ból zniknie. Mogę sprawić, że wszystko zniknie...

David biegł dwie godziny. Nie pamiętał, by myślał o powrocie do mieszkania, ale nagle znalazł się przed domem, na frontowych schodach Świętej Marii od Aniołków. Gdzieś obok zaszeleściły krzaki. Poczł słaby zapach, który trochę przypominał urynę. Kiedy spojrzął w tę stronę, zobaczył Florę.

— David — szepnęła słabym, drżącym głosem. Była smutna. Złamana bólem i żalobą.

— Próbowaliśmy cię znaleźć — powiedział.

Jej twarz rozjaśniła się, ale natychmiast przygasła z powrotem.

— Żeby mnie przesłuchać. Nie jestem w stanie o tym teraz mówić. I nic nie wiem.

— Drobne, pozornie nieważne informacje mogą czasem pomóc zakończyć śledztwo.

— Nie mogę mówić o Enrique. Był dla mnie jak brat. Chodziliśmy razem do podstawówki. Wiem, że nie chciałeś mnie widzieć, ale... — Zakryła dłonią usta, tłumiąc szloch.

Przytrzymał jej drzwi. Weszli do holu, a potem na górę.

Kiedy już znaleźli się w mieszkaniu, przyglnęli do siebie. Po prostu stali i się obejmowali. Ale po chwili ubrania łądowały już na podłodze, a oni szli do sypialni.

— Zrób coś, żebym przestała myśleć — błagała Flora. Małe, sine wargi.

Małe, sine rączki.

— Chociaż na krótką chwilę — prosiła. — Chcę zapomnieć. Muszę zapomnieć.

Padli na łóżko i David zanurzył się w nią. W głębie, w mrok. Zapomnieć. Zapomnieć. Zapomnieć. Każde pchnięcie zbliżało go do zapomnienia.

David spał. Flora nie chciała go budzić. Pozbierała swoje ciuchy i ubrała się szybko, śledzona podejrzliwym wzrokiem kotki siedzącej na kanapie. Od śmierci Enrique Flora mieszkała u Straty Luny. Obiecała, że będzie w domu przed północą. Było po trzeciej.

Florze nie podobało się, że Strata Luna nagle zaczęła się zachowywać, jakby była jej właścicielką. Zawsze traktowała ją jak ulubienicę, ale to Enrique najszczodrzej obdarzała swoistymi względami.

Spojrzała na komórkę.

Do diabła. Trzy nieodebrane połączenia od Straty Luny; ostatnie niecałą godzinę temu. Wymknęła się z mieszkania. Drzwi zamknęły się za nią z głośnym trzaskiem. Na środku holu ogarnął ją chłód. Zatrzymała się.

— Enrique?

Czekała, nasłuchiwała. Chłód zniknął. Co to za zapach? Trochę ziołowy, ziemisty. Trochę jak woda kolońska, której używał Enrique...

Flora zawsze chciała zobaczyć ducha i teraz, kiedy Enrique nie żył, miała nadzieję, że przyjdzie ją odwiedzić. Tyle że Enrique nie płatałby się po Świętej Marii od Aniołków, powiedziała sobie, ruszając dalej korytarzem. Śmiertelnie bał się tego miejsca.

Kiedy wyszła na dwór, Savannah było ciche — słyhać było tylko przejeżdżającą zamiatarkę.

Wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi. Zapach z holu był teraz silniejszy. Niemal duszący.

— Enrique? — zapytała głośno. — To ty?

Cień padł na nią z tylnego siedzenia. Dłoń w rękawiczce zakryła jej usta, coś ostrego dotknęło gardła.

Flora sięgnęła za siebie obiema rękami, celując w oczy.

Ostry przedmiot wbił się w jej ciało. Jedno długie pociągnięcie i nie mogła już oddychać, nie mogła wydać dźwięku. Poczowała płachtę gorącą na piersi, kiedy krew przemoczyła jej bawełnianą bluzkę. Jednocześnie jej dłonie zmieniły się w lód.

Próbowała zobaczyć, kto poderżnął jej gardło, ale nie mogła zmusić oczu do działania, by spojrzały w lusterko. A zresztą to i tak nie miało już znaczenia. Tak naprawdę nic nie miało znaczenia. Ani Strata Luna, ani Czarne Tupelo. Nawet David Gould.

Na filmach umierający ludzie zawsze szeptali imię mordercy. To była bzdura. Flora zrozumiała to właśnie teraz. Bo w tej ostatniej minucie było się już po drugiej stronie. I nagle pojmowało się, że świat to tylko banda głupich ludzi, robiących głupie rzeczy...

## Rozdział 37

Rozmowa telefoniczna z osobą, która przedstawiła się jako siostra Evangeline, dała Elise jakieś takie pojęcie o obecnej egzystencji Loralie. Zaproszono ją też do klasztoru.

Choć wydawało się to banalne, można było zrozumieć, że kobieta po ciężkich przejściach postanowiła schronić się przed światem w zamknięciu. Biologiczna matka Elise nie była pierwszą osobą, która wybrała tego rodzaju azyl. Elise sama знаła kilkoro ludzi, którzy mieszkali w klasztorze, dopóki nie pozbiali się życiowo. Nie znała natomiast nikogo, kto pozostawałby w nim dożywotnio bez składania ślubów.

Klasztor sióstr karmelitanek w Savannah mieścił się w Coffee Bluff, przy polnej drodze prowadzącej od Back Street aż do rzeki Forest. Tłukąc się po wyboistej, zarośniętej dróżce, Elise przypominała sobie swoją fatalną wizytę u LaRue. Pogoda była podobna — wilgotny upał — i tak jak wtedy, od chwili zjazdu z Back Street Elise nie spotkała żywego ducha.

Zatrzymała się przy dwuskrzydłowej żelaznej bramie, nie wyłączając silnika. Klimatyzacja działała na cały regulator. W oddali, na końcu prostej i równej gruntowej alei, ofiankowanej drzewami i krzewami, stał rozłożysty, piętrowy budynek z cegły, w stylu kolonialnym. Wyglądał trochę jak stary szpital albo szkoła.

Czy powinna to robić?

Przez większość życia zastanawiała się, kim jest jej prawdziwa matka, ale po dzisiejszym dniu nie będzie już żadnego gdybania. A czasami nieznane było lepsze niż znane.

Elise nacisnęła stopą gaz i przejechała między filarami wyznaczającymi granicę, za którą kończył się prawdziwy świat, a zaczynało zupełnie inne, odosobnione życie. Wiedziała, że może żałować tej wizyty, ale musiała to zrobić.

W dawnych czasach karmelitanki nie kontaktowały się ze światem zewnętrznym. Nieczęsto przychodzili tu goście, a kiedy już się zjawiali, rozmawiali z zakonnicami przez żelazną kratkę, która wyglądała jak okienko konfesjonału. Czasy się zmieniły. Teraz siostry mogły spotkać się z ludźmi twarzą w twarz.

Staruszka w brązowym habicie przywitała Elise w wejściu i przedstawiła się jako siostra Evangeline.

— Ona na panią czeka — powiedziała zakonnica, prowadząc Elise przez kaplicę i dalej na zewnątrz, przez boczne drzwi. Na końcu krótkiej ścieżki stała mała chata z bali, z czerwonymi drzwiami. Po obu stronach wejścia były okna z białymi szybami i zielonymi skrzynkami, z których wylewały się czerwone petunie.

Matka Elise mieszkała w tym domku.

Wszystko zaczęło nabierać surrealistycznego posmaku.

— Chata od lat stała pusta, kiedy Loralie się tu zjawiała — powiedziała siostra. — Życie karmelitanek składa się z modlitwy i choć

unikamy kontaktów ze światem, zagłosowałyśmy i uznałyśmy, że nie możemy jej odesłać. Sióstr ubyłoby i chata stała pusta... to było dwadzieścia lat temu — dodała z miną konspiratorki.

Serce Elise tłuło się z całych sił i trudno było jej się skupić na słowach kobiety. Odpowiedziała słabym uśmiechem.

— Dalej pójdzie pani sama — powiedział siostra Evangeline, zatrzymując się z rękami ukrytymi pod warstwą brązowego materiału. Odwróciła się i spokojnie ruszyła ścieżką z powrotem do kaplicy.

Elise zagapiła się na czerwone drzwi.

Wolałaby, żeby siostra Evangeline nie odchodziła. Żałowała, że w ogóle tu przyjechała. Żałowała, że nie porozmawiała najpierw z kobietą czekającą w tym domku. Przez telefon. Żeby przełamać lody.

Nie czekając, aż panika do reszty ją opanuje, ruszyła przed siebie i zapukała; trochę za głośno. Głos z głębi domku odpowiedział natchmiast, prosząc ją, by weszła.

Elise otworzyła drzwi, ale zatrzymała się z jedną nogą na progu, a drugą na kamiennym schodku na zewnątrz. Wnętrze było ciemne i jej oczy potrzebowały czasu, by się przyzwyczaić.

Jeden duży pokój. Stół w najdalszym kącie. Ktoś przy nim siedział.

— Zamknij drzwi.

Głos był zachrypnięty, jak u kogoś, kogo boli gardło albo kto urodził się z papierosem w ustach.

Elise oddychała nierówno, płytko; dłonie jej się pociły. Jako policjantka przez lata stawiała czoło wielu niebezpiecznym ludziom i nigdy nie przyspieszył jej puls, nie podskoczyło ciśnienie — ale to była najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiła w życiu.

Jej oczy powoli przyzwyczaiły się do półmroku i przedmioty stały się wyraźniejsze. Weszła do środka.

— Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać. — Gardło miała ściśnięte, ale ktoś, kto jej nie znał, nie zauważyłby zmiany w tonie głosu.

Kobieta, jej matka, zapaliła papierosa małą, gazową zapalniczką i rzuciła ją na stół. Błysk był zbyt krótki, by Elise zdążyła jej się dobrze przyjrzeć. Włosy do ramion. Chyba ciemne. Tylko tyle.

— Kiedy Strata Luna zadzwoniła — zaczęła Loralie — powiedziałam: „nie”. Powiedziałam, że nie mogę ci spojrzeć w oczy, nie mogę się z tobą zobaczyć. Ale kiedy pomyślałam, że cię nigdy nie poznam... cóż, żałowałabym tego. A poza tym jestem ci to winna.

Jeszcze jak.

Elise przeszła przez pokój. Podeszwy jej butów stuknęły głucho o drewnianą podłogę.

Nie było tu wiele mebli. Żadnych obrazów na ścianach. Żadnych dywanów. Nic, co tłumiloby dźwięk. Stół był mały i wąski. Elise wysunęła jedyne wolne krzesło — kruchy antyk — i usiadła. Nogi jej się trzęsły.

Loralie odchyliła się do tyłu i założyła ręce na piersi, trzymając papierosa między dwoma palcami.

— Miała rację. Rzeczywiście jesteś do niego podobna.

Teraz Elise spostrzegła, że chuda twarz kobiety okolona była kręconymi, siwymi włosami, a jej oczy miały wypłowiałą, orzechową barwę. Wyglądała na sześćdziesiątkę, ale nie mogła mieć więcej niż pięćdziesiąt lat.

Zupełnie zwykle oczy, stwierdziła Elise. I regularne rysy. Twarde, przypominające trochę twarze ludzi z czasów wielkiej suszy. To poczucie porażki, zmęczenia życiem. Nie, to było coś więcej niż porażka. Loralie była kimś, kto dotarł do etapu absolutnego pogodzenia się z losem — co w pojęciu Elise było jeszcze gorsze.

— Dziwne, co? — Loralie zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym pod sufit, krzywiąc blade wargi. — Tak się we mnie wpatrujesz. Ja zawsze wiedziałam, kim ty jesteś, więc nie musiałam się zastanawiać. — Strzepnęła popiół do popielniczki przepełnionej niedopałkami.

Czyżby siedziała tu od wielu godzin, paląc jednego papierosa za drugim i czekając na Elise?

— Strata Luna przeklęła mnie, kiedy byłam z tobą w ciąży. Powiedziała ci o tym?

— Nie.

— Mówiła, że to dlatego, że podrywałam i kusiłam jej mężczyznę. — Jacksona Sweeta?

— Tak, tyle że Jackson Sweet nie był niczym mężczyzną. Był wolnym duchem. To nie była moja wina, że mnie chciał. Ale na pewno

nie miałam zamiaru go odrzucać. — Wybuchnęła krótkim śmiechem na tę absurdalną myśl.

Elise poczuła, że nogi przestały jej się trząść. Spokój, który ogarniał ją czasami w trudnych chwilach, przyszedł jej na ratunek i teraz. Wszystko zwolniło. Mogła myśleć, analizować, reagować.

— Czy Jackson Sweet był moim ojcem?

— Wtedy nie byłam prostytutką. I nie spałam z żadnym innym mężczyzną prawie od roku. Niemożliwe, żebyś była dzieckiem kogoś innego.

Elise odetchnęła głęboko. Okej. Więc teraz wiedziała. Ta kwestia została wyjaśniona raz na zawsze.

— Czy to z powodu klątwy zostawiła mnie pani na cmentarzu?

— Bałam się przez całą ciążę. Byłam prawie dzieckiem. A kiedy ktoś tak potężny jak Strata Luna rzuci na ciebie klątwę, nie da się o tym zapomnieć. Poszłam do Jacksona i błagałam, żeby ją odwrócił, ale on się tylko roześmiał. Powiedział, że Strata Luna nie ma mocy nad nim ani nad jego dzieckiem. Ale potem zachorował, a ja się bałam, że klątwa jednak go dopadła. A kiedy się urodziłaś i zobaczyłam twoje oczy, zwariowałam ze strachu i pomyślałam, że przekleństwo dosięgło i dziecka. Myślałam, że jak cię wyrzucę, oddam cię na ofiarę, Jackson wyzdrowieje.

— Jakie oczy miał Jackson Sweet? — Nie mógł mieć takich jak Elise, bo Loralie by się tak nie wystraszyła.

— Brązowe. Ciemnobrązowe. Nie wiem, skąd ty masz swoje oczy. Nikt w mojej rodzinie takich nie miał. Babcia Jacksona była szamanką. Ludzie mówili, że miała kwadratowe źrenice. Widziałam raz jej zdjęcie, ale oczy miała zasłonięte niebieskimi, magicznymi okularami. Tymi samymi, które potem nosił Jackson.

Teraz miała je Elise.

— Co pani zrobiła, kiedy umarł?

— Chciałam, żeby wszystko się skończyło. Przestałam o siebie dbać, robiłam dużo złych rzeczy, brałam narkotyki. Przez kilka lat żyłam na ulicy, aż w końcu wylądowałam w szpitalu dla czubków. Była tam zakonnica, która powiedziała mi o tym miejscu. I pomyślałam, że może się tu na trochę zatrzymam, bo nie miałam pieniędzy ani dokąd pójść.

I została tu do dzisiaj...

— Myślała pani kiedykolwiek, żeby stąd odejść?

— Kilka razy, ale tu jest dobrze. Spokojnie. Bezpiecznie. Za pokój i jedzenie zajmuję się ogrodem. Odpowiada mi to.

— Mogę jednego? — Elise wskazała papierosy. Loralie podsunęła jej paczkę i zapalniczkę.

— Nie powinnaś palić.

— Ktoś już mi to ostatnio powiedział.— Elise postukała papierosem o stół i zapaliła go. Nie miał filtra. Loralie poważnie traktowała swój nałóg.

— Napijesz się czegoś? — zapytała, opierając ręce o stół, by dźwignąć się na nogi. — Może wody?

Elise pokręciła głową i zdjęła okruh tytoniu z języka. Nikotyna przenikała prosto do jej krwiobiegu, przyspieszając bicie serca.

— Chcę, żebyś wiedziała, że myślałam o tobie. — Loralie usadowiła się z powrotem na krzesło, wyjęła nowego papierosa i przypaliła go od starego. W pomieszczeniu zaczynało być gęsto od dymu. — Wiedziałam, że jest ci dobrze. Trafiłaś na przyzwoitą rodzinę i miałaś lepsze życie, niż mogłabym ci zapewnić.

To była prawda. Rodzina, która ją wzięła, nigdy nie była dla niej zła. Elise po prostu do nich nie pasowała, nie przystosowała się. Co było dziwne, bo ludzie potrafią się przystosować do wszystkiego. A ona zachowywała się jak przedstawiciel jakiegoś zagrożonego gatunku, który uparcie trzyma się nieznanego dziedzictwa.

Rozmowa zmieniła charakter. Opowiedziała trochę o sobie i o Audrey. A potem było po wszystkim. Loralie oznajmiła, że pora już, by Elise sobie poszła.

Zgasiła papierosa. Był mocny i trochę kręciło jej się w głowie.

— Może przyjdę jeszcze kiedyś. — Pomyślała, że przyniesie parę rzeczy. Karton papierosów. Pralinki i czekoladę.

Loralie spojrzała jej w oczy bez zmrużenia powiek.

— Lepiej więcej nie przychodź — powiedziała bez ogródek.—To było dla mnie trudne.

Elise była zawiedziona, ale rozumiała ją. Loralie chowała się przed światem i swoją przeszłością. Obie potrzebowały zamknięcia swojej historii. Teraz miały to za sobą. Było po wszystkim.



— Możesz mi przysłać zdjęcie? — zapytała Loralie. — Swoje i Audrey? A jeśli zobaczysz się ze Stratą Luną, powiedz jej, że nie żywię żadnej urazy. Zaznała wiele bólu w życiu. Klątwa potrafi się zemścić na tym, kto ją rzuca. Zamiast polować na mnie, powinna była sama pomalować na niebiesko futryny okien i drzwi i zastawić pułapkę, żeby zło za nią nie poszło.

Elise wyszła z domku.

Kiedy jechała z powrotem zarośniętą drogą, zadzwonił do niej David.

— Morze wyrzuciło ciało na wyspie Tybee — powiedział. Dobrym wieściom nie było końca.

## Rozdział 38

Wyspa Tybee nie podlegała żadnemu komisariatowi w Savannah, ale władze samorządowe małych miast często prosiły Savannah o wsparcie w przypadkach podejrzanych zgonów.

Trzymając się wskazówek, które im podano, jechali nieoznakowanym policyjnym autem po płaskiej, asfaltowej drodze. Prowadził David.

— Tam. — Elise wskazała grupkę samochodów.

Ta część wyspy była piaszczysta, było tu bardzo niewiele roślinności. Tu i ówdzie sterczało buntowniczo kilka kępek morskiej trawy i juk.

Ekipa dochodzeniowa FBI była na miejscu; zdążyli już ogrodzić spory teren, nad którym rozpięto trzy duże namioty, dające osłonę przed słońcem i gapiami.

— Nie ma jeszcze dziennikarzy — stwierdził David, wyłączając silnik. Wsiadł z klimatyzowanego samochodu. Zaparkował spory kawałek dalej, by łatwiej im było się stąd wydostać, gdy zbierze się tłum.

— Wyznaczyli szeroką strefę ochronną — dodała z aprobatą Elise. — To zatrzyma poszukiwaczy mocnych wrażeń. Podeszli do jednego z policjantów stojących na straży.

- Jak to było? — zapytał David. — Kto znalazł ciało?
- Miejskowa rodzina, która wybrała się na spacer po plaży.
- Mężczyzna czy kobieta? — zapytała Elise.
- Kobieta.

David spojrział na Elise. Widział, co sobie pomyślała. Kolejna ofiara, która nie pasuje do modus operandi mordercy odTTX.

Piasek był drobny jak puder i głęboki. Elise i Gould pobrnęli ku plaży, aż w końcu dotarli do twardego, ubitego pasa, odsłoniętego przez odpływ.

Jeden z agentów oderwał się od grupki i zmierzył ich podejrzliwym wzrokiem.

Otworzyli poły marynarek, by pokazać odznaki.

— Agent Spaulding z FBI, wydział zabójstw — przedstawił się. Podał kartkę komuś stojącemu obok. — Koroner bardzo się grzebie — poskarżył się, wskazując długopisem za siebie, na kobietę, o której mówił.

— Ma się za doktor Quinn czy co.

Rozstawił nogi i zaczął się lekko kiwać w typowej wojskowej pozie. Z notesem w ręce zapytał:

— Jak się literuje wasze nazwiska?

Podali mu nazwiska i numery odznak. Zapisał dane i przyjrzał się im obojgu, przygryzając koniec długopisu. W końcu skupił się wyłącznie na Davidzie.

— Ty jesteś ten Jankes, co?

— O ile dobrze pamiętam historię swojego kraju — powiedział David — to nie ma w nim żadnych „Jankesów” już od ponad stu lat.

— Tak — powiedział agent, posyłając Elise spojrzenie, które miało ją utwierdzić w przekonaniu, że są po tej samej stronie barykady. — Słyszałem o tym gościu.

— I cóż mówią ludzie? — zapytał David.

— Chodźmy — rzuciła Elise, by Gould nie zdążył powiedzieć czegoś, czego nie powinien, i nie skończył z naganą w papierach. Spaulding najwyraźniej reprezentował ten niewielki odsetek stróżów prawa, którzy wybrali ten zawód dla prestiżu, i postrzegał Davida jako samca naruszającego jego terytorium.

David nawet na nią nie spojrział.

— Na pewno mówią, że jestem nieuprzejmy. Zgadza się?

W jego tonie nie było słyhać złości, tylko rozbawienie. Ale był wściekły. Elise to wiedziała.

— Zgadza się — przyznał agent.

— I że nie potrafię działać w zespole. — Ty to powiedziałaś, nie ja.

— I że nie dbam o sprawy, nad którymi pracuję. — David zaczynał podnosić głos. Jego gniew był coraz bardziej oczywisty, nawet dla kogoś, kto nie znał go dobrze. — I że jestem niezrównoważony. Czy problemy psychiczne też były na liście?

— Odczep się ode mnie — powiedział Spaulding. Spojrział na Elise.

— Zabierz ode mnie swojego partnera.

— David. — Elise miała nadzieję, że nie będzie musiała odciągać go siłą za kołnierz. — Chodź.

Kiwnął głową. Nie zaszczycając więcej Spauldinga spojrzeniem, odwrócili się i poszli w stronę znalezionej ciała.

Elise myślała już, że jest po sprawie, ale nagle David obrócił się na pięcie.

— Hej, koleś! — krzyknął. — Pieprzona wojna secesyjna już się skończyła! Skończyła się!

Major Hoffman byłaby zachwycona, gdyby ta skarga trafiła na jej biurko, pomyślała Elise, kiedy ruszyli dalej.

— Przepraszam — powiedział David. — Ale miałem dość jego pieprzenia.

Wyglądało na to, że ciała jeszcze nie ruszono. Było nagie. Leżało twarzą do góry. Wzdęte i blade. Oblepione piachem.

Robiono mu zdjęcia. Agenci наносili na diagram jego pozycję.

FBI miało dobrych fachowców. Elise i David nie przyjechali tu nadzorować czynności śledczych. Wysłano ich, aby obserwowali i służyli radą i pomocą w razie potrzeby.

Nad ciałem kuciała młoda kobieta. Jasne włosy miała spięte w koński ogon. Ubrana była w szorty khaki i białą koszulkę z czarnym napisem KORONER na plecach.

Ofiara miała długie, ciemne włosy. Twarz była groteskowo spuchnięta i zdeformowana, ciało pogruchotane i stłuczone, prawdopodobnie przez fale przyboju. Na pewno trudno będzie określić przyczynę zgonu.

Wszyscy byli pochłonięci dyskusją o przyptywach i odpływach oraz spekulacjami, jak długo ciało leżało w wodzie.

— Dajcie ją na drugą stronę — oznajmiła koroner z polaroidem w ręce. Ciało zostało przewrócone na brzuch.

Zaczęły pstrykać aparaty.

— Co to jest? — Ktoś wskazał palcem. Elise i David pochylili się bliżej.

Na leżdziach zmarłej, na wpół przykryty piaskiem, widniał znak Czarnego Tupelo.

Elise spojrzała na Davida. Gapił się na ciało. Wyjęła telefon i zadzwoniła na komendę.

— Cześć, Eddie. Chcę wiedzieć, czy w ostatnich dniach zgłoszono czyjeś zaginięcie. Szczególnie interesują mnie kobiety.

Odczekała, aż jej rozmówca dotarł do odpowiednich danych. Okazało się, że było jedno zgłoszenie. Elise podziękowała i rozłączyła się. David wciąż wpatrywał się w ciało, w implant na kręgosłupie.

— Chodźmy stąd — powiedziała do niego.

Nie odpowiedział. Złapała go za ramię. Uniósł głowę, ogłuszony, z popielatą twarzą. Nad ich głowami krążyły ptaki.

— Musimy iść — powiedziała stanowczo Elise.

Jej słowa w końcu do niego dotarły. Kiwnął drętwo głową i ruszył w jej stronę, potykając się. Ramię w ramię brnęli przez piach do samochodu.

— To Flora, prawda? — zapytał w końcu.

— Strata Luna zgłosiła wczoraj wieczorem jej zaginięcie — odparła Elise. — Nie słyszeliśmy o tym, bo nie minęło dość czasu, by sprawa nabrała oficjalnego toku.

— Wiedziałem. To znaczy, miałem przeczucie od samego początku. Kiedy zobaczyłem ciemne włosy, po prostu mnie tknęło.

— Prostitutek prowadzą niekonwencjonalne życie — powiedziała Elise, szukając słów pocieszenia. — Ciągłe znikają, a potem zjawiają się zdziwione, o co tyle krzyku.

— Pewnie szybko zidentyfikują ciało — powiedział David głosem robota.

Elise kiwnęła głową. — Wtedy będziemy wiedzieli.

— Byłem z nią przedwczoraj w nocy. — Uniósł głowę, by wy badać reakcję Elise.

Zrobiła skonsternowaną minę, powtórzył więc swoje słowa z krzywym, rozpaczliwym uśmiechem.

— Myślałam, że miałeś przestać się z nią spotykać — powiedziała Elise. — Myślałam, że przestałeś.

— Czekala na mnie, kiedy wróciłem do domu. To się po prostu stało.

Spojrzał w kierunku zamkniętej strefy. W kierunku zmltretowanego ciała, które mogło być Florą. Zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu, jakby próbował wymazać ten obraz z pamięci.

— Moje życie jest kompletnie popieprzone — szepnął. — Nie wiem... Czasami czuję się, jakbym przyciągał zło jak magnes. — Wyprostował się i spojrzał na nią, jakby mogła mieć na to odpowiedź.

— Jak się nazywa ten gość z *Fistaszków*? Ten, który ma zawsze chmurę brudu wokół siebie?

— Pig Pen?

— Tak. Ja jestem tym chłopcem. Ale zamiast brudu krąży wokół mnie zło. Wszędzie za mną chodzi.

Elise wiedziała, że powinna teraz formułować możliwości, układać listę osób do przesłuchania. Powinna przynajmniej próbować poprawić mu samopoczucie. Ale mogła myśleć tylko o klątwie, którą rzuciła na niego Strata Luna.

Zawsze zakładała, że klątwy działają tylko wtedy, kiedy przeklęty w nie wierzy. Trochę jak placebo. Teraz nie była tego taka pewna, bo David miał rację. Jego życie było kompletnie popieprzone.

## Rozdział 39

Starsky, z duetu Starsky i Hutch, zapukał w otwarte drzwi gabinetu.

— Znamy już tożsamość ciała z wyspy Tybee — powiedział, opierając się o futrynę.

David obrócił się plecami do detektywa.

— Flora Martinez — oznajmi! Starsky.

Gould poczuł się, jakby dostał pięścią w brzuch. Choć wiedział, że to będzie ona, podświadomie czepiał się nadziei, że jednak nie.

— Dzięki za informację — powiedział, gapiąc się na rybki z wygasza—cza ekranu.

Jezu. Flora.

Czy zginęła przez niego? Może była w jakiś sposób związana ze sprawą TTX? A może wszystko to stało się dlatego, że była prostytutką. Trafił jej się po prostu jakiś zboczony klient. Wtedy mieliby morderstwo zupełnie niezwiązane z nim i ze śledztwem?

—To jeszcze nie wszystko — dodał Starsky. — FBI sprawdziło parę rzeczy i teraz chcą, żebym cię doprowadził na dół, na przesłuchanie.

David nie był zaskoczony. Zdziwiło go tylko, że tak szybko pokoja—rzyli tych kilka przypadkowych faktów.

Wstał zza biurka, opuścił podwinięte rękawy i włożył marynarkę. Kiedy wyszedł na korytarz, zobaczył, że Hutch czai się kilka kroków dalej, prawie zacierając ręce z zadowolenia. Janek szedł na dno.

Zaciekawieni pracownicy sterczeli w drzwiach. Stali grupkami wokół automatów z wodą i łazienek. Znajome i nieznajome twarze pojawiały się i znikwały z jego pola widzenia. Wprost przed nim korytarz był cichy. Ale kiedy przechodził, zaraz za jego plecami zaczynały się szepty.

Osobista historia Davida zdawała się nabierać własnego życia, stała się bytem, który wypełniał ceglany budynek. Wszyscy mówili o Davidzie Gouldzie.

— Nie rozumiem, dlaczego w ogóle go tu przysłali, skoro był pod nadzorem psychiatrycznym.

—To nic nie znaczy — twierdził inny głos. — Połowa naszych ludzi powinna chodzić do psychiatrii. Ha, ha, ha.

— Słyszałeś o jego dziecku?

— On ma dziecko?

Taka historia jak jego nie mogła pozostać tajemnicą na zawsze. Prawda w końcu dotarła za nim do Savannah.

— Miał. Nie żyje. Zabiła je jego żona. Dlatego odszedł z FBI. Zalał się. Odesłali go do domu, do Cleveland. W Cleveland go nie chcieli, więc co zrobili? Podesłali go do nas.

Nie słuchaj, powiedział sobie David. Ale nic nie mógł na to poradzić. Oni wszyscy mieli z tego dużą radochę.

Nie myśl. Na to też nie miał wpływu.

Był outsiderem. Białym koniem w czarnym tabunie, którego inne konie chciały zabić za to, że się od nich różnił. I nie chodziło tylko o to, że pochodził z Północy. Niektórzy z jego współpracowników czerpali chora przyjemność z patrzenia, jak agent FBI idzie z hukiem na dno.

W pokoju przesłuchań czekał na niego Spaulding. Starsky i Hutch też mieli być obecni.

Cudownie. Będzie go przesłuchiwać trzech gości, których najbardziej lubił. Prawdziwy fanklub Davida Goulda. Te dupki powinny się czuć zażenowane, przesłuchując swojego kolegę. Ale nawet jeśli się nie uśmiechali, David wyobrażał sobie, że z trudem trzymają na wodzy swoje podniecenie.

Usiadł. Kamera i dwa magnetofony były już włączone. Po nagraniu daty i godziny zapytali Davida o pełne nazwisko i datę urodzenia. W końcu Spaulding przeszedł do konkretów.

— Czy jest pan aktualnie pod opieką psychiatrii?

— Byłem, do niedawna. — David oparł się wygodniej. — Osobiście uważam, że każdy komisariat powinien mieć psychiatrę na etacie.

— Bierze pan jakieś leki? — Nie.

— Nie? — Spaulding wyjął tekturową teczkę. — Uzyskaliśmy wgląd w pańskie akta i wynika z nich, że zalecano panu zażywanie dużych dawek paxilu i środka uspokajającego aż do odwołania zaleceń.

— Uznałem, że już tego nie potrzebuję. Spaulding kiwnął głową.

— Interesujące. A ma pan dyplom z psychiatrii?

— Przestań pieprzyć.

Spaulding stosował standardową technikę przesłuchania. Przynęta i zmiana. Zmieniało się temat, waliło czymś z zaskoczenia, a potem wracało do rzeczy. David sam wiele razy stosował tę metodę. Robił to lepiej.

— Znał pan Florę Martinez? — zapytał Spaulding. — Tak.

— Jak dobrze? — Agent siedział na wprost Davida. Starsky zajął miejsce przy końcu stołu, a Hutch podpierał ścianę koło drzwi.

— Dość dobrze.

— Czy był pan klientem pani Martinez?

— Nie nazwałbym się klientem. Byliśmy znajomymi.

— Ale pan, detektyw z wydziału zabójstw, korzystał z jej usług.

Zgadza się?

David z przyjemnością zauważał, że Spaulding zaczynał nabierać gruszkowatych kształtów, charakterystycznych dla detektywów, spędzających zbyt wiele czasu za kółkiem i żywiących się fast foodem.

— Raz.

— Tylko raz?

Spaulding położył na stole mały terminarz.

— Ten organizator należał do ofiary, Flory Martinez. Czy to nie pańskie nazwisko i adres? Tu, na stronie dwudziestej trzeciej? David się pochylił. — Tak.

— I pański numer telefonu? — Tak.

— Dziwne, że jednorazowa...

David był pewien, że Spaulding powiedziałby jednorazowy numer, gdyby przesłuchanie nie było nagrywane.

— ..wymiana... zapewniła panu stałe miejsce w jej terminarzu.

— Zamówiłem ją raz. Potem staliśmy się... przyjaciółmi. — To nie było właściwe słowo. Kim byli dla siebie? Kochankami? To też nie było dobre słowo.



— Czy to prawda, że Flora Martinez miała obsesję na pańskim punkcie? Że często parkowała pod pańskim domem, czekając na pana?

— Obsesję? Ja bym tego nie nazwał obsesją. Podobałem jej się, bo jestem detektywem. Niektóre kobiety to kręci. Jestem pewien, że pan wie, o czym mówię.

Mógłby się założyć, że Spaulding należał do facetów, którzy używają znaczka, żeby zaciągnąć kobietę do łóżka.

Agent położył na stole mały, plastikowy woreczek. Włożył lateksowe rękawiczki, rozpieczętował go i wyjął kawałek czerwonej flaneli. Małe pomieszczenie wypełnił gryzący smrodek starego moczu. Wszystkich oprócz Spauldinga aż cofnęło.

Szmatka okazała się małą, zaciąganą na sznurek torebką. Spaulding otworzył ją i wyjął przedmiot owinięty w przemoczony szary papier.

— Znaleźliśmy to z rzeczami ofiary. — Rozwinął papier i wyglądził go na stole.

Było na nim wypisane imię i nazwisko Davida, raz koło razu. W poprzek widniały wypisane kilka razy słowa *KOCHAJ ALBO GIŃ*.

Jezu. To było chore. David pomyślał o tym, jak Flora zaczęła go nachodzić, jakby spodziewała się, że będzie ją witał z radością, jak swoją dziewczynę. I jaka była zaskoczona, wręcz zszokowana, kiedy jej powiedział, że ma się trzymać od niego z daleka.

—To miasto jest popieprzone — powiedział, kręcąc głową.

—Widział pan już to kiedyś? — zapytał Spaulding, wskazując świnię na stole.

—Nie.

—Wie pan, co to jest?

— Założę się, że chętnie mnie pan uświadomi — odparł David, starając się nie mrugać od oparów amoniaku, które piekły go w oczy.

—To się nazywa *mojo*. Ma rzucić czar na osobę, której nazwisko jest wypisane na papierze. To znaczy na pana. Popytałem o to trochę. Żeby czar działał, Flora musiała codziennie oddawać na to mocz. Ja bym to nazwał obsesją. Pan nie?

David nazwałby to po prostu chorym filmem.

Flora. Jezu. Co ona sobie wyobrażała?

- Można powiedzieć, że pana prześladowała, nieprawdaż?
- Nie prześladowała mnie. Zwykle cieszyłem się na jej widok, choć w końcu poprosiłem ją, żeby przestała przychodzić.
- I przestała?
- Na jakiś czas.
- Dlaczego pan tego nie zgłosił na policję? David popatrzył na niego.
- To było zupełnie niepotrzebne.
- Gdyby mnie nachodziła prostytutka, czasami kilka razy dziennie, a do tego płątałyby się wokół mojego domu, doniósłbym na nią.
- Z pewnością — rzucił ironicznie David. Kłamliwy gnój.
- Kiedy ostatni raz widział pan Florę Martinez? — Jedenastego maja. — David zastanowił się chwilę. — A właściwie dwunastego. — Bo skończyli się kochać po północy.
- Więc była z panem w nocy z jedenastego na dwunastego maja? Zgadza się?
- Spaulding wstał, postawił stopę na siedzisku krzesła, oparł łokieć na kolanie i pochylił się w stronę Goulda.
- Proszę mi opowiedzieć o tym spotkaniu.
- Nie było mowy, by David zwierzył mu się, co go tego dnia doprowadziło do załamania.
- Poszedłem biegać. Kiedy wróciłem, Flora czekała przed moim mieszkaniem. Koniec opowieści.
- Została na noc?
- Nie wiem, jak długo została. Zasnąłem. Kiedy się obudziłem, już jej nie było.
- Agent otworzył teczkę, wyjął kartkę i podsunął ją Davidowi. Wstępny raport koronera.
- Może pan od razu przejść na koniec — powiedział. — Tam, gdzie jest napisane „przybliżony czas zgonu”.
- 11 maja, godzina 20.00—13 maja, godzina 02.00.
- To spory przedział czasowy — powiedział David. — Tak działa woda. Co pan z pewnością wie.
- Owszem.

—Tyle że spora część tego przedziału pokrywa się z czasem, który Flora spędziła w pańskim mieszkaniu. David przesunął kartkę z powrotem po stole.

— Co pan chce powiedzieć?

— Że jest pan głównym podejrzanym o zamordowanie Flory Martinez.

— Tak przypuszczałem.

— Kolejna rzecz, którą może pan zauważył w raporcie z autopsji... gardło Flory Martinez zostało podejrzięte, tak jak Enrique Xaviera. Wie pan, co myślę? Myślę, że upodobił pan zabójstwo Martinez do zabójstwa Xaviera, żeby nas wprowadzić w błąd. Czy jest jeszcze coś, co chciałby pan nam powiedzieć?

David wstał. Nie mieli dowodów. Nie mogli go zatrzymać.

— Oprócz pytania, czy to mama wybiera panu ciuchy? Spaulding się roześmiał. David musiał przyznać, że była to marna obelga, ale był zestresowany.

— Major Hoffman czeka na pana w swoim gabinecie. — Spaulding spojrział na dwóch detektywów. — Odeskortujcie go, z łaski swojej. Nie chcemy, żeby się zgubił i wylądował w swoim samochodzie jadącym na Florydę.

— Muszę pana poprosić o oddanie odznaki — powiedziała major Hoffman.

David trzymał ją już w ręce.

— Przez ostatnie trzy miesiące dotarły do mnie liczne skargi na pana. — Uniosła niewielką stertę kartek. — Chce je pan przejrzeć?

— Nie trzeba.

— Te skargi, razem z pańskim pozazawodowym związkiem z Florą Martinez, rzucają złe światło na nasz komisariat. Muszę pana zwolnić.

David położył odznakę na biurku, po czym wyciągnął swój służbowy pistolet, rozładował go i odłożył obok odznaki, razem z amunicją.

Nie miał tego za złe pani major. Nie mogła ryzykować, zatrzymując go na służbie. No i media. Dziennikarze będą zachwyceni.

—To naprawdę wielka szkoda — powiedziała smutno major Hoffman. — Myślę, że mógł pan być jednym z moich najlepszych detektywów. Szkoda, że się pan uparł zniszczyć samego siebie.

David pomyślał o kłątwie Straty Luny i o prawie serii. To wszystko były tylko wymówki. Hoffman miała rację. Sam ściągnął to na swoją głowę.

— Proszę zostać w mieście — dodała. — Być może będziemy musieli jeszcze pana przesłuchać.

Kiwnął głową i wyszedł za drzwi, zamykając je starannie za sobą.

Wróciwszy do gabinetu Elise wysypał zawartość szuflad swojego biurka do tekturowego pudła.

Zdumiewające, ile gówna potrafi zgromadzić człowiek w tak krótkim czasie. Wyglądało to, jakby tu pracował parę lat, nie miesięcy. Spojrzał na swój dobytek. Długopisy, ołówki, kartki, paragony, notesy, notatki.

Nic. Tylko śmieci zajmujące miejsce.

Zaniósł pudło do kosza i wyrzucił wszystko.

Zdjął z tablicy ogłoszeniowej swoje zdjęcie z Elise. Patrzył na nie przez chwilę i w końcu wsunął do kieszeni marynarki. W korytarzu rozległy się kroki. Drzwi otworzyły się z hukiem.

—Właśnie się dowiedziałam — rzuciła Elise.

Brakowało jej tchu. Była wściekła. Na niego?

— Nie mogą tego zrobić! — powiedziała ze złością.

— Daj spokój, Elise. Opuść sobie — odparł łagodnie. — Czuł taki spokój tylko kilka razy w życiu. To było miłe uczucie. Jakby jakiś łagodny święty zamieszkał w jego ciele. — Jest okej.

— Nie jest okej.

— I tak bym tu nie zagrzał miejsca. Oboje to wiedzieliśmy. Wszyscy to wiedzieli. Nie spodziewałem się, że tak to się zakończy, ale czy to ma znaczenie?

Ze zdziwieniem stwierdził, że jednak ma. Dla niego.

Przez cały ten czas myślał, że może powinien całkowicie zrezygnować ze służby w policji. Ale teraz, kiedy to się stało, wcale nie był zachwycony.

No i Elise. Była dobrą partnerką. I naprawdę zaczęli się docierać.

— Oczywiście, że to ma znaczenie! — powiedziała Elise. — Nie mogę uwierzyć, że tak łatwo się poddajesz. Że pozwoliłeś, żeby Mason i Avery dobrali ci się do tyłka.

— Mason i Avery? Spojrzała na niego wściekle.

— Starsky i Hutch.

— A, oni. — Westchnął ciężko. — Elise, to nie ma nic wspólnego z nimi. Ani z faktem, że wciąż przegrywam tutaj konkursy popularności. Jestem podejrzany o morderstwo.

— Jesteś idiotą, jeśli myślisz, że to nie ma nic wspólnego z twoją pozycją. Myślisz, że Mason... Starsky zostałby zwolniony za coś takiego? Nie! Tuszowaliby sprawę, dopóki nie wykryto by prawdziwego mordercy, a potem wszystko poszłoby w zapomnienie. Może dostałby trochę po łapach za lansowanie prostytutki.

— Przykro mi. — Naprawdę było mu przykro. Lubił Elise.

— Coś ty sobie myślał? Dlaczego w ogóle zamawiałeś prostytutkę? Nie mówiąc już o tym, że się z nią zaprzyjaźniłeś?

— To chyba nie wymaga wyjaśnień.

Jego odpowiedź wyraźnie wprawiła ją w zakłopotanie.

— David... czy twoja była żona ma długie, ciemne włosy? — Tak, ale...

— Wiesz, co mówią ludzie na dole? Że dwunastego była rocznica śmierci twojego syna. Tego samego dnia, kiedy Flora była w twoim mieszkaniu.

— To prawda.

— I kiedy Flora przyszła tego wieczoru do ciebie, z tymi swoimi długimi, ciemnymi włosami, odbiło ci i zamordowałeś ją, myśląc, że to twoja żona.

Gapił się na nią długo, widząc, że czeka na jego odpowiedź, na reakcję. Nie Elise... to bolało. To naprawdę bolało.

— Dzięki za zaufanie — powiedział. Wyszedł z gabinetu.

Mijając pojemnik na śmieci, zatrzymał się i wyjął zdjęcie z kieszeni. Długo trzymał je nad koszem. Wydawało mu się, że kilka minut, choć tak naprawdę minęła może sekunda czy dwie.

Jego życie wiele razy zaczynało się od nowa. I kończyło. I choć to zdjęcie reprezentowało raczej koniec niż początek, nie mógł się zdożyć na wyrzucenie go.

Włożył je z powrotem do kieszeni i poszedł dalej.

Na zewnątrz czekali dziennikarze.

Złe wieści rozchodziły się szybko.

## Rozdział 40

Ktoś pukał. David pakował się dalej, ignorując irytujący dźwięk. Pukanie nie ustawało. Naprawdę wkurzony wrzucił koszulę do walizki leżącej w nogach łóżka, podszedł do drzwi i wyjrzał przez judasz.

W ciemnym korytarzu stała kobieta w czarnej woalce i długiej czarnej sukni.

*Dzieciątka w łóżeczku,*

*Pani w czarnej sukni...*

Strata Luna. Teraz ona będzie go nachodzić? Otworzył drzwi. — Przyszła pani odczynić klątwę?

Uniosła rękę w rękawiczce dłonią do góry. I dmuchnęła. Nie zobaczył niczego, ale nagle gorzki, metaliczny smak wypełnił mu usta. Jego język natychmiast spuchł i zdrętwiał. Kuuurrrr... Nie zdołał zakląć.

Zrobił dwa kroki do tyłu, siłował się, chcąc zamknąć drzwi. Kobieta pchnęła je mocno. Weszła za nim do mieszkania i zatrzasnęła drzwi za sobą. Był tylko on. I ona.

Strata Luna. Ta sama, która prawdopodobnie zabiła swoje córki. I Enrique. I Florę. Opętana śmiercią. Opętana żądzą zabijania. Zabawa w Boga. To było zbyt proste... zbyt oczywiste...

Zatoczył się do tyłu i złapał swoją komórkę z kuchennej szafki. Ile miał czasu, zanim będzie kompletnie sparaliżowany? Dwie minuty? Trzy? Najwyżej. Ale on wciągnął to gówno nosem. Pójdzie szybciej.

Gapił się na telefon w swojej dłoni. Wiedział, co chce zrobić, ale jego mózg nie potrafił przesłać informacji do palców.

Gdzie było jego miejsce w tym wszystkim? Czego ona od niego chciała?

*Pani w czarnej sukni*

*Szuka sobie chłopca,*

*Najpierw go wypieprzy,*

*Potem go pochowa.*

Nigdy nie twierdził, że jest poetą.

Komórka wyśliznęła się z jego zdrtwiałych palców. Zaczął odpływać. W górę, pod sufit. Kobieta złapała go za ręce i pociągnęła ku ziemi, trzymając przed sobą, żeby nie mógł znów odlecieć.

Nogi ugięły się pod nim. Osunął się na podłogę i leżał, niezdolny do ruchu. Sfrunęła na dół i dosiadła go. Stopiła się z nim, połknęły go wzdęte fałdy jej sukni. Jej woalka opadła mu na oczy, gdy zawisła nad nim jak góra i ujęła jego twarz w dłonie.

Zalatywała pleśnią, zgnilizną i mokrym próchnem. I jeszcze czymś. To było coś znajomego... Formalina i zepsute mięso.

Przycisnęła usta do jego ust, jej oddech wypełnił go trucizną. Powietrze wychodzące z jej płuc smakowało spirytusem.

Nie mógł się ruszyć. Nie mógł zamknąć ust ani odwrócić głowy.

— Mój chłopiec — zagruchała, z ustami przy jego ustach. — Mój seksowny chłopiec.

## Rozdział 41

Elise starała się nie dopuścić, by historia z Davidem wpłynęła na jej śledztwo w sprawie TTX. Najlepszą pomocą dla Goulda było oczyszczenie jego imienia. Z tą myślą postanowiła wpaść do aresztu hrabstwa Chatham i złożyć kolejną wizytę swojemu dobremu kumpłowi LaRue, by sprawdzić, czy nie chciałby podzielić się kolejnymi informacjami.

"Wydawał się uradowany jej widokiem. Była towarzystwem. Ucieczką od nudy. Podsunęła mu zdjęcie Flory. — Widział ją pan kiedyś? — zapytała.

— Raz czy dwa. W Czarnym Tupelo.

— Rozmawiał pan z nią?

— Nie. — Oddał jej zdjęcie. — Zauważyłem ją tylko, nic więcej.

Wyjęła kolejne zdjęcie, tym razem Enrique.

— A z nim?

Bingo. Zdradziła go reakcja. LaRue gapił się na zdjęcie, najwyraźniej usiłując sformułować odpowiedź; wymyślić czy powiedzieć prawdę, czy skłamać.

— Sprzedawałem mu TTX — powiedział w końcu z rezygnacją. Ramiona mu oklapły, kiedy oddawał zdjęcie.

— Wcześniej pan mówił, że nigdy nie sprzedawał TTX. Nie odpowiedział.

— Więc jak? Sprzedawał pan czy nie?

— Sprzedawałem.

Elise pochyliła się do przodu i oparła łokcie na stole.

— Proszę o tym opowiedzieć.

— Przyjeżdżał wielkim, czarnym samochodem. Chyba lincolnem.

Ktoś siedział na tylnej kanapie.

— Strata Luna?

— Prawdopodobnie, ale nie widziałem jej. Szyby były przyciemnione.

— Dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej?



— Nie chciałem się wpackować w jeszcze większe kłopoty. Ale niko-  
go nie zamordowałem. Pani to wie, prawda?

Przynajmniej nie z rozmysłem, pomyślała Elise. Chociaż o mało jej  
nie otruła. Wstała.

— Zobaczę, co da się zrobić, żeby pana stąd wyciągnąć. — Zdecy-  
dowała już, że wycofa zarzuty, ale nie była jeszcze gotowa powiedzieć  
mu o tym.

Był naukowcem. Pokręconym geniuszem. Wpackowanie go do wię-  
zienia byłoby... marnotrawstwem.

Idąc na parking, Elise przetrawiała nowe informacje. Jeśli to, co mó-  
wił LaRue, było prawdą, to Enrique był w jakiś sposób zamieszany w  
sprawę TTX, przynajmniej pośrednio. Wielki czarny samochód z  
ciemnymi szybami. To dość oczywiste. Enrique i Florze ktoś pode-  
rznął gardła. Strata Luna? Dlatego, że coś wiedzieli?

Elise z niechęcią przyznawała, że lubi tę kobietę. Nie chciała wie-  
rzyć, że jest w to zamieszana. Czyżby pozwoliła, żeby związek Straty  
Luny z Jacksonem Sweetem zaćmił jej osąd?

Kiedy podeszła do samochodu, odezwał się jej telefon. Dzwonił Seth  
West, kolega Trumana Harrisona.

— Kazała mi pani dzwonić, jeśli sobie coś przypomnę — powie-  
dział. — No więc Truman wchodził do kanałów pod Savannah tego  
dnia, kiedy umarł.

Elise się ożywiła.

— Dostaliśmy zgłoszenie o możliwym zawaleniu się kanału ścieko-  
wego. Niedaleko skrzyżowania President i Bay. Musiał wejść przez  
kratę w jednym ze starych składów bawełny, żeby sprawdzić co i jak, i  
w razie potrzeby wypisać zlecenie naprawy. Powiedziałem, że nie ma  
mowy, żebym tam zszedł. Wiedziałem, że tam będzie obrzydliwie, ale  
Truman nie miał nic przeciwko temu. Długo go nie było, a kiedy wró-  
cił, opowiadał, że wszędzie było pełno karaluchów. Właziły na niego.  
We włosy. Pod koszulę.

— Mówił jeszcze coś?

— Że chyba mieszkają tam jacyś bezdomni. Śpią na brudnych mate-  
racach. Wyobraża pani sobie?

— Brzmi koszmarnie — przyznała Elise.

— Czy to pani w ogóle w czymś pomoże? Ciągłe myślę, że to głupio tak zwracać pani głowę, ale żona powiedziała, że powinienem zadzwonić.

— I dobrze pan zrobił.

Kiedy się rozłączyli, Elise natychmiast zadzwoniła do Eddiego, swojego ulubionego pracownika działu informacji. Potrafił się dowiedzieć wszystkiego, choćby to była najbardziej tajemnicza i mętna sprawa.

— Pamiętasz tamtego gościa, który ciągle miał kłopoty, bo łąził tunelami pod Savannah? — zapytała, idąc do stojącego w cieniu piknikowego stołu niedaleko samochodu.— Jak on się nazywał?

— Pascal. Adam Pascal — odparł Eddie. — Przez jakiś czas bez przerwy pisano o nim w gazetach i mówiono w wiadomościach.

Elise usiadła przy drewnianym stole. Wyjęła kartkę i długopis.

— Masz jakieś pojęcie, gdzie go szukać? I czy w ogóle jest jeszcze w tej okolicy?

— Zaraz sprawdzę. — Elise usłyszała klekot klawiszy; po chwili Eddie wrócił do słuchawki. — Mieszka na wyspie Hope. Jakies trzy tygodnie temu aresztowano go za ostatni wybryk. Potem złamał nogę i teraz dochodzi do siebie w domu.

Elise zapisała numer, podziękowała Eddiemu i zadzwoniła do Pascala.

Jak wszyscy ludzie z obsesją i ten lubił opowiadać o swojej pasji.

— Te tunele są wszędzie. Pod domami, firmami, magazynami, cmentarzami i szpitalami. Powinna pani zobaczyć ten pod szpitalem Candle—ra. Tam dopiero ciary chodzą po człowieku, pełno tam starych leżanek i wózków inwalidzkich. Te tunele były używane do najróżniejszych rzeczy, ale głównie do transportu ciał ze szpitala do kostnicy i na cmentarz.

— Ale czy nie zostały pozamykane? Zamurowane?

— Dawno temu. I niezbyt starannie. Wie pani, jakie to miasto zawsze miało podejście do takich spraw. Co z oczu, to i z myśli. Od tamtego czasu nieraz dostała się tam woda. Tunele się wała. Są niebezpieczne jak cholera. Ginęli w nich ludzie. Chętnie bym panią zabrał na wycieczkę, ale jestem uziemiony z tą złamaną nogą. Tunel się na mnie zawałił i trzy dni trwało, zanim mnie wykopali.

— Ma pan szczęście, że żyje.

— Sam to sobie powtarzam.

— A co mi pan może powiedzieć o tunelach pod Domem Pogrzebowym Hartzell, Tate i Hartzell?

— Był kiedyś tunel z domu pogrzebowego do najbliższej kostnicy. Ale teraz to już nie kostnica, tylko dom mieszkalny.

— A wie pan, który to dom? — zapytała Elise z długopisem w pogotowiu. Zanim zdążyła zapisać, wiedziała już, o którym budynku mówi Pascal. O domu Straty Luny.

—A Czarne Tupelo?

—Tam też można dojść.

Alternatywny świat tuż pod ich stopami.

— Pensjonat Tajemniczy Ogród?

—Jasne. Ale niech pani nie wchodzi do tych tuneli, słyszy pani? Nie przesadzam, są naprawdę niebezpieczne.

— Nie będę wchodzić.

— Prześfaksuję pani parę map. Co pani na to?

— Świetnie. — Podała mu swój numer faksu i się rozłączyła. Kiedy rozmawiała z Pascalem, na poczcie głosowej zostawił jej wiadomość menedżer sklepu muzycznego.

— *Prosiła mnie pani o znalezienie dowodu zakupu tamtych kompaktów — powiedział. — No więc znalazłem. Jakiś Enrique Xavier zapłacił za nie kartą kredytową. Szef jest straszny sknera i ciągle używamy starych maszynek do odbijania kart, więc spojrzałem na odbitkę. To była firmowa karta i wcale nie tego Xaviera. Wie pani, czyje nazwisko tam było oprócz jego? Wie pani, czyja była ta karta?—Zrobiłprzerwę dla efektu.—Tej wariatki, co jeździ po mieście w czarnych szmatach i welonie na twarzy, Straty Luny.*

Elise wcisnęła dziewiątkę, by zachować wiadomość. W końcu spojrziała na zegarek i przekonała się, że już prawie pora odebrać Audrey z treningu softballu.

Audrey uniosła głowę, słysząc pisk opon, i zobaczyła znajomy żółty samochód wypadający zza rogu. Za kierownicą siedziała matka.

Co znowu?

Elise zahamowała gwałtownie, przechyliła się przez siedzenie i otworzyła drzwi.

— Mam nadzieję, że nie czekałaś za długo.

Audrey od razu zauważyła, że matka działa na przyspieszonych obrotach. Wrzuciła plecak i rękawicę na tylne siedzenie i wskoczyła do samochodu.

— Tylko parę minut.

— Świetnie — odparła, trochę jakby rozkojarzona. Spojrzała przez lewe ramię i odbiła od krawężnika. — Nie spiesz ci się do domu, co? Muszę szybko wpaść w dwa miejsca.

— Spoko.

Audrey zmieniła zdanie, kiedy po dziesięciu minutach skrzyły na parking pod domem pogrzebowym.

— Ktoś umarł?

Mama otworzyła schowek i wyjęła latarkę.

— Ciągłe ktoś umiera.

— Chodziło mi o kogoś znajomego.

— Och, kotku, przepraszam — powiedziała Elise, jakby nagle zorientowała się, że jej zachowanie jest trochę dziwne. Spojrzała na Audrey i się uśmiechnęła. — Nie. Nikt nie umarł. Muszę tu coś sprawdzić, chodzi o moje dochodzenie. Może cię to nawet zainteresować. I nie ma nic wspólnego ze zmarłymi. Szukam tunelu.

—Tunelu? —To mogło być w porządku.

— Chodź. Nie musisz czekać w samochodzie.

— Hej, czy to nie ten dom pogrzebowy, z którego ukradziono ciało? — zapytała Audrey, kiedy przechodziły pod markizą z zielonego płótna.

—Tak. — Elise otworzyła rzeźbione drzwi.

— Fajnie.

W holu dopadły dyrektora.

Był tu czerwony dywan i kilkoro ciemnych drzwi, za którymi pewnie leżały ciała. Audrey miała nadzieję, że nikt nie otworzy tych drzwi. Jeśli tak się stanie, to nie patrz. Po prostu nie patrz, mówiła sobie.

— Oczywiście, słyszałem o tunelach — powiedział dyrektor. Audrey zagapiła się na mężczyznę, z którym rozmawiała jej matka.

Był koszmarny. Podgardle zwisało mu aż na krawat. A w dodatku w całym zakładzie śmierdziało. Audrey była w życiu tylko w dwóch domach pogrzebowych — kiedy umarli jej pradziadkowie. Wtedy też nie chciała patrzeć na zmarłych, ale pamiętała ten mdlący, słodki zapach. Jakby ktoś usiłował zatuszować coś naprawdę paskudnego.

— Te tunele są zaplombowane od lat — powiedział dyrektor. — Ale i tak chciałabym zobaczyć wejście — odparła Elise.

— Nie wpuszczamy nikogo na dół.

— Panie Simms, czy muszę panu przypominać, że w pańskiej firmie popełniono przestępstwo?

— Chodzi tylko o to... że tamta część domu jest trochę przepełniona...

Audrey natychmiast wyobraziła sobie sterty trupów. Ten obrazek w połączeniu z zapachem sprawił, że zaczęło jej się robić trochę słabo.

— Nie jestem inspektorem sanitarnym — przypomniała mu Elise.

— Dobrze, dobrze.

Zirytowany poprowadził je do windy, która zwiózła ich do sutereny.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ze schludnego, przytulnego wnętrza przeniosły się nagle do wilgotnej piwnicy ze zwietrzałego kamienia, śmierdzącej pleśnią i próchniejącym drewnem.

Dyrektor domu pogrzebowego został w windzie.

— Proszę się trzymać prawej strony — powiedział, wskazując ręką.

— Wejście do tunelu znajduje się w ostatnim, małym pomieszczeniu. Tam jest sufit. Trzeba się schylać. Muszę wracać na górę. — Wcisnął guzik. Drzwi zamknęły się, włączył się silnik i winda zabrała pana Trumniarza na górę.

Betonowa podłoga była nierówna. Słabe światło nie oświetlało wszystkich zakamarków.

Elise włączyła latarkę. To była jedna z tych fajowych policyjnych zabawek, które naprawdę oświetlały pomieszczenie. Jasny, biały snop światła przemknął po ścianach i wylądował na półce pełnej niewielkich, tekturowych pudełek. Na każdym widniały nazwisko i data.

— Najwyraźniej krewni nie zawsze odbierają swoich najbliższych — stwierdziła Elise.

Słodki kocie. Audrey wcale się nie podobało, że jest tu, na dole, z bandą zmarłych ludzi, choćby nawet byli tylko popiołami. A jednocześnie myślała o tym, że nikt jej nie uwierzy jutro w szkole, kiedy powie koleżankom, gdzie była. To było takie odlotowe, że trudno o coś lepszego.

Wielu ludzi myślało, że ze spalanych ciał zostaje tylko mała kupka popiołu. Ale Audrey widziała program na Discovery i tam pokazywali, że kiedy piec wystygnie na tyle, że można go otworzyć, ciągle są w nim kości i zęby. Pomieszane z popiołem. Potem wrzuca się to do maszyny przypominającej betoniarę. I ta maszyna mieli wszystko, co zostaje.

Ohyda.

Ruszyła za mamą.

— Uważaj na głowę.

Elise poświęciła latarką po niskim suficie, a potem znów na podłogę, która teraz zamieniła się w kamieniste klepisko. Weszły do drugiego pomieszczenia, pełnego metalowych półek zastawionych różnymi zapasami. Na butlach z różową cieczą napisano: PŁYN DO BALSAMOWANIA. Dalej były inne etykiety.

*PŁYN DO CZYSZCZENIA JAM CIAŁA, PŁYN DO ZAMYKANIA PORÓW, RURKI SZYJNE, WKŁADKI DO CIAŁA, PRAWIDŁA DO TWARZY, TRUMIENNY PRZYJACIEL* — cokolwiek to było. Na podłodze stały wielkie beczki, opisane następująco: PREPARAT SUSZĄCY, LEKKO AROMATYZOWANY.

Audrey znów zrobiło się trochę słabo.

Tylko tunel. Jasne. Jej mama powiedziała, że „tylko poszukają tunelu”. A może to był tunel z *Nocy żywych trupów*? Jej rodzice — znaczy tata i Vivian — nigdy nie pozwalali jej oglądać takich filmów, ale niektórzy koledzy widzieli je już tyle razy, że śmiali się z najstraszniejszych kawałków. Audrey zaliczyła już pierwszy nocleg u koleżanki. Przez dwa tygodnie miała koszmary.

Płyn do czyszczenia jam ciała. Wkładki do ciała... Zachciało jej się wymiotować. Wzięła kilka głębokich wdechów i dogoniła mamę, która zaglądała do jeszcze mniejszego pokoiku.

Audrey nie mogła się doczekać, co tam zobaczy. Ha, ha, dobry dowcip.

Musiały iść pochylone, pomieszczenie było maleńkie. I na szczęście puste. Jedną ze ścian wzniesiono z cegieł, zamiast z kamienia.

— Czy to to? — zapytała Audrey.

Widziała zamurowany tunel w restauracji Piracki Zamek, więc mniej więcej wiedziała, czego się spodziewać, ale i tak mocno się rozczarowała. Zwycła ściana. Nuda jak sto pięćdziesiąt.

— Popatrz. — Elise poświęciła wzdłuż lewej krawędzi, tam gdzie kończyły się cegły, a potem na dół, na kupę gruzu. — Ktoś tu kopał.

Audrey nie wiedziała, czego może się spodziewać, przychodząc tu z Elise. Nie zastanawiała się nad tym. Ale teraz serce zaczęło jej bić szybciej.

Słyszała o ciele skradzionym z domu pogrzebowego. Mówili o tym we wszystkich wiadomościach. I nagle cała sprawa przestała być tylko historią, z której śmieją się dzieciaki w szkole, i zamieniła się w prawdziwe przestępstwo. A tu był ślad! Najprawdziwszy na świecie.

Nigdy nie widziała Elise w akcji, przy pracy nad jakąś sprawą. Teraz jej własna matka ją zadziwiła. Audrey była z niej wręcz dumna.

Elise wyjęła kilka cegieł i—poświęciła latarką przez nierówną, czarną wyrwę.

— Wejdziemy do środka? — zapytała Audrey, podekscytowana i wystraszona jednocześnie.

— Nie. Muszę tu ściągnąć ekipę dochodzeniową, zanim ktoś zniszczy ślady.

— A mogę chociaż popatrzeć?

— Masz. — Elise podała jej ciężką latarkę.

Audrey podeszła bliżej i wycelowała światło w dziurę.

Tunel. Wycięty w ziemi i skale, z zakrzywionym, ceglany sklepieniem. Wyglądał, jakby się kończył nieco dalej, ale Audrey domyślała się, że tak naprawdę skręca.

Coś spadło jej na ramię. Robal! Wielki, czarny karaluch! Odskoczyła do tyłu, potrząsnęła ręką i wrzasnęła, upuszczając latarkę.

Elise wydała zabawny pisk i strąciła karalucha z ramienia córki. Owad uciekł w pośpiechu, szukając ciemności. Podniosła latarkę, która przestała świecić. Kiedy nią potrząsnęła, zabrzączało stłuczone szkło.

Audrey spojrzała na nią żałośnie.

— Przepraszam. Ale widziałas tego robala? Był ogromny. Jakiś mutant, normalnie. Pół karaluch, pół pies. — Zadrżała teatralnie.

—Jezu — sapnęła Elise, wzdrygając się z równym obrzydzeniem. — Nie cierpię ich.

Słyszac to, Audrey poczuła się lepiej. Zawsze myślała, że jej mama nie boi się niczego. Miło było wiedzieć, że jest taka jak inni.

## Rozdział 42

Patrzyłam i słuchałam, by upewnić się, że korytarze Świętej Marii od Aniołków są puste, że nikt nie wchodzi ani nie wychodzi.

Nie przeszkadzało mi czekanie. Detektyw Gould był ze mną. Tuliłam go. Badałam, jak smakuje w tym stanie udawanej śmierci. A potem przyciągnęłam wózek z piwnicy.

To był idealny sposób na przemieszczanie takiego martwego ciężaru. Wystarczyło tylko wciągnąć ciało na blat z nierdzewnej stali, a potem zwolnić dźwignię, gdyby uniosło się z podłogi.

Zanim wyszłam, zastawiłam pułapkę przy drzwiach, żeby nikt nie mógł za nami iść.

Jeszcze raz sprawdziłam korytarz. Pusty. Moje serce biło jak oszalałe, kiedy bezszelestnie wiozłam go po wykładzinie. Wcisnęłam czarny guzik, mając nadzieję, że nikt oprócz mnie nie przywołał windy.

Dotarliśmy do piwnicy bez kłopotu. Szybko przewiozłam detektywa przez słabo oświetlone pomieszczenie do wejścia tunelu. Opuściłam wózek, przyciągnęłam swoją zdobycz przez dziurę, a potem przepchnęłam przez nią złożone urządzenie. W słabym świetle małej latarki, z nieruchomym mężczyzną u stóp, umieściłam cegły na miejscu.

Tunele zafascynowały mnie wiele lat temu, kiedy badałam swój dom, szperając w tajemnych pokojach. Zamknięte drzwi zawsze budziły moją ciekawość, a zamurowane przejście w ścianie było jeszcze większą atrakcją. Kilka nocy dłubania i zrobiłam dziurę



dość dużą, by móc przez nią przejść. A potem — długie lata eksploracji.

Wciągnęłam detektywa z powrotem na wózek. Pora ruszać w drogę. Pochyliłam się i musnęłam wargami jego usta.

Taki nieruchomy. Taki cichy. Czy oddychał? Przyłożyłam policzek do jego ust i po chwili nagroził mnie leciutki podmuch powietrza.

Często zadawałam sobie pytanie, dlaczego lubię, by moi mężczyźni byli tacy potulni? Tak bezbronni, na mojej łasce?

Moja odpowiedź zawsze była taka sama. Jak można pragnąć, by tacy nie byli? A poza tym odkąd pamiętam, pociągała mnie śmierć. Psychiatra mógłby powiedzieć, że to z powodu tych wszystkich lat spędzonych w domu, który kiedyś był kostnicą. Ja tak nie sądzę. Ta fascynacja brała się z głębi mnie, z mojego DNA.

Tunel był czarniejszy niż noc, a latarka oświetlała go tylko na kilka metrów przede mną.

Lubię ciemność. Zawsze była moją przyjaciółką. Nawet jako dziecko, kiedy inne maluchy płakały i wołały mamy, ja z radością witałam ciemność. Kiedy wchodziłam nocą do pokoju, nigdy nie sięgałam do włącznika. Po co zapalać światło, kiedy można mieć mrok?

— Była trzecia kwadra księżycy, tamtej nocy, kiedy ją zabiłam — powiedziałałam Davidowi Gouldowi, pchając go w górę lekkiej pochyłości. — Wywabiłam ją z łóżka i z domu. Obie miałyśmy na sobie nasze białe nocne koszule. Musiałyśmy naprawdę ślicznie wyglądać, kiedy wzięłam ją za rękę i poszłyśmy do fontanny. Z początku siedziałyśmy tylko na cembrowinie, z nogami w wodzie. Powiedziałam: „Popatrz, jak księżyc odbija się w wodzie”. A potem poprosiłam, żeby złowiła odbicie.

Trochę brakowało mi tchu, głos mi się rwał. Detektyw był cięższy, niż na to wyglądał. Dotarliśmy do skrzyżowania; odpoczęłam chwilę. Na lewo był cmentarz, na prawo dom.

— Zeszła do wody — kontynuowałam moją opowieść. — A kiedy miała księżyc w ręce, wepchnęłam ją pod powierzchnię i przytrzymałam, aż znieruchomiała.

W swoim gabinecie Elise obejrzała pierwszą część mapy, którą prze-faksował jej Adam Pascal. Mówił prawdę. System tuneli rzeczywiście prowadził do domu Straty Luni i do firmy Hartzell, Tate i Hartzell.

Czy Strata Luna utopiła swoją córkę? Czy jej drugie dziecko naprawdę popełniło samobójstwo? A może matka zabiła również i ją? Może rozkręciła swój dom publiczny jako poręczną przykrywkę do zaspokajania swojej dziwnej obsesji śmierci? Czy dlatego podsycala własną legendę?

Nikt by się do tego nie przyznał, ale połowa gliniarzy w Savannah bała się jej. Ten strach tworzył dystans, dawał jej możliwość zaspokajania swojego zбочenia.

Elise miała dość dowodów, by uzyskać nakaz przeszukania domu Straty Luni. Posadziła Audrey przy biurku Davida, by odrabiała lekcje, a sama zadzwoniła do sędziego i złożyła prośbę o wydanie naku. Kiedy rozmawiała, znów obudził się faks.

— Czy David nie mieszka w Świętej Marii od Aniołków? — zapytała Audrey, kiedy Elise odłożyła słuchawkę. W ręce miała kolejny faks od Adama Pascala.

Elise zdjęła żakiet i kaburę, sprawdzając pistolet. — Tak. A co?

— Bo jeden tunel prowadzi chyba do jego domu. Elise zmarszczyła brwi i podeszła do córki.

— Pokaż.

Audrey opuściła nogi na podłogę i pochyliła się nad biurkiem, wskazując palcem mały, czarny kwadracik.

— Tutaj.

Miała rację. Elise podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Davida. Odezwała się poczta głosowa.

— Oddzwon do mnie, kiedy to odsłuchasz.

Rozłączyła się i sięgnęła po kamizelkę kuloodporną. Kiedy dociągnęła mocno rzepy po bokach, założyła z powrotem kaburę z pistoletem. Na to naciągnęła żakiet.

Audrey obserwowała ją z lekkim niepokojem.

— Gdzie idziesz? — Wręczyć nakaz przeszukania.

— Dlaczego włożyłaś kamizelkę kuloodporną? Będzie niebezpiecznie?

— To standardowe zabezpieczenie, skarbie. Miały razem iść na obiad. Mama z córką.

— Przykro mi — powiedziała Elise, rozdarta pomiędzy niepokojem o Davida i wyrzutami sumienia, że Audrey znów jest na ostatnim miejscu. — Będziesz musiała tu poczekać, aż wrócę.

— Nie szkodzi.

Córka nie wydawała się nawet w połowie tak wkurzona, jak Elise się spodziewała.

— Tu masz numer Davida. — Elise oddała skrawek papieru i zapisała cyfry. — Próbuj się do niego dodzwonić co parę minut. Jeśli odbierze, powiedz mu o tunelach. — Poskładała mapy i wsunęła je do kieszeni kamizelki, po czym wyjęła z szafy zapasową latarkę.

— A jeśli będzie chciał z tobą porozmawiać? — zapytała Audrey.

— Powiedz mu, że pojechałam doprowadzić Stratę Lunę na przesłuchanie.

Zwykle wszyscy podskakiwali z radości, kiedy trzeba było towarzyszyć przeszukaniu. Ale kiedy Elise wspomniała nazwisko Straty Luny jej prośbę o wsparcie skwitowały niewyraźne wymówki i spuszczone oczy.

W końcu ktoś się zgłosił.

— Ja pojadę.

Starsky. Pewnie się zorientował, że w następnej sekundzie przypomniaby mu, kto tu dowodzi, i kazała jechać ze sobą. Hutch posłał partnerowi zirytowane spojrzenie, po czym też zgłosił swój udział w akcji. Dwóch mundurowych uzupełniło grupę.

Mieli jechać oddzielnymi samochodami i spotkać się pod domem o ustalonej godzinie. Ekipa dochodzeniowa miała dojechać później, kiedy wszystko będzie już zabezpieczone.

Elise jeszcze raz spróbowała dodzwonić się do Davida. Wciąż nie odbierał.

Kazała Starsky'emu i Hutchowi odebrać nakaz od sędziego, dzięki czemu miała trochę czasu, by wpaść do Davida.

Dziesięć minut później podjechała pod Świętą Marię od Aniołków. Czarny samochód Goulda stał na parkingu.

Zadzwoiła domofonem do jego mieszkania. Nie zdziwiła się, kiedy nie odpowiedział. Zadzwoiła więc do zarządcy budynku i się przedstawiła. Mężczyzna otworzył jej i po chwili spotkał się z nią na podestacie drugiego piętra, z kompletem kluczy w ręce.

— Muszę zobaczyć pani odznakę. — Był biały, około siedemdziesiątki, miał siwe włosy i siwą szczecinę na podbródku.

Elise wyjęła skórzane etui i otworzyła je. Kiwnął głową. Ruszyli korytarzem do drzwi mieszkania Davida.

— Powiedziałem mu, że ma się wynieść do jutra — powiedział zarządca. — Nie wiem, czy zabił tę kobietę, czy nie, ale wszyscy w budynku się boją. A nikt nie lubi się bać.

Ktoś piekł ciasto. Elise czuła jego zapach. W którymś mieszkaniu szczekał pies.

Zarządca otworzył zamek i się odsunął.

— Ja tam nie wchodzę. Kiedy ostatnio otworzyłem drzwi dla gliny, znalazłem martwą kobietę. Mówię pani, mam dość tego kraju i życia w strachu. — Odwrócił się od drzwi z założonymi rękami.

Elise weszła do środka i natychmiast poczuła zapach siarki, przypominający zgnię jajka.

— David?

Na podłodze dostrzegła coś, co wyglądało jak drobniutki brązowy puder. Pułapka. Czar. Obeszła płamę proszku, by nie roznieść go na butach. Kawalek dalej leżała komórka Davida.

— Nie żyje? — zapytał zarządca z korytarza głośnym szeptem. Salon i kuchnia były puste. Elise sięgnęła pod żakiet, rozpięła kaburę i wyjęła pistolet. Sprawdziła łazienkę. Potem sypialnię. W nogach łóżka leżała otwarta walizka, jakby Davidowi coś przerwało pakowanie. Elise wsunęła broń z powrotem do kabury. Spod łóżka wyszła Isobel, miauczając żałośnie. Elise wzięła ją na ręce.

— Proszę nikogo nie wpuszczać do mieszkania — powiedziała, wychodząc na korytarz i zamykając za sobą drzwi. — Może się okazać, że to miejsce przestępstwa.

Zarządca popatrzył na Isobel.

— Kot i miejsce przestępstwa to niedobre połączenie — wyjaśniła Elise.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Nie powinienem był wynajmować mieszkania temu facetowi.

Wiedziałem, że jest jakiś szemrany.

Zignorowała jego narzekania.

— Kiedy pan ostatnio widział Davida Goulda?

— Niech pomyślę... Chyba dziś rano. Przyszedłem tu i powiedziałem, że nie oddam mu kaucji.

Isobel głośno mruczała. — Wczesnym rankiem? Późnym?

— Późnym. Około jedenastej, o ile dobrze pamiętam. Tylko proszę mnie nie trzymać za słowo. Mam kiepską pamięć.

— Muszę obejrzeć piwnice.

— Piwnice? — Zmiana tematu wyraźnie go zdziwiła. — Lepiej zadzwonię do właściciela...

— Natychmiast!

— Dobrze, ale nie biorę za nic odpowiedzialności.

Wsiadli do windy i Elise wcisnęła ostatni guzik. Już wcześniej przekonała się, że winda jest powolna; pobiegłaby po schodach, gdyby nie potrzebowała przewodnika.

Winda podskoczyła, zatrzymując się na dole. Drzwi otworzyły się ze szcękaniem. Wyszli do piwnicy

— Gdzie jest najstarsza część budynku? — zapytała Elise. Zarządca poprowadził ją przez przypominający katakumby labirynt

korytarzy z kamienia i mokrej, kruszącej się zaprawy. W ostatnim pomieszczeniu znalazła ścianę, z której wyjęto cegły, a potem ułożono je z powrotem.

— Niech pan trzyma. — Oddała mu kota i zaczęła wyciągać luźne cegły, zrzucając je pod nogi. Potem się wyprostowała, wyjęła dwie części mapy z kamizelki i rozłożyła je.

Rysunek był niewyraźny, a w piwnicy było ciemno, ale w końcu odnalazła Świętą Marię.

Powiodła palcem po linii oznaczającej tunel. Z miejsca, gdzie stała, mogła dotrzeć niemal wszędzie, jeśli tunele nie były zablokowane. Do Domu Pogrzebowego Hartzell, Tate i Hartzell, do domu Straty Luny, na cmentarz Laurel Grove.

Zadzwoiła do dyspozytorni i poprosiła, by odwołano funkcjonariuszy jadących do domu Straty Luny i przysłano ich do Świętej Marii od Aniołków. Potem zadzwoiła do Starsky'ego i podała mu adres nowego miejsca spotkania.

Obstawienie policjantami każdego możliwego wyjścia z tuneli byłoby najlepszym rozwiązaniem, ale nie dysponowali taką liczbą ludzi. Ale jeśli David był nieprzytomny, Strata Luna nie mogła poruszać się zbyt szybko...

Elise spojrzała na zegarek.

— Niech pan poczeka na górze na patrol i detektywów — zwróciła się do zarządcy. — Kiedy przyjadą, proszę ich tu przyprowadzić.

— Pani myśli, że morderca tej kobiety wszedł tędy? — zapytał mężczyzna. Cała jego wcześniejsza irytacja zniknęła. Zastąpiły ją strach i niechętny szacunek.

Elise usunęła więcej cegieł, aż dziura była dość duża, by mogła przez nią przejść. Wyjęła latarkę i pistolet.

W szerokim snopie światła czerwone drobiny kurzu wirowały, wlatując pod sufit. Elise oświetliła podłogę tunelu i natychmiast zauważyła równoległe ślady kółek i odciski stóp.

Trzymając razem latarkę i broń w obu dłoniach, zatrzymała się na sekundę.

— Proszę nakarmić kota — powiedziała przez ramię, po czym schyliła się i weszła przez dziurę.

## Rozdział 43

Zawsze robili się lżejsi. Dotknęłam jego nagiej ręki. Zimna jak marmur. Gdzieś za nami usłyszałam szelest rozbiegających się karaluchów. Muszę przyznać, że kiedyś mi przeszkadzały. Ale potem zaczęłam sobie wyobrażać, że są przedłużeniem mojej osoby, i wkrótce zaczęłam je nawet lubić.

Przysunęłam światłem latarki po jego twarzy. Zamknięte oczy mężczyzny tonęły w głębokim cieniu. Wargi miał sine, skórę kredowobiałą. Wyglądał na martwego.

Skreśliłam wózką na lewo, w stronę cmentarza.

Miałam tam specjalną kryjówkę. Sekretne miejsce. Miejsce, gdzie oboje mogliśmy się pobawić w zmarłych.

Tunel śmierdział pleśnią i ściekami. Po pięciu minutach Elise miała przemoczone buty i spodnie mokre do kolan. Ale oprócz odorów ścieków czuć było inny zapach. Ziołowy, trochę przypominający lekarstwa — mieszanka składników, jakiej mógł używać czarownik.

Elise oceniła, że jest jakieś półtora, może dwa kilometry od domu Straty Luny. Miejskimi ulicami byłoby dalej, ponad trzy kilometry.

Było tu naprawdę ciemno. W miejscu, gdzie padało światło latarki, widniała biała plama; poza jasnym snopem królowała całkowita czerń.

Pascal miał rację — system tuneli był w fatalnym stanie. Półkoliste ceglane sklepienie zważyło się w wielu miejscach, tworząc kupy gruzu.

Elise szła z pochyloną głową.

Jeśli David dostał dużą dawkę TTX, było kwestią życia i śmierci, by jak najszybciej otrzymał medyczną pomoc. A Elise wątpiła, by Strata Luna eksperymentowała z niewielkimi doznaniami, tak jak LaRue i jego koleś.

Druga możliwość — David jest już martwy, skończył z podejrzanym gardłem jak Enrique i Flora — wydawała się jeszcze bardziej prawdopodobna. Ale Elise nie mogła o tym myśleć. Musiała wierzyć, że jeszcze żyje.

Dotarła do skrzyżowania w kształcie litery T i wyciągnęła mapę. Skreślając w lewo, dotarłaby na cmentarz. W prawo — do domu Straty Luny. Skierowała latarkę na ziemię. Betonowa podłoga była pokryta kilkucentymetrową warstwą rzadkiej mazi. Nie znalazła śladów, które wskazałyby drogę.

Wydawało się logiczne, że David został zabrany do domu. Budynek był ogromny i na pewno miał sekretne pokoje, w których można było

trzymać ofiarę. Ale nawet jeśli Strata Luna nie spodziewała się narkazu przeszukania, musiała zakładać, że policja będzie obserwować jej dom. Elise skręciła w stronę cmentarza.

David musiał słuchać jej paplaniny, kiedy pchała wózek, brodząc hałaśliwie w wodzie i ściekach.

Podłoga tunelu nie była równa i czasami kółka utykały w dziurach, a wtedy zsuwał się z wózka. Ilekroć tak się działo, łapała go z okrzykiem: „Ups!”, po czym, po chwili manewrowania, ruszali dalej, aż do następnego wyboju.

Właściwie rozumiał teraz, dlaczego niektórzy ludzie uzależniali się od TTX. To było niemal jak podróż duszy poza ciało, bo traciło się wszelkie czucie. Funkcjonował tylko mózg.

Ale jednocześnie to mogła też być śmierć. Może był martwy i trafił do piekła. Może będzie musiał spędzić wieczność na wózku, wożony po podziemnych tunelach przez szaloną kobietę.

Trafiła na kolejną dziurę. Zatrzymali się z łoskotem. Ciało Davida przesunęło się do przodu i usłyszał głośne „łup”—jego głowa uderzyła w kamienną ścianę.

Kobieta zaczęła nad nim gruchać, ocierając mu skroń rękawem sukni.

—Ty krwawisz.

To oznaczało, że jego serce wciąż bije. Dobry znak.

Może.

Nie mieli na to dowodu, ale David zawsze zakładał, że ofiary tetrodotoksyny były wykorzystywane seksualnie. Musiał przyznać, że zdarzało mu się uprawiać seks z nieznajomymi, ale z tym, co ona miała w planach, z pewnością nie chciał mieć nic wspólnego.

Wiedział, że umrze; nie był tylko pewien jak. Najlepszy scenariusz? Tetrodotoksyna. Mogła w końcu wyłączyć jego organizm i byłoby po wszystkim.

Albo ta baba mogła się nim znudzić i porzucić go w jakimś miejscu, gdzie nikt go nie znajdzie. Znowś śmierć.

Albo, jako że ostatnie dwa morderstwa były dosyć krwawe, mogła się zdecydować na podejrzenie mu gardła. Same urocze opcje.



## Rozdział 44

Stój! Znajomy głos dobiegał z tunelu za nami. Odwróciłam się i uniosłam latarkę. —Wiedziałaś, że wróciłaś — powiedziała. — Czulałam cię. Była ubrana w jedną ze swoich czarnych, długich sukien. W ręce miała latarkę.

— Zawsze uwielbiałaś te tunele. Szczególnie ten odcinek. Nie byłam w stanie utrzymać cię z dala od nich.

To prawda.

— Co ty tu robisz? — zapytała gniewnie. — Obiecałaś, że już nigdy nie wrócisz na ulice Savannah. Ani do tuneli.

Wydawała się zbита z tropu, mówiła z tym swoim przesadzonym akcentem, którego zawsze nienawidziłam. Kobieta, która przez całe życie mieszkała w Stanach. Dlaczego starała się mówić jak jakaś kapłanka *hudu*\*?

Cztery lata temu zapłaciła mi, żebym odeszła. Miałam wyjechać i nie wracać więcej, żeby ona mogła udawać, że umarłam. Żeby mogła nosić te swoje czarne kiecki i modlić się nad moim grobem. Żeby ludzie się nad nią użalali.

— Tęskniłam za Savannah — odparłam. — Tęskniłam za tunelami. —Jak długo...?

—Wróciłam prawie dwa lata temu.

Strata Luna wydała zduszony szloch i przycisnęła rękę do ust, by stłumić ten dźwięk.

Och, zawsze udawała, że jest taka silna, ale była tak samo słaba jak cała reszta.

— Gdzie mieszkałaś?

— Czasami w tunelach. Czasami na ulicy.

\* *Hudu* — praktyki szamańskie mające źródło w wierzeniach przybyłych z Afryki niewolników, często mylone z wudu, które w rzeczywistości jest odrębną religią.

Byłam kameleonem. Ubierałam się jak mężczyzna albo jak kobieta. Zależy, co mnie naszło. Oczywiście nie robiłam tego wszystkiego sama. Enrique mi pomagał. Przynosił jedzenie i ubrania. Pieniądze. Cokolwiek było mi potrzebne. Czegokolwiek chciałam. Kupił nawet kompakt, które zaniiosłam na pogrzeb Gary'ego Turello.

Zawsze podejrzewałam, że Enrique się we mnie podkochuje. Albo po prostu było mu żal kogoś, do kogo własna matka odwróciła się plecami.

— Wiedziałam, że to ty, ale nie chciałam w to wierzyć — zawyła Strata Luna, zmieniając się nagle z potężnej kapłanki w skamlącą, wystraszoną starą kobietę. — Powiedz mi, że się mylę! Powiedz mi, że to nie ty popełniłaś te wszystkie morderstwa.

Wyciągnęła błagalnie rękę; gest był pełen gracji mimo jej zdenerwowania.

— Enrique! Biedny Enrique! On cię kochał. Zrobiłby dla ciebie wszystko.

— I zrobił. Umarł dla mnie.

— Dlaczego!?

Pomyślałam o jednym z jej ulubionych powiedzonek, że zło nie potrzebuje powodu do istnienia, ale nie chciałam jej cytować. Nie chciałam oddawać jej hołdu.

— Za dużo dla ciebie znaczył.

— Byłaś zazdrosna? — zapytała, wciąż usiłując zrozumieć. Roześmiałam się. Była tak daleka od prawdy.

— Chciałam cię zranić. Chciałam, żebyś była samotną, starą kobietą. Chciałam odebrać ci wszystkich, na których ci zależało.

Jej spojrzenie padło na wózek.

— Kto to jest? — Podeszła bliżej.

— David Gould.

— Ten detektyw? Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to co on ma z tym wszystkim wspólnego? Jest dla mnie nikim.

— Po prostu mi się podoba. Kiwnęła głową, przypominając sobie.

— Nawet jako dziecko, byłaś dziwnie ciekawa śmierci. To było niezdrowe. To było niezrozumiałe, nienormalne i chore.

—Wracaj do domu, stara kobieto.— Zapomniałam, jak szybko potrafi mnie zirytować. — Mam cię już dość.

— Powinnaś być zniszczyć, kiedy byłaś mała — powiedziała. — Kiedy zdałam sobie sprawę, że jesteś zła. Ale nie mogłam zabić własnego dziecka. Mojej własnej, małej córeczki.

— Nie jestem twoją córką! Wyczarowałaś mnie! — Nagle lzy zapiekły mnie pod powiekami. Otarłam je niecierpliwie grzbietem dłoni. — Wyczarowałaś mnie z gałązek i kocich wnętrzności zamoczonych we krwi!

—Nie!

Udawała, że zdumiała ją moje słowa. Co za aktorka.

— Kto ci naopowiadał takich kłamstw?

Jak mogłabym sobie przypomnieć, skąd wiem coś, co wiedziałam od zawsze?

— Jesteś moją córką. Częścią mnie. Tak jak Delilah była moją córką. Udawałaś, że próbowałaś ją uratować, ale cię przejrzałam. Zawsze potrafiłam cię przejrzeć. Ale nie zostałaś wyczarowana. Żałuję, że nie mogę tak powiedzieć. Chciałabym móc powiedzieć, że nie wyszłaś ze mnie, ale to by było kłamstwo.

Wyciągnęłam nóż, którym zabiłam Enrique i Florę. Był bardzo ostry, a mnie przepelniały nienawiść i gniew. Ta kobieta zniszczyła mi życie. Obsypywała względami moją siostrę, a potem Enrique i Florę, zupełnie ignorując mnie. Odepchnęła mnie od siebie.

— Byłaś zła — powiedziała, próbując wyjaśnić swoje błędy.

— Powinnaś być kochać wszystkie swoje dzieci jednakowo — odpowiedziałam jej.—To obowiązek matki. Kochać bezkrytycznie, bezwarunkowo.

— Nawet morderczynię?

— Nawet morderczynię. Uniosłam nóż.

Mogła uciekać, zrobić unik. Mogła się stamtąd wydostać. Ale ona pozostała nieruchoma, obserwując mnie. Położyła płasko dłoń na piersi, w miejscu, gdzie widocznie miała ukryte wanga. Jej usta poruszyły się i zaczęła szeptać słowa, które miały mnie unieszkodliwić.

*Jeśli zawisnę na cienkiej nici*

*W miejscu, którego nikt nie widzi*

*Ta, co mnie chce skrzywdzić,*

*poczuje strach w sercu*

*Ta, co mnie chce skrzywdzić,  
poczuj strach w sercu  
Nie skrzywdzi mnie,  
strach zwiąże jej ręce  
Nie skrzywdzi mnie  
strach zwiąże jej ręce.*

Powstałam z ziemi i martwych rzeczy; byłam silniejsza niż wszystkie zaklęcia, które mogła na mnie rzucić.

— Zło podąża prostą ścieżką — powiedziałam. Opuściłam ostrze, pograżając je w sercu mojej matki. W sercu Straty Luny.

## Rozdział 45

Elise słuchała szelestu nóg milionów uciekających karaluchów i odgłosów kapiącej wody. Gdzie było jej wsparcie? Wyjęła komórkę. Nie było sygnału. Spojrzała na zegarek. Starsky i Hutch powinni byli już dotrzeć do Świętej Marii od Aniołków.

Nigdy nie wchodzi nigdzie bez wsparcia. Każdy żółtodziób to wiedział. Włożyła telefon z powrotem do kieszeni i ruszyła dalej, w stronę cmentarza. Podziemny krajobraz był wciąż niezmienny. Tunel ciągnął się przed nią w dal, do miejsca, gdzie zmieniał się w punkt i zniknął, jak jakieś artystyczne studium perspektywy.

Nagle światło wyłowiło ciemny kształt w oddali.

Elise zgasła latarkę i przeskoczyła z jednej strony tunelu na drugą, błyskawicznie zmieniając pozycję. Kucnęła, wycelowwała broń i zaczęła nasłuchiwać.

Poeci i pisarze wciąż próbują opisywać kompletną, nieprzenikloną ciemność, ale nie da się tego zrobić. Powiedzieć, że niczego nie było widać — to za mało. To było raczej niesamowite złudzenie, że ma się coś twardego, namacalnego tuż przed twarzą.

Wszędzie wokół.

Coraz bliżej.

Audrey jeszcze raz spróbowała dodzwonić się do Davida. Wciąż nie odbierał. Rozłączyła się i założyła swój plecak w kształcie pandy.

Może

David był w domu. Może po prostu nie odbierał telefonu. Niektórzy tak robili. Audrey nie wiedziała dlaczego, ale tak robili.

Święta Maria od Aniołków nie była zbyt daleko od komendy. Może z osiem przecznic. Audrey stwierdziła, że po prostu tam pójdzie. Sprawdzi, czy David jest u siebie.

Tata zawsze jej powtarzał, żeby uważała w dzielnicy wiktoriańskiej i na starym mieście, żeby nie chodziła tam sama. Ale przecież był dzień i po ulicach chodziło mnóstwo ludzi. Najwięcej było turystów, robiących zdjęcia, gapiących się na budynki i narzekających na upał.

Dojście do Świętej Marii nie zajęło jej wiele czasu.

To było straszne domiszcze, bardzo stare i porośnięte masą bluszczu. Na górze, na krawędzi szarego dachu, stały dziwne, żelazne postacie.

Przed budynkiem zauważyła policyjny wóz. I mnóstwo ludzi. Między innymi dwóch detektywów, których знаła z komendy. Podeszła do jednego z nich i zapytała, co robią.

— Czy ty nie jesteś córką Elise Sandburg? — zapytał detektyw. Miał czerwoną twarz i piegi.

Audrey złapała mocno paski swojego plecaka.

— Mama kazała mi dzwonić do Davida Goulda, ale on nie odbiera. Coś mu się stało? — Miała nadzieję, że nie. Poczula dziwne gniesienie w żołądku.

— Nie wiemy.

— Gdzie jest moja mama? Miała się z wami spotkać u Straty Luny.

— Audrey z każdą sekundą była coraz bardziej zdenerwowana. — Powiedziała, że macie wręczyć nakaz przeszukania.

— Coś nam tutaj wyskoczyło — odparł detektyw, zerkając niespokojnie na kolekę.

Coś przed nią ukrywali. Audrey była pewna.

— Czy mojej mamie nic nie jest? — spytała, podnosząc głos. Detektyw wysunął ręce przed siebie, jakby była psem, a on chciał ją powstrzymać, żeby na niego nie skoczyła.

— Mama jest w jednym z tunelów pod Świętą Marią i tyle. Nic wielkiego. Pewnie zaraz wyjdzie.

— W tunelu? Sama? Nie powinna tego robić. Na pewno by tego nie zrobiła.

—Weszła do tunelu — potwierdził drugi detektyw. Zaczynał być zniecierpliwiony.

—To dlaczego wy jesteście tutaj? —Audrey rozejrzała się wokół siebie.

Dwóch policjantów stało przed budynkiem, rozmawiając z siwym mężczyzną, trzymającym na rękach kota.

— Dlaczego wy też nie weszliście do tunelu?

Detektywi spojrzeli na siebie i Audrey zobaczyła wstyd na ich twarzach.

—Te tunele są zbyt niebezpieczne — powiedział piegowaty. — Nikt nie powinien do nich wchodzić. Nawet policja.

— Musicie tam wejść! — krzyknęła Audrey, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. — Musicie! — Znała siłę publicznego ośmieszenia. W końcu miała trzynaście lat. — Boicie się wejść do tego tunelu? — zadrwiła. — Boicie się paru małych robaczków?

Elise czuła krew łomoczącą w głowie. Jej oddech był urywany. Nie słyszała niczego prócz pulsowania własnego strachu. Powinna była poczekać na wsparcie.

Nie było czasu!

Uniosła się trochę, pozostając na ugiętych nogach. Powoli, z szeroko otwartymi oczami, które nic nie widziały, zaczęła się posuwać do przodu.

Spróbowała odtworzyć w majakach widziany przed chwilą obraz. Przypomnieć sobie dokładnie, jak wyglądał. Ciemna, bezkształtna masa. Sądząc po wielkości, mógł to być człowiek, ale równie dobrze coś innego. Jakiś przedmiot, leżący tu od czasów, kiedy tunele w tajemnicy używano do przewożenia ofiar zarazy na cmentarz.

Zatrzymała się i wyprostowała.

Stojąc na rozstawionych nogach, mocno zapartych o ziemię, przyłożyła pistolet do latarki, mierząc w kierunku, gdzie widziała tamten kształt. Ale, jak kierowca we mgle, nie potrafiła ocenić, ile kroków zrobiła, od chwili zgaszenia latarki, a nawet jak daleko leżał dziwny przedmiot.

Nacisnęła włącznik. Gdzie? Przesunęła promień. Tam.

Zatrzymała światło.

Kształt wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała, ale teraz widziała więcej szczegółów. Ciemny materiał. Mniej więcej wielkości człowieka.

Ruszyła przed siebie powoli, krok za krokiem, nie odrywając oczu od przedmiotu.

Suknia z czarnej koronki. Krzywizna ludzkich pleców pod zmiętym materiałem. Dłoń w rękawicze. Sądząc z wszelkich pozorów, martwe ciało.

Martwe ciało Straty Luny.

Ale jako że martwe ciała potrafiły ostatnio niespodziewanie ożyć, Elise zbliżała się ostrożnie.

Zaczepiła stopę o jej ramię. Ciało rozwinęło się bezwładnie ze swojej skulonej, ochronnej pozycji i padło z głuchym tąpnięciem na ziemię. Strata Luna. Otwarte oczy, otwarte usta, kałuża krwi. Nieżywa.

Gdzie jest David? Co tu się dzieje? Kto zabił Stratę Lunę? Gdzie jest David?

Martwe ciało zafalowało nagle, chwytając powietrze. Elise odskoczyła, omal nie upuszczając latarki.

— Idź — wychrypiała czarna, krwawa kupa szmat, wskazując dalszy ciąg tunelu. Z gigantycznym wysiłkiem starała się zakomunikować, że konieczny jest pośpiech.

Elise zerwała się na nogi i pognąła w stronę cmentarza, trzymając nisko głowę.

Nie było czasu na myślenie, na zastanawianie się, co jest grane — poza tym, co oczywiste.

Strata Luna nie była morderczynią. David Gould był w niebezpieczeństwie.

Tyle wiedziała. Tylko tyle.

## Rozdział 46

Kciukami, na siłę, otworzyła mu powieki. Poszatkwane światło latarki leżącej koło głowy Davida biło w górę i znikало w ciemności, wśród kamienia i marmuru. Zorientował się, że są w jakimś mauzoleum.

Kobieta pochylała się nad nim, bez woalki. Twarz miała umazaną krwią.

To nie była Strata Luna.

To była jej córka. Ta córka, która rzekomo miała się powiesić. Marie Luna. Zabiła własną siostrę — przypadek rywalizacji rodzeństwa w ekstremalnej formie. Z tego samego powodu zabiła Enriquer i Florę. A teraz zabiła własną matkę.

Elise miała rację co do jej obsesji śmierci i nekrofilii.

Marie Luna puściła jego powieki i uklękła obok niego. Już wcześniej zdjęła go z wózka i ułożyła na jakimś podwyższeniu. Czuł się, jakby go składała w ofierze.

—Jeśli zjesz serce swojego wroga, czyni cię ono silniejszym — powiedziała.

Wzdrygnął się — prawdziwy ruch, nawet jeśli ledwie dostrzegalny.

Czy dobrze rozumiał to, co właśnie powiedziała? Czyżby zjadła serce Straty Luny? A może zamierzała zjeść jego serce? Obie te myśli były zbyt straszne; jego umysł uciekł od nich. Poczul, że się zapada...

Zebrała do góry czarne fałdy sukni i dosiadła go. Próbował zamknąć oczy, ale nie mógł teraz, gdy je otworzyła. Mógł tylko patrzeć, jak widz w pierwszym rzędzie.

Wyjęła nóż. Złowrogo wyglądającą broń z kutej stali. Patrzył, jak ostrze przesuwa się na bok, aż zniknęło z pola jego widzenia. Miała zamiar wypatroszyć go jak rybę? A może wykastrować?

To nie było w jej stylu, ale coś przeskoczyło w jej głowie i już dawno przestała działać zgodnie ze swoim pierwotnym modus operandi.

David spotkał w życiu sporo dziwnych, pokręconych ludzi, ale nawet największy zwyrodnialec miał granicę, której by nie przekroczył. Zawsze było coś, co uważali za święte w tych swoich popieprzonych głowach. Dla niektórych to były dzieci. Dla innych — staruszki. Dla jeszcze innych — zwierzęta.

Ale ta suka przed nim wydawała się zdolna do wszystkiego.

Przez ostatnie dwa lata David żałował, że żyje. Teraz, kiedy przejście w nicość zdawało się nieuchronne, ze zdziwieniem przekonał się, że jednak ma mieszane uczucia na temat śmierci.



Bo skąd będzie wiedział, jak Audrey radzi sobie na pozycji miotacza? Skąd będzie wiedział, jaki samochód kupi sobie Elise, kiedy jej stary popsuje się na dobre? Czy kiedykolwiek dokończy remont domu?

A co z Isobel? Kto się zaopiekuje Isobel?

Czy Starsky i Hutch będą żałować, że nie traktowali go z większym szacunkiem? Czy poczują się jak gówno, kiedy on umrze?

Miał nadzieję.

Umrzeć teraz to byłoby jak wyjść z kina w środku dobrego filmu. Albo niechcący zostawić książkę na lotnisku. Ale śmierć właśnie taka była. Fajrant w polowie roboty. Może właśnie to tak intrygowało LaRue — zanurzyć stopę w rzece i móc ją wyciągnąć z powrotem, prawie bez szkody.

David usłyszał trzask dartego materiału, kiedy rozerwała mu koszulę. Coś zimnego — ostrze noża — dotknęło jego brzucha, tuż nad pępkiem. Zimno stali. Wracało mu czucie.

Idealny moment. Teraz będzie mógł poczuć, jak go kroi.

Ale zamiast wbić mu nóż w brzuch, odłożyła go na bok i zaczęła rozpinać Davidowi spodnie. No tak. Gwałt. W całym tym zamieszaniu zapomniał o tej atrakcji. Przecież najpierw musiała go zgwałcić.

Tunel skręcał w lewo i ostro wznosił się w górę. Na końcu widniały żelazne drzwi. Cmentarz Laurel Grove.

Elise zatrzymała się i nadstawiła uszu. Nie słyszała wsparcia.

By latarka nie zdradziła przedwcześnie jej obecności, skierowała światło pod własne stopy i cicho ruszyła naprzód, w górę pochyłości. Drzwi były uchylone. Złapała mocniej pistolet. Przyciskając go do latarki, z łomoczącym sercem, wsunęła się do środka i obróciła się twarzą w stronę pomieszczenia.

Była w mauzoleum. Marmurowe ściany z rzędami nisz, w których spoczywały ciała i popioły. Na środku podłogi wznosił się sarkofag. Na sarkofagu Elise zobaczyła kobietę w długiej, czarnej sukni, siedzącą okraciem na mężczyźnie. Na Davidzie Gouldzie.

Kto to jest?

Elise próbowała to wszystko jakoś sobie poukładać w głowie. Teraz, kiedy Strata Luna wypadła z gry, właściwie nic już nie rozumiała. Czy to była jedna z jej prostytutek?

— Odsuń się od niego. — Głos Elise był spokojny, choć jej serce biło jak szalone.

Kobieta opadła do przodu, rozciągając się na Davidzie i przez cały czas nie spuszczać Elise z oczu. Była piękna. Miała miedzianą skórę i dziwne oczy. Poglaskała rękę Davida. Nic nie mówiąc, patrząc tylko na Elise, wtuliła się w niego, poruszając głową na jego piersi. W końcu przylgnęła do niego, policzek przy policzku. Teraz twarze obojga były zwrócone w jej kierunku.

Oczy Davida były szeroko otwarte. Jezu. Ręka z pistoletem zdrząła. Czy był martwy?

Jezu.

— Złaż z niego — powiedziała. Zabij ją, pomyślał David.

Kobieta leżała bokiem. Elise miała tylko jedno pewne miejsce strzału. Środek jej czoła. Oddalonego ledwie kilka centymetrów od czoła Goulda.

Strzelała przyzwoicie, ale nie była snajperem. A w tych warunkach.. Słabe światło... Mnóstwo cieni... Trzęsąca się ręka.

— Podnieś obie ręce do góry i odsuń się — rozkazała Elise. Gdzie jest to pieprzone wsparcie? Gdzie są Starsky i Hutch? — Bo ci odstrzele łeb.

Uśmiech kobiety stał się szerszy. Uniosła ręce wysoko. I nagle, jakby pociągnięta za sznurek, wyprostowała się, wciąż dosiadając Davida. Przerzuciła jedną nogę przez jego ciało, opuszczając jednocześnie rękę.

— Do góry!

Uniosła rękę i w końcu niezręcznie zsunęła się z podwyższenia, stając obok.

— Odsuń się od niego.

Z rękami w powietrzu kobieta poszurała na bok, wzdłuż postumentu katafalku. Nagle ruszyła w kierunku Elise. — Stój! W tej chwili!

Zatrzymała się.

Zabij ją, krzyczał Gould, ale głos nie opuścił jego ust.

— Kim jesteś? — zapytała kobieta.

Elise miała przeczucie, że jej przeciwniczka zna odpowiedź.

— Detektyw Sandburg.

— Elise — powiedziała powoli kobieta głosem ociekającym miodem. I znów ten przebiegły uśmieszek.

Elise ciarki chodziły po plecach na jego widok. Zabij ją, teraz!

— Elise Sandburg. Wiem o tobie wszystko. O tym, jak zostawiono cię na cmentarzu. Córkę czarownika. — Długo patrzyła na Elise i w końcu zaczęła śpiewać:

*Niebieskie okulary*

*Rzucają złe czary.*

*Szykuj się na śmierć*

*Za minutę i ćwierć.*

Elise trzymała latarkę w jednej ręce, pistolet w drugiej. Powinna skuć kobietę kajdankami, ale to wymagałoby trochę współpracy z jej strony. Raczej nieprawdopodobne, żeby się na to zgodziła.

— Jestem Marie. Marie Luna.

Elise poczuła się, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch. To była córka Straty Luny. Ta, która podobno miała być nieżywa i pochowana. Ta, która rzekomo się powiesiła.

Przypomniała sobie smutek Straty Luny, kiedy rozmawiały o córkach. Elise sądziła, że kobieta cierpiała, bo obie jej córki nie żyły. A tak naprawdę zasmucało ją to, że jedno z jej dzieci jest spaczone i złe.

Co można zrobić ze złym dzieckiem?

Co zrobiła Strata Luna? Udawała, że dziewczyna nie żyje?

— Jesteś moją siostrą — powiedziała Marie Luna.

Z początku Elise sądziła, że nazywają siostrą, mając na myśli to, że wszystkie kobiety są siostrami.

— Jackson Sweet był twoim ojcem — ciągnęła Marie Luna. —  
Twoim i... moim.

Elise miała wrażenie, że świat zachwiał się w posadach. Przez całe życie chciała poznać swoje korzenie, wiedzieć, skąd się wzięła, ale to był

jakiś chory żart. Trudno było to nazwać inaczej. Ojciec — szaman, matka — była prostytutka rezydująca na stałe w klasztorze. A jej siostra ma być psychopatyczną morderczynią? Nie mogło już być zabawnej.

Marie Luna próbowała tylko zamącić jej w głowie. Próbowała ją podejść.

— A to znaczy, że jesteśmy przyrodnimi siostrami. — Marie Luna zrobiła kolejny krok w jej stronę. I jeszcze jeden. Materiał jej sukni szeleścił miękko na kamiennej podłodze.

Ona kłamie, powiedziała sobie Elise. Czują, jak ściska się jej żołądek. Marie Luna się zatrzymała.

— Popatrz na mnie. Nasza skóra różni się kolorem, bo twoja matka była biała, a moja czarna. Ale popatrz na moje oczy.

Boże. Te oczy. To były jej własne tęczy. Widziała nawet podobieństwo do Audrey w twarzy tej kobiety.

Marie Luna kiwnęła głową, wciąż z tym obrzydliwym uśmiechem, zadowolona, że Elise uwierzyła wreszcie w ich pokrewieństwo.

Zabij ją, błagał bezgłośnie David.

Kobieta się roześmiała.

— Jestem twoją siostrą. Nie skrzywdziłabyś własnej siostry, prawda?

Emocje podchodziły Elise do gardła, aż w końcu wezbrały jakimś zduszonym dźwiękiem. To jakiś koszmar. To się nie dzieje naprawdę. To nie może być naprawdę.

Zaryzykowała spojrzenie na Davida.

Patrzył na nią. W jego oczach było życie. Chciał jej coś powiedzieć.

Ona ma nóż, próbował powiedzieć David, ale słowa nie wychodziły z jego ust. Schowany w spódnicy.

Widział przerażenie na twarzy Elise, widział, jak szamocze się z tym, co powiedziała jej ta kobieta.

Marie Luna na pewno też to widziała. I będzie gotowa do skoku, kiedy tylko Elise zadrży ręka.

Coś się zmieniało. Jego ciało się budziło. Czuł elektryczne iskry śmigające po ścieżkach nerwów, przywracające go do życia. Zmusił

się, by przestać myśleć o Elise i skupić się na swoim ciele. Nie myśl o niczym, tylko o tym, jak ruszyć tyłek z tego kamienia! Rusz się, rozkazywał jego mózg.

Rusz się!

Nagle szarpnął się na bok i sturlał z marmurowego sarkofagu, pociągając za sobą latarkę.

Próbował złapać się kamienia. Jego ręce nie zareagowały. Gruchnął na podłogę razem z latarką, która roztrzaskała się o posadzkę.

Marie Luna skoczyła z wrzaskiem na Elise. Nóż pojawił się jakby znikąd. Uniosła go, opuściła w dół...

Wypalił pistolet.

Marie Luna wyszarpnęła nóż i uderzyła znowu. Latarka Elise trzasnęła o podłogę. Słychać było dźwięk tłuczonego szkła. Zapadła kompletna ciemność.

Córka Straty Luny wciąż wrzeszczała jakieś słowa, które nie miały sensu. Elise milczała.

Milczała.

Jasne włosy unoszące się w wannie. Małe, sine paluszki... Nie! — pomyślał, to się nie mogło dziać. Nie znowu.

Kolejny strzał.

Ogłuszający. A potem następny i następny.

Davidowi huczało w uszach, kiedy włókł się po podłodze, wbijając palce w szpary między kamieniami, ciągnąc własny, martwy ciężar.

W wejściu do tunelu usłyszał tupot nóg. Potężne latarki oślepiły go. —Jezu Chryste!

Starsky. Hutch. Za późno, wy gnoje. Za późno, do cholery.

David podążył wzrokiem za ich spojrzeniami, do miejsca, gdzie Elise zwinęła się w kałuży krwi. Na niej, rozciągnięta w poprzek, leżała Marie Luna.

Oczy zapiekły go od łez. Cholera, cholera, cholera.

Elise. Martwa.

Marie Luna się poruszyła.

Detektywi skoczyli ku niej, oświetlając ją latarkami i celując z pistoletów.

Głos — głos Elise — dobiegł spod krwawej sterty: — Czy ktoś może ze mnie zdjąć tę wściekłą sukę?

## Rozdział 47

Skąd ta udęczona mina? — zapytał z troską David, przyglądając się uważnie Elise.

Byli na balkonie, na który wychodziło się z jej sypialni. Elise siedziała w wiklinowym fotelu na biegunach, David opierał się tyłem o balustradę. Stał boso, w spranych dżinsach i szarej koszulce policyjnej. Elise miała na sobie czarne luźne spodnie i bluzkę w różnych odcieniach czerwieni. Audrey wygrzebała ją z szafy i przekonała matkę, by się w nią ubrała.

— Czy zło jest dziedziczne? — zapytała ze strachem Elise. Czy ujawni się w przyszłych pokoleniach? U dzieci lub wnuków Audrey?

—Wiesz co? — David odepchnął się biodrem od balustrady i sięgnął, by zerwać magnolię z pobliskiego drzewa.—Ja się po prostu cieszę, że żyjesz. —Wsunął biały kwiat w jej włosy, nad uchem. — I cieszę się, że ja żyję. Nie chcę myśleć o tej całej reszcie.

Miał rację. Nie było sensu obsesyjnie bać się czegoś, nad czym nie miało się kontroli. I co prawdopodobnie nigdy się nie stanie.

Major Hoffman z powrotem zaoferowała Davidowi jego stanowisko, a on się zgodził. Na roczny okres próbny. Jego profil sprawcy był dość trafiony, poza płcią i wykształceniem. A poza chwilowym zanikiem pamięci krótkoterminowej, który miał wkrótce minąć — według zapewnień LaRue, wypuszczonego warunkowo z więzienia — David nie ucierpiał od TTX.

Po czterdziestu ośmiu godzinach w szpitalu, przetoczeniu litra krwi i założeniu osiemdziesięciu paru szwów na cztery niegroźne rany kłute, Elise została odesłana do domu. Kamizelka kuloodporna uchroniła ją przed gorszymi obrażeniami.

Strata Luna przeżyła. Ostrze noża minęło jej serce o włos.

— Kiedy stąd wyjdę, nauczę cię porządnych czarów — powiedziała ze swojego szpitalnego łóżka, gdy Elise wpadła z wizytą.

Lampy były nakryte niebieskimi apaszkami, by odgonić złe duchy. A sama rekonwalescentka parę razy zebrała po łapach od personelu za palenie uzdrawiającego kadzidła.

— Muszę mieć kogoś, komu przekażę moc, a któż będzie lepszy niż córka Jacksona Sweeta? A później, kiedy przyjdzie odpowiednia pora, ty będziesz mogła przekazać moc swojej córce.

— No, nie wiem... — odparła Elise niezobowiązująco, choć czuła się podekscytowana na myśl, że mogłaby tak otwarcie zaakceptować swoją przeszłość. Tyle że była policjantką. Detektywem. Nie powinna się zajmować czarami. A jednak...

— Nie można tak po prostu przestać. Jeszcze jedno pokolenie i nikt nie będzie wiedział, co to jest szamanizm. Nie zaprzepaszczaj swojego dziedzictwa, kochana — powiedziała Strata Luna. — Możesz je wykorzystać, by być lepszym detektywem.

Intrygujący pomysł... Rozmowa zesłała na Marie Lunę.

— Zawsze podejrzewałam, że zabiła swoją siostrę — wyznała stara szamanka. — Ale jako matka nie mogłam w to uwierzyć. — Pokręciła głową. — Myślałam, że na pewno się mylę. Na wszelki wypadek postanowiłam nie posyłać jej do szkoły i uczyć ją w domu. Może tu popełniłam błąd. Może nie powinna być pozbawiona towarzystwa dzieci w swoim wieku.

— Myślę, że podjęła pani mądrą decyzję — odparła Elise. Historia udowodniła już, że ktoś o tendencjach Marie mógł się stać jeszcze gorszy, jeśli by go wtłoczono w system publicznej edukacji.

— To były zwyczajne rzeczy — ciągnęła Strata Luna. — Była okrutna dla zwierząt. Bardzo szybko przekonałam się, że nie możemy mieć żadnych ulubieńców, ale i tak łapała małe ptaszki i torturowała je aż do śmierci. Próbowałam wszelkich zaklęć, ale one jeszcze pogarszały sprawę. Przez jakiś czas próbowałam nawet trzymać ją na środkach uspokajających.

— Tetrodotoksyna?

— To nie była mieszanka dla zombi, ale podobna. Miała ująć jej trochę energii. Ale zamiast ją otumaniać, sprawiła, że Marie nie mogła spać. Zaczęła łązić po całych nocach po tych przeklętych tunelach.

— Słyszałam, że środki uspokajające mogą dawać czasem przeciwny efekt — powiedziała Elise. Gdyby tylko Strata Luna poszukała pomocy. Ale nie było sensu mówić jej czegoś, o czym dobrze wiedziała.

— Potem przyłapałam ją z ciałem, które wykopała na cmentarzu Laurel Grove. Przyciągnęła je tunelem do domu, jak pies przywłóczy kość. Wtedy miałam dosyć. Nie zniósłabym więcej. Powiedziałam jej, że musi odejść. Ale nie wygoniłam jej z niczym. Dałam jej pieniądze. Dość, żeby starczyło na długo, ale widocznie wydała je w mgnieniu oka.

— Jak pani upozorowała jej śmierć?

— Ludzie nie zadają mi wielu pytań. Stary koroner z Wyspy Świętej Heleny podpisał świadectwo zgonu za dwie flaszki whisky i amulet zapewniający bogactwo. A ciało już miałam w domu. Włożyłam je do zapieczętowanej trumny.

— To, które wykopała Marie.

— Zawsze miałam przez to wyrzuty sumienia, choć to był tylko NN z komunalnej części cmentarza. Mimo wszystko to nie fair, że jest pochowany pod nagrobkiem Marie Luny. A teraz potrzebuję miejsca dla niej...

— Mogę pomóc w jego przeniesieniu.

— Z początku nie byłam pewna, czy chcę, żeby leżała koło siostry, ale już raz ją odesłałam. Nie mogę tego zrobić znowu... I to była moja wina. Przeklełam twoją matkę, kiedy chodziła z tobą w ciąży. Widocznie miała lusterko, bo klątwa wróciła prosto do mnie...

Elise podświadomie wierzyła w siłę szamańskich praktyk, nawet przez te lata, kiedy odwróciła się od swego dziedzictwa. Ale stwierdzenie Straty Luny trudno jej było przełknąć. Jeśli wierzyła, że jej własna klątwa wróciła do niej, czy siła tego przekonania mogła sprawić, że wydała na świat złe dziecko? Czy było to możliwe?



Teraz, kilka dni później, Elise wciąż zadawała sobie to pytanie.

— Mówiłem ci, że znaleźli Gary'ego Turello? — zapytał David. Elise uniosła głowę i zobaczyła jego wyciągniętą rękę. Złapała ją i poczuła jego mocny uścisk, kiedy pomagał jej wstać z fotela.

— Leżał w jednym z tuneli, na wygodnym materacyku.

— Turello i milion karaluchów — odparła.

— A ślady stóp na cmentarzu, gdzie znaleziono Jordana Kempa — powiedział David — pasują do butów, które nosiła Marie Luna.

Wybierali się na krótki spacer. Elise bardzo tego potrzebowała. Wyjść z domu. Zobaczyć okolicę.

— A jaką masz teorię na temat Harrisona?

— Przypadkowa ofiara. Prawdopodobnie niechcący natknął się na tetrodotoksynę, kiedy wszedł do tunelu. Może trucizna osiadła na jego ubraniu. Wieczorem, kiedy przebierał się do snu, nawdychał się jej albo dostała się do jego krwi przez skórę.

Elise skinęła głową.

— Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że Marie Luna celowo rozsypała TTX w pobliżu swojej nory. — Tak jak w grobie Tutanchamona?

— To bardzo prawdopodobne.

Rozsuwane drzwi stały otworem i słyszeć było muzykę dobiegającą z pokoju Audrey. Mała uparła się, że zostanie tu przez dwa tygodnie, żeby mieć oko na mamę, pomagać w gotowaniu i sprzątanii. Elise nie widziała sensu w przypominaniu córce, że ona sama nie gotuje i rzadko sprząta. Po prostu miło było mieć Audrey koło siebie.

Kiedy czekali na dole na Audrey, David włożył sportowe buty i zrobił sobie wycieczkę po pokojach od frontu. Z rękami w kieszeniach zatrzymał się w holu, by przyjrzeć się koszarnej tapecie z lat siedemdziesiątych. Była błyszcząca, w srebrne i różowe paski.

Muzyka na górze ucichła. Po chwili Audrey, podskakując, zbiegła po schodach.

— To są najfajniejsze okulary świata.

Miała na sobie niebieskie, magiczne okulary, które Strata Luna dała Elise.

— Mogę załatwić urządzenie do wytwarzania pary i pomóc ci zerdrzeć tę tapetę — zaproponował David.—Jest też taki specjalny środek do odmaczania tapet, działa jak złoto.

Audrey poprawiła okulary z niebieskimi szklami. Wyglądały ślicznie. Bardzo retro.

—Ja też mogę pomóc — powiedziała Audrey. — I mogę malować. Uwielbiam malować. — Dotknęła kwiatka we włosach Elise. — Ładnie.

Elise w końcu powiedziała jej wszystko o Jacksonie Sweecie i Loralie. Dziewczynka dobrze to przyjęła. Była wręcz zafascynowana i ciekawa szczegółów. Ale Elise przemilczała na razie fakt, że Marie Luna była jej przyrodnią siostrą. Audrey była bardzo młoda i miała dość informacji do przetrawienia.

— Myślę o jakimś tradycyjnym kolorze — powiedział David, wciąż przyglądając się ścianie. — Powiedzmy kawa z mlekiem?

Matka i córka spojrzały na niego z przerażeniem. Wzruszył ramionami, niezbyt przejęty.

— To tylko pomysł.

— Leśna zieleń — rzuciła Elise.

— Lila — stwierdziła z przekonaniem Audrey.

— Gdzie to my idziemy? — spytał David. — Zapomniałem.

— Na spacer — odpowiedziały obie chórem.

Kiedy wyszli, Elise pomachała do sąsiadki, pani Bell, siedzącej na ganku.

Na dworze było ciepło, dwadzieścia dwa stopnie; wilgotne powietrze oblepiło ich jak koc. Ceglany chodnik był szeroki, dzięki czemu wszyscy troje mogli iść obok siebie.

Dwa lata temu Elise zawiozła panią Bell do szpitala na operację katarakty. Od tej pory, ilekroć starsza pani wychodziła na dwór, mówiła: „Och, jakie kolory! Jakie kolory!”—jakby nigdy wcześniej nie widziała świata.

Elise właśnie tak się czuła.

Trawa była tak soczyście zielonaftfcae magnolii miały taki głęboki szmaragdowy kolor. Niebo, rozświetlone zachodzącym słońcem, mieńiło się pięknymi odcieniami róży i ratou. I te zapachy!

Smród fabryki drzewnej pulpy ominął tego dnia stare miasto, pozwalając nareszcie w pełni docenić azalie, kiście kwiatów lagerstroee—mii i aromatyczne kapryfolium.

Kilka przecznic dalej minęli grupkę dziewczynek skaczących przez skakankę. Ich buty klaszczące o beton wybijały rytm.

Elise i Audrey zatrzymały się, by poczekać, aż David zerwie kolejny kwiat magnolii, tym razem dla Audrey. Kiedy stały pod pachnącymi gałęziami, do ich uszu dobiegła piosenka—wyliczanka:

*Na łożu śmiertelna chusta,*

*Ukłon dla kostuchy.*

*Cicho szepczą zimne usta:*

*Bawimy się w trupy.*

**PRZEPIS ELISE NA MOJO „MAM CIĘ, CHŁOPCZE”**

*Korzeń Królowej Elżbiety (cały)*

*Pączki róż*

*Lawenda*

*Magnetyt*

*Nard*

*Papier z imieniem: napisać nazwisko chłopaka siedem razy czarnym tuszem. Obrócić o dziewięćdziesiąt stopni i napisać siedem razy czerwonym tuszem.*

*Jeden włos z głowy chłopaka.*

*Włożyć wszystko do woreczka z czerwonej flaneli. Skropić woreczek olejkami „Mam cię, chłopcze” i nosić na sercu.*